

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLIV.

ROK XI.

TOM IV. — ZESZYT III.

Grudzień.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1886.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 2 Grudnia 1886 r.



DWIE CYWILIZACYE.

Życie umysłowe naszego społeczeństwa już od kilkunastu lat płynie równym, spokojnym ruchem. Ani czas i warunki zewnętrzne, ani usposobienie umysłów niesprzyjają gwałtownym wstrząśnieniom i wielkim zmianom. Idee, hasła, żądania, postawione i rozwijane niegdyś przez wychowańców Szkoły Głównéj, zostały bądź przyjęte ogólnie, bądź téż, choć sporne jeszcze, uzyskały prawo obywatelstwa, bądź nareszcie zmodyfikowały się i znikły zupełnie. Odtąd nabywanie nieznanych dawniéj zdobyczy wiedzy, lub przetrawianie starych odbywało się bez szczególnych manifestacyj, na drodze powolnéj i cichéj pracy. Od czasu do czasu wprawdzie dawały się słyszéć energiczniejsze wykrzykniki nowych apostołów politycznych, społecznych i filozoficznych, którzy pragnęli przedostać się do uwagi powszechnéj i zawrócić myśl i działalność społeczeństwa na odmienne tory, głosy te jednak milknęły wkrótce, nie znalazłszy echa, gasły jak płomyki, niepodsycane powietrzem. W ostatnich dniach nowy głos zaalarmował buńczucznie publiczność naszą hasłem po części nieznaném u nas jeszcze, po części zaś objawiającém do tego pretensyą.

Rodowód nowych formuł bywa różny. Jedne powstają w gabinetach uczonych, jako owoc mozolnéj pracy. Aby dotrzeć do nich, trzeba zbadać wielką liczbę oddzielnych zjawisk, dopatrzéć się między takowemi jakiegoś ścisłego związku i roztrząsnąwszy go krytycznie, dojść do zwięźle ujętego rezultatu. Cała ta robota kosztuje dużo wysiłków, wydobycie prawdy na wierzch przychodzi nie łatwo, gdyż łupina pozorów jest twardą. Formuły takie przyjmują się powoli, bo w ostatecznem swém brzmieniu przeczą złudzeniom i uświęconym przesądom, a nie każdy zdoła wedrzéć się na rusztowanie dowodzeń. Szerząc się jednak z trudnością i krok za krokiem, postępują one

nieustannie i nie mijają bez dodatniego wpływu. Bywają znowu hasła, które rodzą się z uczuć głównie, są mniéj głębokie, ale przez to właśnie trafić łatwo mogą do przekonania ogółu; jeżeli zjawią się w chwili, gdy społeczeństwo jest usposobione do ich przyjęcia, to znajdują prędko znaczny rozgłos, poruszają i pobudzają większość, co ich nie chroni od wczesnego zestarzenia się i rychłego zniknięcia nawet z pamięci ludzkiéj. Mogą one wpłynąć poważnie na bieg zdarzeń, wykoleić na chwilę prawidłowy rozwój, ale w umysłach kiełkujących ziarn nie zostawiają. Im społeczeństwo potrafi krytyczniéj spojrzéć na takie formuły, tém lepiéj, tém mniejszy wynika zamęt. Program „Głosu“, nowozałożonego w Warszawie tygodnika, uważamy właśnie za hasło tego rodzaju; doniosłego znaczenia on—naszém zdaniem—mieć nie będzie, pragniemy jednak, aby wskutek sympatycznéj, przezeń wywieszonéj chorągwi ludowéj nie był przyjmowany bez dokładnego zbadania, aby sami twórcy i apostołowie jego byli nagleni o dokładniejsze zdawanie sprawy ze swych myśli, co niewątpliwie przyczyni się i do rozwoju samego programu i do powiększenia sumy wpływów dodatnich, jakie społeczeństwo osiągnąć może z nowego pisma.

Zasady „Głosu“ są ultra demokratyczne, podnoszą one zupełną cywilizacyjną odrębność składowych części narodu i dochodzą aż do żądań podporządkowania interesów „warstw odrębnych (?)“ interesom ludu. Ta okoliczność tém bardziéj zmusza nas do rozważania nowych haseł. I nam interesy i rozwój cywilizacyjny ludu leżą również na sercu, i myśmy stawali w obronie zasad demokratycznych; ale chcemy, aby je rozumiano i popierano, jak można najwłaściwiéj. I my pragniemy, aby lud był poważnym czynnikiem w życiu społeczeństwa i za takowy został uznany; ale za najwyższą zasadę społeczną uważamy interesy narodu całego, im tylko, nigdy zaś interesom żadnéj poszczególnéj, chociażby liczebnie potężnéj większości, winny być podporządkowywane interesy „warstw odrębnych.“ My pragniemy pracy nad rozwojem i podniesieniem ludu i dla tego właśnie widzimy niebezpieczeństwo w otaczaniu jakąś idealną aureolą chłopa, wykwitu zaniedbania, ciemnoty i małego uspołecznienia. My widzimy konieczność dokładnego zbadania ludu, jego niedoli i potrzeb, jego myśli i uczuć, i nie chcemy, aby temu przeszkadzały jakieś z góry przyjęte uprzedzenia o jego cywilizacyi,—*à priori* zbudowana doktryna i oparta jedynie na samém uczuciu—bardzo zresztą szanowném.

Niegdyś, kilkadziesiąt lat temu, prądy demokratyczne zachodnio-europejskie porwały emigracyą naszę, która następnie ognia swych uczuć i myśli udzieliła ogółowi w kraju. Mówiono w owym

czasie dużo w pismach i książkach, o prastaréj i prasłowiańskiéj gminie, która winna być wzorem wszelkiego dobra, o niesprawiedliwościach, jakie osiadły na ustroju społecznym, niby ił po wylewie Nilu nawoływano wtedy do uznania w ludzie skarbnicy cnót wszelakich. „Nasze przekonania, to apoteoza ludu“—wołał jeden z najgorętszych, Dembowski. Z biegiem czasu, kiedy na zachodzie mgły tych pojęć pierzchnęły pod wpływem pozytywnéj wiedzy socyalnéj, u nas prąd przeistoczył się w dążenie realne do rozwiązania sprawy włościańskiéj. W ziemiach, położonych daléj na wschodzie niż nasza, sentymentalny demokratyzm europejski pierwszéj połowy wieku bieżącego znalazł grunt bardzo urodzajny i nietylko kiełkował, lecz się przeradzał, przetwarzał w liczne odmiany, pleniąc się w najlepsze, kiedy we Francyi i w Niemczech już tylko opóźnieni ludzie przypominali sobie jego panowanie.

W najnowszych czasach, gdy na kraj nasz poczęły mocniéj oddziaływać ruchy i pojęcia, zrodzone, lub przerodzone na wschodzie, „narodniczestwo“, „samobytniczestwo“ wabi młodzież, działając przeważnie na uczucie sprawiedliwości, lub nawet na patryotyzm. Wiadomo, jak pisma rosyjskie wymawiają nam szlachetczyznę, jak nie umieją głębiéj wejrzéć w nasze stosunki przeszłe i obecne, lecz z góry, na podstawie moralnego przekonania i słyszanych anegdot, stawiają nam zarzuty, często tak odpowiadające rzeczywistości, jak astronomiczne pojęcia murzynów prawdziwemu ruchowi planet. Nierzadko z zabawną naiwnością starają się leczyć nas z zastarzałych ran społecznych, biorąc pod opiekę lud wobec „panów.“ Znaliśmy sami ludzi, których patryotyzm cierpiał na tém, iż nam można tyle wad zarzucać i to ich robiło polskimi „narodnikami.“ Nie mamy ani zamiaru, ani możności odgadywania, gdzie i jak powstały te mianowicie fale chłopomanii, które w postaci programowych artykułów „Głosu“ wpadły do naszego społeczeństwa; bardzo być może, że są one wytworem samoistnego wyślenia i badań, to jednak pewna, że barwą swoją przypominają mocno źródło i wpływy, o których wyżéj mówiliśmy.

Najdobitniéj nowe hasła wyrażone zostały przez p. J. L. Popławskiego w prospekcie: „lud posiada własną religią, własną moralność, własną politykę – więcéj—własną naukę, słowem kulturę własną, któréj czynniki składowe nie mogą być uważane jako niższe formy rozwoju odpowiednich kategoryj kultury naszéj. Różnica jest tu jakościową nie zaś ilościową; to nie niższy stopień rozwoju, ale odrębna jego forma.“ Twierdzenie to nie jest osobistém zdaniem p.

Popławskiego, gdyż taką samą zupełnie myśl znajdujemy w pierwszym numerze w artykule, podpisanym „Redakcya“: „Naczelną zasadą „Głosu“ jest *podporządkowanie interesów warstw odrębnych interesom ludu*, powołanie go nie do takich form życia narodowego, jakie wytworzyła dogorywająca już w całéj Europie, a z duchem dziejów nowożytnych niezgodna cywilizacya „stanowa“, lecz do takich, do jakich dojść on może drogą przyrodzonego rozwoju zadatków *własnéj* kultury, drogą uświadomienia własnych swych dążeń i kształcenia własnych ideałów.“ Czytając pusty frazes o dogorywającéj cywilizacyi europejskiéj, pomimowoli nasuwają się na myśl znane wykrzykniki o „zgniłym zachodzie,“ całe też rozumowanie przypomina mocno wywody „narodników.

Nie znalazłszy w „Głosie“ dosyć treściwego ustępu, który można by tu było przytoczyć. a który by wyraził całkowicie nowe zasady, musimy je streścić sami, wedle sił i rozumienia naszego jak najściśléj. Przytoczone już cytaty i te, na które niżéj powoływać się będziemy, przekonają czytelnika, że lubo innemi słowami idea przewodnia „Głosu“ wyrażoną jest wiernie.

Przed tysiącem lat była na ziemiach polskich swojska, przyrodzona cywilizacya słowiańska, lub lechicka. Podbój (orężny, czy też może tylko cywilizacyjny) skasował starą, a narzucił nową, obcą, rzymską, katolicką i kosmopolityczną. Pierwsza pomimo tylowiekowego upośledzenia nie zginęła, lecz żyje wśród ludu. Dzisiaj, gdy narzucone ideały, obyczaje itd. wydały same tylko gorzkie owoce, gdy byt nasz został zagrożony, należy zwrócić się do kultury przyrodzonéj; ta, jako silnie zakorzeniona wśród większości narodu wzrośnie szybko, wyodrębni nas wśród nieprzyjaciół, powoła nieprzebrane siły do działania i najlepiéj ochroni nasze istnienie. Naturalnie, że wtedy lud jako reprezentant téj cywilizacyi, która panować ma niepodzielnie w przyszłości, występuje na pierwszy plan, jego interesom należy podporządkować interesy innych warstw, gdyż teraz interesy ludu—to przyszłość kraju, to jego ideały.

Bardzo być może, że do ostatniego słowa w takiém twierdzeniu „Głos“ doszedł inną drogą. Może szlachetne współczucie i miłość dla zgnębionych wiekową niewolą, kazały mu zwrócić szczególną uwagę na lud, dążyć do podwyższenia poniżonego. W imię sprawiedliwości za dziejowe krzywdy dać należy chłopu panowanie; ażeby dojść do tego trzeba zapewnić pierwszeństwo ideałom, potrzebom, żądaniom ludu.

Mniejsza jednak o drogę, dosyć, że nowe hasło żąda uznania faktu istnienia odrębnéj cywilizacyi chłopskiéj i w imię dobra narodu domaga się powszechnego nawrócenia do niéj. Pomijamy rodowód

kultury; nie wdajemy się w to, jaką drogą przyszła do nas cywilizacya ogólno-europejska, — rozpatrzmy tylko, czy przytoczone zostały dowody na stwierdzenie istnienia *dziś* różności dwu kultur, a następnie rzućmy okiem na skutki podporządkowania interesów.

„Lud — twierdzi nowe czasopismo — posiada własną religią, własną moralność, własną politykę, więcéj — własną naukę, słowem kulturę własną.“ O religii chłopskiéj i pańskiéj „Głos“ pomieścił dwa aż duże artykuły w 3 i 4 numerze. Jest tam bardzo wiele doktrynerskich, mglistych i bałamutnych frazesów o klerykalizmie i niewłaściwości utożsamiania cech religijnych z narodowemi, o szkodach, wynikających z zasklepienia się społeczeństwa naszego w ortodoksyi i szlachetczyźnie. Następnie, równolegle wysnuwane są dowodzenia, że na barki wiary ludowéj kładą samozwańczy kierownicy narodu zbyt wielki ciężar, zbyt wiele na nią liczą. O odrębności dwu religii powiedziano bardzo mało i to prawie nawiasowo. „Od lat tysiąca lud polski przebrał dawne swe ideały w nową szatę chrześciańskiego; przeniósłszy stare bogi do innego Olimpu, stworzył on właściwą sobie wiarę, zwaną w języku urzędowym religią katolicką. Od lat dwudziestu przeszło panowie polscy stworzyli właściwą sobie katolicką politykę, dla któréj nazwą odpowiednią jest— *klerykalizm.*“ Kiedyż więc zjawiła się dwoistość religii, cecha dwoistéj cywilizacyi? Z powyższéj cytaty wynika, że przed 20 laty dopiero, przez 980 lat zaś była jedna wiara, jedna religia. To jednak przeczy innym twierdzeniom „Głosu“ o różnicach tysiącoletnich. Zresztą 20 lat do wyodrębnienia się cywilizacyi bodaj że nie wystarcza. W innym znowu miejscu powiedziano: „W przeciwstawieniu do kosmopolitycznego klerykalizmu panów, religia naszego ludu jest religią swojską, odrębną w sobie i różną od innych, a to dzięki tkwiącym w niéj domieszkom pogaństwa, oraz związanéj z niém większéj skłonności do antropomorfizmu i uzmysłowień namacalnych (jajo wielkanocne, „święcone“, opłatek, wianki, sobótka, „zielone“ święta, siano wigilijne i t. p.).“ Bezpośrednio potém redakcya „Głosu“ z daleko mniejszą pewnością robi uwagę: „Na większą odrębność lud nasz zdobyć się nie umiał.“ Że do katolicyzmu weszło wiele zabytków, obyczajów i pojęć pogańskich, to wątpliwości nie ulega; nie tylko u nas, ale wszędzie zjawisko podobne miało miejsce. W starożytnéj Grecyi i Rzymie przedhistoryczne obyczaje dotrwały do czasów Zeusa i Jowisza, a późniéj przeszły nawet aż do świata chrześciańskiego. Takie jednak splecenie dwu szeregów wyobrażeń, różnego będących rodu, jest faktem powszechnym i pod względem terytoryalnym i pod względem stanowym. Gdyby nawet „Głosowi“ udało się wyszukać kilka, a chociażby i kilkanaście zwyczajów

i obrzędów, praktykowanych jedynie przez lud, to i wtedy udowodnienie odrębności „religii chłopskiéj“ nie posunęło by się ani na krok naprzód; malowane jajko i sobótka, jeżeli należy do religii, to tylko jako trzeciorzędny dodatek. Ale powaga argumentu nawet tak daleko nie zachodzi, nie został wymieniony ani jeden obrządek, ani jeden zwyczaj, który nie byłby w użyciu wśród wszystkich warstw narodu. Całe masy wiejskiéj i miejskiéj inteligencyi z najmocniejszém przekonaniem i wiarą dają święcić „baby“ wielkanocne, podściełają siano pod obrus na wigilią i czynią to uroczyściéj i skrupulatniéj niż lud. Jeżeli pod jakim względem, to pod względem szanowania obrządków zwyczajowo-religijnych panuje zupełna jedność pomiędzy chłopami i klasą inteligentniejszą. Co więcéj, wbrew temu co głosi nowe hasło, zarówno dla obywatela wiejskiego, jak dla plebana z prowincyi, dla urzędnika z powiatu, jak i dla ludu „Częstochowska Panienka“ znaczy więcéj od papieża.

Na tém jak dotychczas ograniczają się dowodzenia odrębności cywilizacyi chłopskiéj przez wykazanie istnienia oddzielnéj chłopskiéj religii. Jedyny przytoczony argument nie stosuje się wcale do rzeczy. Niepodobna przytém nie zwrócić uwagi, jakie dziwnie zacieśnione pojęcie o religii znajdujemy w tych nowych teoryach. Nie ma religii, któraby nie dawała jakichś pojęć o świecie, o społeczeństwie, o człowieku, któraby nie miała kultu, któraby nie posiadała tego, co francuzi nazywają *régime*, to jest ustaw i zasad. Publicysta „Głosu“ spraw tych nie dotknął.

Trudno nam jest rozumiéć, jak się da pogodzić ratowanie naszéj odrębności przez nawracanie do swojskiéj kultury chłopskiéj z wyznawaną przez „Głos“ potrzebą uwzględniania wyników najnowszych wiedzy? Przecie wierzeniom religijnym ludu daleko jeszcze nawet do odkryć Kopernika.

Jeszcze jedna uwaga w téj sprawie. Zasadą naszą w rzeczach wyznań i religii jest najwyższa tolerancya, gdy jednak mowa o wyodrębnianiu swojskości, to należy liczyć się ściśle ze wszystkiemi względami. Kosmopolityzm kultu katolickiego (na który „Głos“ narzeka) ma dla nas w téj chwili strony dodatnie, jakich by nie miał kult, posługujący się językiem narodowym. W Prusach mogliby np. wydać rozporządzenie, aby kazania były mówione i psalmy śpiewane po niemiecku....

Przejdźmy teraz do innéj cechy wyodrębnienia cywilizacyjnego chłopów, do *moralności*.

Mówić o moralności chłopskiéj — to wstąpić na pole nader obszerne i zasługujące na szczegółowe badania. Zamiast tego, znajdujemy w „Głosie“ tylko apodyktyczne wyrocznie. W najjaśniéj sformułowanym artykule „Ze wsi“ (N. 5) czytamy: „Rysem cechującym

pojęcia prawne ludu w odniesieniu do prawa własności, jest ścisłe odróżnianie dwóch jego kategoryi: własności rzeczy, będących wytworem pracy ludzkiéj, a produktów naturalnych, istniejących darmo. Ścisły indywidualista w pierwszym wypadku, chłop co do drugiego stosuje nieraz poglądy, nie licujące wcale z etyką klas wyższych, wychowanych na pojęciach prawa rzymskiego. Powierzchownie rzecz biorąc, kładziemy na karb demoralizacyi lub rozbudzonéj chciwości instynktów to, co jest często konsekwentnym wynikiem zapatrywania na stosunki społeczne, jakie lud wyznaje i nieraz zdumieni jesteśmy niemało, dowiadując się o jakimś poważnym i uczciwym gospodarzu, któremu z zaufaniem zupełném powierzylibyśmy każdą sumę pieniężną do przechowania, że nie robił sobie wielkich skrupułów, gdy chodziło o wyprawę nocną do lasu dworskiego.“ Czyż to stanowi *cechę* pojęć prawnych ludu, że odróżnia własność rzeczy, będących wytworem pracy ludzkiéj i produktów, istniejących darmo? Czyż najgorliwszy wyznawca i najrodzeńsze dziecko kultury rzymskiéj, bankier londyński lub szlachcic podlaski, nie robi kapitalnéj różnicy pomiędzy winem, sprowadzaném z Węgier, i wodą z rzeki? A następnie, czy lasy, przez całe wieki uważane za nieprzebrane zarówno przez szlachtę jak i przez chłopów, nie zbliżały się w pojęciach *obu* tych warstw pod względem wartości do wody rzecznéj lub powietrza. Czacki, mówiąc o lasach wspólnych (a więc pomiędzy posiadaczami — szlachtą) i wrębach w takowych, wspomina o nieopatrzności właścicieli, wynikającéj z przeświadczenia o niewyczerpalności zasobów drzewnych („O litewskich i polskich prawach“ — wyd. Turowskiego, str. 202 i 203). Prawa polskie — wyraz pojęć i woli klas wyższych — nie uważały szkody leśnéj za kradzież, tak jak jéj nie uważa lud. W dziele p. Dunina „Dawne prawo mazowieckie“ na str. 193 czytamy: „Kradzieży jak łotrostwa dochodzono z urzędu, karano ją śmiercią przez powieszenie, a w razie ucieczki konfiskacyą majątku“; na str. zaś 194: „Szkody, uczynione w cudzych lasach i polach téż uważać należy za rodzaj przestępstwa, które ulegało karze pieniężnéj; wysokość jéj zależała od tego, czy przestępca dopuścił się ich gwałtownie.“ Nawet prawa obowiązujące u nas do roku 1876, stały zupełnie na takim samym gruncie, mógł ktoś wielokrotnie przegrać sprawę cywilną ze skargi prywatnéj o szkodę w lesie i nie był ścigany kryminalnie, coby nastąpiło, gdyby takie same drzewo ukradł z dziedzińca. Prawo, obowiązujące dziś, również wyrąbania drzewa, rosnącego w cudzym lesie, nie zalicza do kategoryi kradzieży i tylko w wyjątkowych wypadkach karze aresztem winowajcę. Nie należy wcale sądzić, żeby prawa dawniejsze były ustępstwem na rzecz pojęć, panujących wśród ludu,

wcale nie, gdyż chodziło tam wyłącznie o sprawy między szlachtą; a zresztą gdyby wyższe warstwy nie podzielały takich pojęć, to dla dobra swego starałyby się je wykorzenić.

Nam się zdaje, że zupełnie gołosłowne twierdzenia, bez dokładnego wyjaśnienia wszystkich okoliczności co do odmiennych w tym razie pojęć społecznych ludu i etyki chłopskiéj, nie mogą być poważnym dowodem odmiennéj kultury ludu. Są one równie wątłe, jak ów wywód dwu oddzielnych religii stanowych. Wypadałoby zbadać bliżéj kwestyą moralności: toczy się obecnie wiele spraw o kradzieże leśne, należałoby posłuchać zeznań świadków, oskarżonych i poszkodowanych, jak równie brzmienia wyroków. Dzisiaj sprawy te w większości wypadków rozstrzygają sędziowie gminni, obywatele, dawniéj — chłopi-wójci. Należałoby się téż dowiedzieć, czy „panowie“ robią sobie skrupuły z drzewem z lasów rządowych? Nareszcie, jak się zapatrują na ścinanie samowolne drzew chłopi, gdy się to stanie w ich posiadłościach? Chyba są równie niezadowoleni, jak odmienna od nich cywilizacyjnie szlachta. Obecnie np. do sądu w gminach stelmachowskiéj, kowalewskiéj i piszczatowskiéj (powiat mazowiecki, gubernia łomżyńska) weszła sprawa, charakterystyczna pod tym względem. Majątek Kowaleszczyznę nabyli od Rostworowskich chłopi wraz z lasem; gdy niedawno zgłosili się włościanie ze wsi Pszczołczyn do korzystania służącego im serwitutu leśnego, to nowi właściciele odmówili im pozwolenia na ugaj. Faktów dochodzeń szkód leśnych przez chłopów jest bardzo wiele. Wobec tego za śmiałe jest głoszenie o „konsekwentnym wyniku zapatrywań na stosunki społeczne, jakie lud wyznaje“; konsekwencya ta zmienia się odpowiednio do tego, czy kto jest posiadaczem, lub nie. Kultura, co przetrwała tysiące lat ucisku, nie byłaby tak kruchą, aby się miała rozsypać zaraz na drugi dzień po spisaniu przez chłopów aktu kupna. Może ta różnica pojęć, różnica jakościowa dwu cywilizacyi, to jedynie tylko różnica dwu egoizmów, posiadającego i niemającego nic.

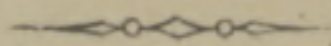
Przytém dobrze byłoby zawsze pamiętać o tém, że jak teorya Kopernika wyższą jest od wierzeń ludu, tak samo jakieś pojęcia społeczne, przez to że chłopskie, nie są więcéj warte od badań i wniosków Spencera dajmy na to, lub Marxa, jeżeli go kto woli, niezależnie zupełnie od tego, czy uczony należy do gnijącéj cywilizacyi stanowéj, czy téż nie.

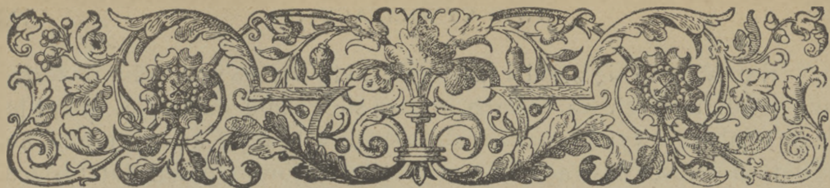
O polityce odrębnéj ludu i jego własnéj nauce, „Głos“ nie pisał jeszcze. Był wprawdzie w 5-m numerze artykuł: „Pańskie i chłopskie potrzeby umysłowe“, ale tymczasem jest to jedynie polemika postępowców z konserwatystami o wolności myśli— rzecz nieraz już w czasopiśmiennictwie naszém roztrząsana.

Każdy na to się zgodzi łatwo, że dwie warstwy narodu, pozostające w odmiennych warunkach, muszą się różnić od siebie. Stąd jednak wcale nie wynika ani odrębność cywilizacyi, ani potrzeba, ani nawet możność nawracania do jakichś rajów z przed lat tysiąca. Owo podporządkowywanie, biorąc rzecz teoretycznie, to chyba ruch wsteczny. W wiekach, gdy panował niepodzielnie ustrój wojenno-feudalny, jedna klasa była podporządkowaną drugiéj; szlachtę od chłopów, żołnierzy od rolników dzielił mur trudny do przebicia, wtedy różnice były wielkie rzeczywiście; teraz zbliżenie nastąpiło, przechodzenie z jednéj warstwy do drugiéj stało się możliwém i nieuniknioném. Odgrzebywać dziś dawne różnice, rozdymać je do niebywałych nigdy rozmiarów—to stracone wysiłki, to naciąganie faktów do doktryny. Ustrój obecny, gdzie pracy przypada naczelne miejsce w życiu społecznem, wymaga współdziałania wszystkich klas w jednym celu, nie zaś podporządkowywania jednych drugim.

Teraz zastanówmy się, coby pociągnęło za sobą ziszczenie się nowych haseł. Ludowi ma przypaść naczelne stanowisko w życiu narodu. Wątpliwém jest, czy wobec hegemonii ludu, możliwą będzie sama egzystencya warstw innych. Klasy oświecone, znając przeszłość i teraźniejsze warunki, widząc kawał świata szerszy niż granice parafii, kierowały o tyle o ile pracą, tendencyami, usiłowaniami narodu, doskonaliły je; gdy lud będzie sam sobie mistrzem i przywódcą, rola inteligencyi się skończy, a wraz z nią i jéj istnienie stanie się zbytecznem. Nawoływanie do parcelacyi *bądź co bądź*, nietylko wtedy, gdy dobro kraju, ratunek ziemi tego wymaga, lecz zawsze i wszędzie w imię doktryny, do tego samego niemal dąży.

Jeżeli to prawda, że masa bierna, właśnie dla tego że bierna, trudniejszą jest do zniszczenia, że łatwiéj odpiera napór bezwładnością samą,—to i tak chyba wiekowanie w stanie biernéj obrony nie może być naszym ideałem. Czy wtedy zjawienie się ludzi, przerastających ogół inteligencyą, posiadających stanowisko niezależne, które ich zwolni od mozolnéj pracy na kawałek chleba powszedniego, nie stanie się potrzebą nieodzowną? Powołujemy się zwykle na Czechów, jako na naród chłopów; zapewne, w czasach letargu była tam jednolitość, ale pobudka odrodzenia zabrzmiała z piersi uczonych, inteligencyi, nie z piersi chłopów—rolników lub rzemieślników; zjawienie się klasy wyższéj było koniecznym warunkiem odrodzenia.





MIŁOŚĆ W OPAŁACH.

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW KROACYI.

XX. **Morderstwo.**

Na przybycie młodego Rakoczego oczekiwano nie tylko dla tego, że do osoby jego odnosiła się sprawa matrymonialna, ale i dla tego jeszcze, że bez niego hrabia Mikołaj nie chciał wyprawić wielkich, które przysposabiano, łowów. A była już na to pora wielka. Pogoda dotrzymywała, zachodziło atoli pytanie: jak długo wytrzyma? Rozmaite na niebie i na ziemi znaki zapowiadały zmianę. Na horyzoncie pokazywały się od czasu do czasu chmurki złowrogie; na śmietnikach grzebały się kury; bardziéj jednak aniżeli chmurki i kury zatrważającém było wiercenie w kościach, jakiego doznawali ludzie starzy. Zmiana pogody w powietrzu wisiała. Z przybycia więc księcia korzystać należało i, sprawy wszelkie na późniéj odkładając, załatwić się z polowaniem wielkiém.

Wyprawienie polowania nie przedstawiało w Czakowcu trudności. Wszystko ku temu było z dawien dawna obmyślone. Korpus łowiecki znajdował się w porządku pod przewództwem łowczego, zawiadującego służbą liczną i wyćwiczoną, odpowiedzialną za oręż, rogi, sieci, psy, konie i ludzi. Łowczy, podłowczowie, dojeżdżacze, sieciarze, psiarki wiedzieli z góry, jak i co czynić mają. Dwór myśliwski hrabiego nie ustępował w niczém dworowi myśliwskiemu cesarza, różnił się jeszcze od tego ostatniego w tym względzie, że polem działalności jego były nie zwierzyńce, ale knieje. Hrabiego przeto interwencya w urządzeniu polowania polegała jeno na wyznaczeniu miejscowości i zapowiedzeniu rozmiarów. W celu tym z łowczym odbywał naradę i jemu już pozostawiał staranie. W tym razie narada miała miejsce przedtém jeszcze, zanim goście przybywać zaczęli, to jest przed przyjazdem biskupa tak, że nie pozostawało jak rano wstać i gromadnie na pola popisów łowieckich wyjechać.

Hrabia tedy wstał tak rano, że nie świtało jeszcze, przy świecach się ubierał i podczas kiedy odzież wkładał, posługujący pacholek oznajmił mu, że czeka na niego mnich jakiś.

— *Polonus*? — zapytał.

— Zdaje się... Wszyscy oni, jak wilcy, jeden do drugiego podobni....

Ponieważ z budzeniem gości chwilkę jeszcze wstrzymać się można było, hrabia przeto do kancelaryi swojéj przeszedł i mnicha wezwać kazał.

— Cóż mi, ojcze, powiesz dobrego?..

— *Exellentissime* — odrzekł zapytany — trafiło się mi znalezienie skarbu na drodze ...

— No?..

— Kandydat jeden i kandydat drugi... jeden Turek, drugi od lutra gorszy... niedowiarek...

I jął się mu opowiadać kwalifikacye Sapit beja, którego nazwisko, gdy przez braciszka wymówione zostało, wprawiło hrabiego w zdumienie.

— A drugi? — zapytał

— Drugim jesteś ty sam, *exellentissime*....

Zdziwiło hrabiego i to, zdziwienia atoli nie okazał po sobie. Zapytał jeno:

— Skąd-że?..

— To, co u Turka jest *anagrammatice*, u dostojności waszéj wypada *grammatice* i *laus coronat opus*... „Nic—o!—chwała...“ Śpiewając więc chwałę Boga, który mnie, ze sług swoich najostatniejszemu, dał skarby takie znaleść, pośpieszę do ojczyzny swojéj i powiem kasztelanowi: „Masz, wybieraj!..“

— Odchodzisz więc?...

— Ano... Z zadania się wywiązałem i czekam jeno na przekaz, jaki dostojność wasza zechce przezemnie kasztelanowi przesłać...

— Przedewszystkiém... pozdrowienie, a potém...

Hrabia się zamyślił. Trudność postawienia kandydatury swojéj w Polsce usuwała się przed nim w sposób niespodziany, acz dziwny trochę. Wtręt Turka do myślenia mu dawał. Czy to pomoże, czy zaszkodzi? Rozważał najprzód to ostatnie. Czyżby się Polacy na Turka zgodzić mieli? Gdyby to był jaki z imieniem głośném pasza, jakiś dostojnik wysoki, syn sułtański lub coś podobnego—ha!.. ale—bej nieznany? Co za przeszkoda zajść by z jego strony mogła. Była to rzecz nieprzypuszczalna—przeciwnie. Jak w rozprawie *argumentum ad absurdum* służy do przekonania o prawdzie, tak przy wyborach stawianie kandydatów niemożliwych służy do uwydatnienia możliwego.

Przeprowadziwszy w myśli szybko rozumowanie powyższe, hrabia dokończył odpowiedzi:

— ....a potém: cóż?.. gdyby mi Polacy losy swoje powierzyć zechcieli, starałbym się, ażeby *laus* czczym nie była wyrazem .. Zresztą — dodał — uprzedź kasztelana, że téj zimy nie jeden z przyjaciół moich do Polski zawita i zapewne brat mój tam pojedzie; gdyby zaś zapytał, co porabiam powiedz mu, że hołdując téj prawdzie, iż *quod procedere non potest, recedit,* uczę się, czytając pilnie Długosza i innych polskich autorów... Ot co... Pozostaje mi ciebie, księże, na podróż zaopatrzéć....

Rzekłszy to, wsunął braciszkowi do ręki złota sztuk kilka i odpuścił go z dobremi na drogę życzeniami.

Braciszek do biskupa się zgłosił. Biskup przyjął go w łóżku.

— No... i cóż tam?

Ksiądz Deodat podziękował mu za radę dobrą.

— Hrabia kandydaturę przyjął?..

— Przyjął....

— A daléj?

— Przyjaciele jego do Polski pojadą....

— Ahm... — z akcentem zakarbowania w umyśle odezwał się biskup.

W chwilę późniéj braciszek, poły podkasawszy, z węzełkiem w jednéj, z kijem w drugiéj ręce, drogą do Szerdaheli zmierzał i „Kto się w opiekę“ śpiewał, a kapelan biskupi pisał o kandydaturze hrabiego Mikołaja Zrini raport, pod adresem nuncyusza papieskiego w Wiedniu. Dzień świtać poczynał.

O świtaniu dnia nastąpiło budzenie gości, które odbyło się w sposób taki, że kapelan na siedzeniu podskoczył i dużym żydem pisanie swoje zaznaczył. Nagle na podwórzu zamkowym zawrzały trąby i kotły i na murach huknęły wystrzały działowe. Hrrr bum bum! Kapelan inny papier wziął, pisanie *ab ovo* rozpoczął, a po komnatach gościnnych uśpieni zrywali się. Po komnatach niewieścich wstawano także, albowiem i damy do wzięcia w łowach udziału powołane były. Jedne wyjechać miały w pojazdach, drugie wystąpić konno. W zamku ruch gorączkowy zapanował; służba przebiegała, nawoływała się; ten chwytał to, ów owo; wkradł się nieład, z którego w końcu wywiązał się ład i ład ów wyraził się pod postacią orszaku, złożonego z pojazdów i jeźdźców. Orszak z podwórca wyruszył, szereg pojazdów na drodze się wyciągnął; jeźdźcy podzielili się na większe i mniejsze grona, ciągnące przy, przed i za pojazdami. W porównaniu z wyjazdem na polowanie cesarskim, zaznaczonym wypadkiem, na którego następstwa w Wiedniu z niepokojem naj-

wyższym oczekiwano, wyjazd ów wyglądał, jak pochód hordy niesfornéj w porównaniu z maszerowaniem na placu parady armii wyćwiczonéj. Obracało się to jednak na korzyść łowów hrabiowskich. Panowała w nich swoboda. Damy nie trzymały się w szeregu. Tu jechała jedna, ówdzie druga. Hrabinie Piotrowéj towarzyszyła hrabina Erdödi; obok pań tych galopował hrabia Erdödi, który się znajdował w usposobieniu szczególném: rozmowniejszym był, jak zwykle i w rozmowie się plątał, jakby co innego mówił a o czém inném myślał. Hrabianki, siedzącéj na arabczyku karym, nie odstępował Franciszek I i za nią, niby cień, rzucony o kroków kilkanaście, jechał Jowanowicz. Hrabina Mikołajowa i ksiądz biskup w orszaku się nie znajdowali—mieli oni przybyć późniéj, na punkt zborny, na którym przysposabiała się uczta myśliwska. Nieład ów trwał jeno do skraju lasu. Przy pierwszéj kniei towarzystwo dostało się pod rozkazy łowczego, który z niego wydzielił część czynną i tę w las na stanowiska poprowadził, pozostawiając drugą losom własnym. Ta ostatnia, złożona po większéj części z płci nadobnéj, zajęła stanowisko wyczekujące. Z dam jedne z koni pozsiadały, drugie parami lub trójkami przejeżdżały się po polach. Do tych ostatnich należała hrabianka Helena. Kawaler dostojny ją opuścił, przyszlusowała do matki, lecz ponieważ w ucho wpadła jéj rozmowa o Franciszku I, jaką hrabina Piotrowa z hrabiną Erdödi toczyła, zwróciła konia w prawo nieco, ukróciła mu cugli i dłonią go po grzywie głaskała. Powodem było to, że koń niepokój okazywać począł —- niepokój, który pochodził stąd, że w lesie powstała nagle wrzawa. Założone ze strony przeciwnéj psy pobudziły echa leśne, zagrały rogi, odezwały się hukania, które wytworzyły rodzaj muzyki, mętnéj, dzikiéj lecz uchu miłéj. Hrabianka się wsłuchiwała i coraz to odstawała od matki. Ściągnęła arabczykowi cugle, obejrzała się—o kroków kilka stał na koniu oficer młody. Skinieniem głowy pozdrowienie mu przesłała. Podjechał.

— Czemużeś nie w lesie? — zapytała.

— Czemu — odrzekł, jakby go zapytanie zaskoczyło niespodzianie.

— Czy ci łowczy stanowiska nie wyznaczył?...

— O stanowisko nie prosiłem....

— Łowów nie lubisz?...

-— Łowy ja lubię, ale... dziś w nich udziału nie brać wolałem....

Ozwał się wystrzał jeden i drugi. Koń pod hrabianką się wspiął i chrapnął. Cmoknęła, po grzywie go pogłaskała—uspokoił się.

— Jak się zachowuje wila, gdy do królestwa jéj wpada napaść taka?...

— Przysłuchuje się wrzawie, jak ty, panno... Wila, a ty....

Zaczął i zamilkł.

— Co? — zapytała hrabianka.

— Wszystko jedno — odrzekł, kończąc myśl urwaną....

Hrabianka na to nic nie odpowiedziała. Konia zwróciła i pojechała stępem. Strzały się powtarzały, mnożyły. Oswojony z niemi koń zaprzestał się żachać. Trzeba go było zwrócić, albowiem przejazd w kierunku tym dalszy trudnym się z powodu krzaków i pochyłości gruntu stawał. W chwili kiedy hrabianka zwrot dokonywała, w krzakach przesunęło się dwóch ludzi. Wychodzili z głębi lasu. W rękach nieśli buławy, któremi się, jak laskami podpierali. Ludzie ci zwrócili na siebie uwagę i hrabianki i oficera.

— Co to za jedni? — zapytała.

— Coście za jedni? — krzyknął na nich młody człowiek.

Oni, zamiast odpowiedzi, w krzaki się wsunęli i w wąwóz wpadli. Ścigać ich sposobu nie było. Koń w gęstwinie przejść nie mógł. Oficer poskoczył, nawrócić jednak musiał i, odpowiadając niejako na zapytanie hrabianki samemu sobie, odrzekł:

— Zapewne są to złodzieje na zwierzynę, którą myśliwym z pod rąk wykradają....

— Co za buławy!..

— Zdarza się, że psy w głębi kniei osadzą odyńca lub niedźwiedzia... Złodzieje na wypadek taki czyhają, podbiegają i zanim myśliwi pośpieszą, jednem uderzeniem niedźwiedzia lub odyńca zabijają i unoszą... Dla tego to mieć oni muszą buławy takie....

Objaśnienie to dało początek rozmowie o łowach, podtrzymywanej przez hrabiankę nie dla tego może, ażeby się dowiedzieć o szczegółach wykradania zwierzyny, ale dla podtrzymania sprawiającej jej zadowolnienie rozmowy. Bywają sytuacye sercowe takie, w których się uczuwa potrzebę słyszenia głosu miłego. Może jej głos Jowanowicza miłym był. Jadąc przeto stępem, toczyła z towarzyszem rozmowę, którą przerwało wynurzenie się myśliwych z kniei. Wyszli gromadką ze zdobyczą, z ożywionemi obliczami, z hałasem; książe Franciszek I do hrabianki podszedł i opowiadać począł, jak mu w gęstwinie jeleń „zwierciadło“ pokazał; łowczy od czasu do czasu w róg uderzał, zwołując na punkt zborny tych, co się jeszcze nie pokazali; wreszcie ściągnęli i wszyscy, nie brakło nikogo, hrabia Mikołaj dał rozkaz, — towarzystwo wesołe do innej przeniosło się kniei.

Znów nastąpiło rozstawianie myśliwych, zakładanie psów, nawoływanie dojeżdżaczy, zławianie się ogarów na tropach, gonienie na tropie, gonienie na oko, zalanie ostępów leśnych potokami mu-

zyki wokalno-instrumentalnéj, strzały, hałasy, opuszczanie kniei, zbieranie się na punkcie zbornym i przenoszenie się na inne popisów pole. Powtarzało się to pięć razy—do południa i po spolowaniu kniei ostatniéj nadeszła pora, w któréj się myśliwym posiłek należał. Na koniec ten wszystko się w pogotowiu znajdowało. Na wyznaczonym z góry punkcie kucharze krzątali się od rana; pacholkowie zawczasu stoły pozastawiali; hrabina Mikołajowa, ksiądz biskup i parę jeszcze osób nadjechali; nie pozostawało, jak zasiąść do biesiady, do któréj wabiła wydzielająca się z kotłów woń rozkoszna gulaszu. Gulasz na Węgrzech tę samę w życiu odegrywa rolę, co bigos w Polsce. Biesiadnicy do stołu zasiedli, jedli, pili, opowiadali, żartowali—wesoło im było, wesoło tak dalece, że pod koniec nastąpiły toasty i przemowy po łacinie. Toast pierwszy wniósł Andreassy na cześć hrabiego Mikołaja, iż jelenia strzałem trafnym od razu powalił; toast piąty czy szósty wniósł Nadasdy na cześć młodéj pary, któréj nie nazwał, pozostawiając to domyślności słuchaczy, ale o któréj prawił dużo, wróżąc z połączenia jéj korzyści dla kraju ogromne i zaszczyty. Kiedy o zaszczytach wspomniał, biskup krzyknął:

— *Vivat rex!..*

Okrzyk ten wydał niechcący niby, a wydając, miał oczy w hrabiego Mikołaja wlepione. Hrabia spojrzał na biskupa ze zdziwieniem; Nadasdy na chwilkę oniemiał, następnie odchrząknął, słów kilka dodał i przemówienie swoje zakończył:

— *Et caetera... et caetera...*

Biskup głos zabrał.

— Wnoszę—zaczął—zdrowie króla lasów, tego niewidzialnego i tajemniczego króla, któremu hołdujemy mimo, że go nie znamy i który tém się zaleca, że nie on od nas, ale my od niego daninę pobieramy....

Opowiadał o królu tym w sposób humorystyczny, słuchaczy do śmiechu pobudził i zatuszował wrażenie, jakie sprawił okrzykiem nie w porę wydanym.

Uczta myśliwska zakończyła się wesoło i po uczcie łowy rozpoczęły się na nowo. Towarzystwo znów przenosić się poczęło z miejsca na miejsce, zmierzając do kniei wyznaczonéj na łowów punkt ogniskowy z powodu, że znajdowało się w niéj legowisko niedźwiedzia. Na niedźwiedzia wszyscy razem i każdy z osobna ochotę ostrzyli. Myśliwi na stanowisku udali się z oszczepami i rozstawieni zostali w sposób taki, ażeby, gdy zwierz na którego wyjdzie, pobocznicy mogli z pomocą śpieszyć. Łowczy instrukcye dawał.

— Strzał hasło — powtarzał. Strzał trafny w lesie zdarza się rzadko; zwierz raniony rozjusza się i na strzelca rzuca, należy nieść

mu pomoc niezwłoczną, ale, broń Boże! przed strzałem... Strzał hasło!.. Strzał hasło! — nakazywał.

Ta łowów część rokowała moment uroczysty i dla tego ci wszyscy, co się do kniei nie udali, czekali zgromadzeni w punkcie zbornym, jedni konno, drudzy w pojazdach, inni piechotą. Biskup w *koczi* swoim przybrał pozycyą wpółleżącą i na łokciu wsparty zaczepiał słówkiem tego i owego. Z kolei zaczepił młodego Jowanowicza.

— Nie pachnie ci las, młodzieńcze... hę?...

— Nie dostało by mi się w nim stanowiska u wagi kniei — odpowiedział zagadnięty.

— Hm... hm?.. — odparł biskup. — Wolisz stanowisko u progu wysokiego....

— *Eminentissime!*—odrzekł z przyciskiem młody człowiek, któremu krew do głowy uderzyła.

Przez szacunek atoli dla fioletów do wyrazu tego nic nie dodał — na stronę odjechał.

W momencie tym las odgłosem łowów zawrzał. Odgłos pierwszy doszedł zdaleka i wywołał natężenie oczekiwania. Wszyscy słuchy nastawili. Nastała chwila ciszy, las głucho szumiał i do uszu wpadł odgłos powtórny, który, jak poprzedni, w ciszy utonął. To samo spotkało trzeci i czwarty. Było to zławianie się psów, które wietrzyły, na trop jednak jeszcze nie wpadły, naszczekiwały w pojedynkę, aż szczekanie ozwało się najprzód podwójne, dalej potrójne, poczwórne i przeszło nagle w gromadne. Psy trzydziestu kilku głosami zagrały razem. Graniu temu zawtórowały okrzyki dojeżdżaczy, klaskanie harapów i wrzaski rogów myśliwskich. Ostępy zawrzały hałasem ogromnym, hałasem, służącym za ustęp i za wtór do strzału pierwszego, owego strzału przez łowczego zapowiedzianego, zastrzeżonego i w instrukcye szczegółowe zaopatrzonego. Na strzał ów z wytężeniem uwagi oczekiwano. Hałas wrzał, zbliżał się, coraz to się wyraźniejszy stawał; zdarzało się, że psy tuż obok ujadają; echa ujadaniu w tysiąc, w milionkrotnych odbiciach wtórowały. Strzał słyszéć się nie dawał. Oczekiwano—oczekiwano. Oczekiwanie wkońcu rozstrzygnęło się w sposób niespodziany i nieprzewidywany, uderzając nie słuch ale widzenie.

Strzał się słyszéć nie dał. Ukazał się niedźwiedź.

Niedźwiedź bez strzału z lasu nieopodal od gromady oczekujących wyszedł i, poprzedzając docierającą do niego a ujadającą zajadle trzodę ogarów, w pole ruszył. Ujadanie straszyło go widocznie, albowiem śpiesznie mu się działo. Z sił całych rwał.

Nagle jego ukazanie się sprawiło na punkcie zbornym popłoch nie tyle pomiędzy ludźmi, co pomiędzy końmi. Woźnice konie w po-

jazdach ledwie ułagodzić zdołali; arabczyk pod hrabianką w bok się rzucił, wspiął się, furkał, prychał—ledwie nieledwie, dzięki krwi zimnéj i zręczności téj, co go dosiadała, do spokoju powrócił. Za niedźwiedziem i psami w pogoń rzucili się huzary a z nimi i Jowanowicz. Z głębi lasu wynurzali się jeden po drugim dojeżdżacze, oglądali się z wyrazem zdumienia na obliczach i pędzili w ślad za huzarami. Zdumienie było wyrazem ogólnym, jaki się na twarzach oczekujących płci obojga przebijał.

Po wysypaniu się z lasu służby łowczéj wysunął się łowczy, człek w latach podeszłych; na koniu siedział; w ręku jedném harap długi, w drugiém róg bawoli trzymał. Oblicze jego wyrażało nie zdumienie, ale oburzenie: oczy gniewem strzelały, z ust klątwy padały. Wypadł, za znikającemi w dali niedźwiedziem, psami, huzarami i dojeżdżaczami okiem rzucił, stanął, róg do ust przyłożył i na zbór uderzył. Tony drżące a potężne polały się z rogu, echa je podchwyciły, łowczy, któremu się policzki wydęły, lica poczerwieniały i oczy krwią nabiegły, dął, rogiem zlekka wstrząsał, dął — wreszcie od ust róg odjął.

— *B... a terem, a tiszen, a zanja!.. I.... ja niegowa majka, otac Jezus Christus!*—klął po węgiersku i po kroacku. I jakiż to, jaki głupiec wielki niedźwiedzia puścił?.. Co to się stało!.. Skończenie świata!.. — i znów kląć w ojca, w matkę, w Trójcę świętą, w Pana Boga, w Jezusa Chrystusa i w kozę począł.

Doborem i dosadnością klątew celują Węgrzy i Słowianie południowi.

Łowczy folgę dawał złemu, jaki go słusznie opanował, humorowi; tymczasem zaś z lasu myśliwi jeden po drugim wychodzić poczęli. Każdy wychodził z zapytaniem na ustach.

— Co to się stało?..

Łowczy zamilkł—zęby jeno zacisnął i odwracał się, nie mając do kogo wyrażenia „głupiec wielki“ zastosować, ci bowiem, co się z lasu wynurzali, byli to sami baronowie, hrabiowie, książęta—sama szlachta wysoka: Nadasdowie, Bathaniowie, Karolyowie, Andrassyowie, Tekölowie, Erdödyowie, wreszcie hrabia Piotr, książe Franciszek I Rakoczy. Z nich to któryś niedźwiedzia puścił. Każdy pytał: „Co to się stało?“ .

Wrócili dojeżdżacze z psami; wrócili huzary z Jowanowiczem: niedźwiedź góry dopadł i nie było już co myśléć o nim. Łowczy by chętnie nie myślał o niczém; ochota go zbierała plunąć i do domu odjechać i byłby to uczynił, gdyby program nie obejmował obsadzenia jeszcze dwóch kniei, z których jedna z powodu dzików szczególne miała znaczenie. Pomimo jednak, że się zgromadzili już wszy-

scy. przenosić się do kniei następnéj nie można było. Zgromadzili się wszyscy z wyjątkiem jednéj, najważniejszéj osoby: gospodarza, hrabiego Mikołaja. Ciąg dalszy łowów od jego zależał rozkazu. Na rozkaz ten łowczy czekać musiał. Czekał—czekali wszyscy, nikt atoli z taką, jak on, niecierpliwością. Myśliwi rozprawiali o nadzwyczajności wypadku, przemknięcia się niedźwiedzia niepostrzeżenie przez szereg strzelców; łowczego rozprawy te gniewały, z konia zsiadł i w las, zmierzając ku wyznaczonemu dla hrabiego stanowisku, poszedł.

Niebawem o słuchy myśliwych uderzyło trąbienie na „bywaj!“ Trąbieniem takim strzelec zwołuje grono łowcze do trupa zwierzyny zabitéj. Rozprawy na raz jeden umilkły; sam jeno biskup tłómaczył, że niedźwiedź ów skrzydła posiadać musiał i przez szereg strzelców przeleciał. Słowa biskupa jednak brzmiały w próżni. Dojeżdżacze się na piechotę do lasu rzucili. Nastała chwila milczenia, znamionującego natężenie oczekiwania. Sam biskup zamilkł nawet i w momencie, kiedy się do wygłoszenia konceptu jakiegoś zabierał, zamiast konceptu wystosował do stojącego obok koni jego Erdödiego zapytanie:

— Czegoś tak, hrabio, zbladł?..

Erdödi blady był, jak chusta. Na zapytanie nie odpowiedział, zresztą na odpowiedź czasu nie miał, albowiem w tejże chwili łowczy i dojeżdżacze z lasu się wynurzyli, dźwigając hrabiego Mikołaja trup.

Wrażenia, jakie na obecnych widok ten sprawił, opisać ani opowiedzieć nie sposób. Serca przejęła zgroza, która odbiła się na obliczach wszystkich. Do trupa poskoczyła żona. „Jezus Marya!“ jęknął brat. Obecni skupili się około złożonego na ziemi ciała a łowczy, głosem łzami nabrzmiałym, odezwał się tonem uroczystym:

— Oto kto niedźwiedzia puścił...

— Niedźwiedź go zamordował...—ktoś rzekł w tłumie.

— Nie...—odpowiedział łowczy. Niedzwiedź przez zamordowanego przeszedł...

XXI. Gońce.

Oględziny ciała bohatera, do którego się dwa narody przyznają i którym się obydwa chlubią, wykazały, (z czém się i historya zgadza), że na polowaniu, ale nie od dzikiego zwierza zginął. Znaki dopatrzone świadczyły wyraźnie, że morderstwa dokonała ręka człowiecza. Z racyi tej w gronie myśliwych zapanowało oburzenie głębokie a powszechne, oburzenie, które się nie mogło inaczéj, jak pod

dwiema wyrazić postaciami: pod postacią zapytania, kto to sprawił, i pod postacią pragnienia naprowadzenia na sprawcę karzącéj ręki sprawiedliwości. Zapytanie i pragnienie zlewało się w jedno. Ręka sprawiedliwości odszukać mogła sprawcę czy sprawców, których osłoniła tajemnica leśna. Na stanowiskach najbliżéj od nieboszczyka stali, z jednéj strony, hrabia Piotr, z drugiéj, książe Rakoczy.

— Toć zbrodnia taka bezkarnie ujść nie może!..—odezwał się pierwszy.

— Sprawiedliwości!.. sprawiedliwości!..—zawołał hrabia Piotr.

— Gdzie jéj szukać?..—ktoś zapytał.

— W Wiedniu... — odpowiedział hrabia Erdödi, który, jako nadkapitan w Warasdynie, był w tym razie przedstawicielem władzy miejscowéj. Do Warazdynu jadę i depeszę wnet sztafetą wyprawię...

Słowa te w zgiełku żalu oburzenia i rozpaczy zabrzmiały bez echa. Jeden jeno biskup je podchwycił i on jeden na nie odpowiedział:

— Sztafety nasze na żółwiach jeżdżą...

Hrabianka Helena słyszała i słowa Erdödiego i uwagę biskupa. Śród zamieszania ogólnego ona jedna zachowywała na wiek jéj i na płeć dziwną umysłu przytomność, zapowiadającą ów heroizm, jaki w przyszłości rozwinąć miała. Jak skoro uwaga biskupa o uszy się jéj obiła, wnet się zwróciła, oczami po tłumie przez chwilę powodziła i poszła. Poszła wprost do stojącego z boku oficera młodego.

— Jedź natychmiast do Wiednia!..—rzekła.

— Pojadę...—odrzekł.

— Do markiza Frangopano... Wiesz po co?..—zapytała.

— Wiem...

W chwilkę późniéj namiestnik Jowanowicz, na koniu tym samym, na którym polowaniu asystował, do Czakowca nie zajeżdżając, w podróż ruszył. Koń pod nim był dobry, droga znana, oznaki służbowe zapewniały mu bezpieczeństwo w obec podejrzliwości władz, porządku i spokoju publicznego przestrzegających.

Odjazd jego odbył się niepostrzeżenie. Nikt na to nie zwrócił uwagi, skupionéj około zwłok martwych człowieka, co takie wydatne stanowisko zajmował i tak ogólną w kraju miłość i ufność posiadał. Żona lamentowała, kobiety płakały, mężczyzni rzucali wyrazy, stan dusz ich malujące i istotę zbrodni określić probujące.

— Cios ten na nas z Wiednia spadł...—odezwał się młody jeden człowiek, co razem z Rakoczym przyjechał—niezawodnie z Wiednia... Chybażbyśmy ludźmi nie byli, gdybyśmy to Wiedniowi zapomnieli...

— Zemsta!.. zawołał młody Rakoczy, rękę z pięścią zaciśniętą podnosząc do góry.

Wywołania tego nie powtórzyli wszyscy dla téj jeno przyczyny, że wywoływania inne w powietrzu się krzyżowały.

Powtórzyła je jednak hrabianka Helena nie ustami, ale wejrzeniem, jakie na Franciszka I zwróciła. Wejrzeniem tém podziękowała mu i sprzymierzyła się z nim niejako.

Oburzenie było ogólne. We względzie tym wyjątku nie czynił biskup, którego trud cały dochodzenia tajemnic obrócił się w niwecz. Tajemnica, którą zgłębił, któréj uzupełnienie na późniéj odłożył i po któréj spodziewać się mógł korzyści dla siebie na drodze dyplomatycznéj, rozwiała się nagle nakształt mary. Zawód taki w rachubach zirytował go i na drogę podejrzeń wprowadził. Czyja to sprawa?

— Wiedeń... Wiedeń...—powtarzano do koła niego.

— Zemsta...—w uszach mu zabrzmiało.

Zanotował sobie w myśli jedno i drugie i, w milczeniu, wyrazy fizyognomii studyował.

Dostrzegł wejrzenia hrabianki.

Zwrócił uwagę na ożywienie niezwykłe, z jakiém się, w imię sprawiedliwości, Erdödi na morderców odgrażał.

Przypatrywał się badawczo hrabiemu Piotrowi, hrabinie, księciu Franciszkowi i szukać się jął w tłumie młodego oficera. Szukał—nie znajdował; szukał daléj, obracał się i zapytał pierwszego lepszego:

— Jowanowicz?..

— Tu gdzieś być musi ..—była odpowiedź

— Nie ma go...

— Przed chwilą go widziałem...

— I jam widział..

Daléj się oglądał, ale, luboć posiadał oko bystre, dopatrzéć by nie potrafił człowieka, którego przed oczami jego zasłoniły już lasy i gruntu załomy.

Jowanowicz posuwał się po drodze zrazu kłusem; zmiarkowawszy jednak, że chód ten prędko konia zmęczy i dojścia do Wiednia możności go pozbawi, w stęp go wprowadził. Na wypadek wprawdzie, gdyby koń pod nim osłabł, miał resurs wymiany na gorszego, ale świeżego, nie mógł się jednak na to spuszczać. A nuż by zawód go spotkał! Nie wszędzie i nie zawsze konie się do zamiany trafiają. Postanowił więc oszczędzać tego, na którym siedział i zawieść markizowi wiadomość smutną nie tak prędko, ale za to na pewne. Spodziewał się przytém do Wiednia prędzéj, aniżeli sztafeta, dotrzéć, a opierał nadzieję tę na tém, że, dla wyprawienia sztafety, musiał

nadkapitan najprzód do Warazdina wrócić, gońca wyszukać—goniec mógł pijany być,—raport napisać i wysłać takowy z punktu bardziéj od Wiednia oddalonego, aniżeli ten, z którego on ruszył. Że zaś wieczerzało już, przypuszczał przeto, że wysyłka gońca nastąpi nazajutrz dopiero. Miał więc nad sztafetą przewagę pośpiechu znaczną, przewagę, którą się do końca zatrzymać spodziewał, postanowiwszy na popasach i noclegach zatrzymywać się tyle tylko, ile koniowi do wytchnięcia i pokarmienia się potrzeba.

Wieczór nadszedł—noc nastąpiła. Wieczorem słońce przed zajściem chmurami się osłoniło. Był to dzień rozpoczynających się w r. 1664 słót jesiennych—dzień polowania onego, które się upamiętniło spadnięciem Leopolda I z konia i następstwami, zagadkowością brzemiennemi. Podczas kiedy usychały dyplomatów wiedeńskich mózgi, porucznik z komendy Zrinich kłopotał się, czy pogoda dotrzyma.

— Byle wytrzymała jutro pojutrze...—powiadał sobie.

Rozliczał sobie tak. Miał przed sobą mil trzydzieści bez mała, to znaczy, godzin trzydzieści. Dwie doby—godzin czterdzieści osiem. Na popasy i noclegi potrącał godzin osiemnaście i uważał, że to więcéj, aniżeli potrzeba—na dobę po godzin dziewięć. Z dobrą więc myślą i z otuchą czesał traktem, układając sobie w głowie, jak to markizowi o wypadku opowie i jak go do domagania się sprawiedliwości pobudzi.

— Byle jeno pogoda wytrzymała...

Niestety, pogoda nie dopisała. Z nocy się zasłociło. Nie powstrzymało go to atoli. Konia pokarmił, sam troche się zdrzémnął—czasu sobie trzech godzin nie zabrał i daleko jeszcze do dnia było, kiedy w drogę dałéj ruszył. Mokł a jechał—pośpieszał. Po dniu na wytchnięcie przystanął—koniowi siana założył, po południu znów przystanął—pokarmił konia owsem. Deszcz wciąż mżył, nad wieczorem jednak to go pocieszyło, że miał po za sobą większą drogi połowę.

Nic mi chyba nie przeszkodzi jutro nad wieczorem na miejsce zajechać i najpierwszy wiadomość do Beczu (Wiednia) zawieść...

Co do zawiezienia wiadomości omylił się. Gdy do miejsca, na którém noclegować zamierzył, dojeżdżał, dopędził go i w pędzie wielkim wyminął na lotnym koniu jeździec. Koń i jeździec byli całkiem błotem obryzgani. Mimo to wydało mu się, że poznał człowieka z Warazdina.

— Goniec... sztafeta ..—rzekł do siebie. Wiater goni... na rozstawnych chyba koniach jedzie...

Domysł ten jego trafnym był. Od chwili, jak się do Czakowca goście zjeżdżać poczęli, rozstawnych koni dziesięć na trakcie z Warazdina do Wiednia na gońca tego czekało.

— No... to już ja go nie wyprzedzę...—powiedział sobie. Ale markiz się chyba odemnie pierwszego dowie, boć goniec stanie w Wiedniu jutro i ja jutro stanę...

Nie miał jednak zupełnej, ażeby to sztafeta była, pewności. W jeźdźcu „wydał mu się“ człek z Warazdina.

Zaniósł do niebios prośbę o pogodę na dzień jutrzejszy, prośba atoli jego poszła w niebiosach *ad acta*. Nie tylko deszcz nie ustawał, ale się chwilami do deszczu śnieg przyłączał. Dokuczało to młodemu człowiekowi, nawet bowiem okryć się należycie nie miał czém. Odzież zwierzchnia wiatrem podszyta nie ochraniała go ani od przemoknięcia, ani od zziębnięcia Zębami dzwonił, ale od powziętego postanowienia nie odstępował. Pamiętał, kto go wyprawił i pamięć ta tak dalece ochotę w nim rozbudzała, iż mu spoczywanie dłuższe na myśl ani przychodzilo. Jechał, wciąż jechał—pośpieszał, dojechał i:

— *Halt*!...

Słowem tém zatrzymano go na rogatce wiedeńskiéj. Wyszedł do niego sam komendant warty.

— Skąd?.. dokąd?..—zapytał.

— Czyż nie widzisz, com za jeden!..—odpowiedział.

— Tylko com dostał rozkaz, bez uwagi na honor rozpytywać przyjezdnych i wyjezdnych... Masz glejt?..

— Glejt mój... o!..—odrzekł, na oznaki odzieży swojéj wskazując...

— To nie dosyć...—odparł komendat. Z konia zsiądź i na strażnicy ze mną się rozmów...

Wezwaniu temu młody człowiek nie uczynić zadość nie mógł. Strażników gromada do koła go, obstępowała.

Na strażnicy komendant wzręcz go zapytał:

— Tyś z Czakowca?..

— Ano... z Czakowca...

— Jedziesz do markiza Frangopano?..

— Do markiza...

— Wieziesz pisanie jakie?..

— Żadnego...

— Ano... Rozmówię się z tobą o tém w plackomendzie, dokąd cię strażnicy zaprowadzą...

— Cóż to znaczy?..—zapytał Jowanowicz.

— Nie wiem... to rzecz nie moja...

Gadania nie było; opieranie się sensu by nie miało. Jowanowicz w towarzystwie sześciu w halabardy uzbrojonych strażników zaprowadzony został wprost do więzienia. Dozorca na wstępie zre-

widować go kazał. Po dokonaniu rewizyi zamknięto go w celi osobnéj ciemnéj, chłodnéj i ciasnéj, w któréj znalazł na podłodze trochę słomy zmierzwionéj, w jednym kącie bochenek chleba i dzbanek z wodą, w drugim szaflik.

— Ano... masz!..—zawołał.

Uczuł gniew i żal wielki. Gniew i żal myśléć mu przeszkadzały. Nie wiedział, co z sobą począć—głową muru rozbić nie mógł. Nie pozostawało mu nic innego, jak na słomie się położyć. Poprawiał się, przewracał, długo zasnąć nie mógł, w końcu jednak zasnął. Przed uśnięciem majaczyło się mu: o koniu, z którym nie wiedział, co się stało i o hrabiance Helenie, z któréj polecenia wywiązać się nie był w stanie. Kto to sprawił?—Niemcy. Ach!—ochota go zbierała Niemcy z rogów czterech podpalić i kraj niemiecki wraz z ludźmi z dymem puścić. Majaczenie to przez noc całą po głowie mu się snuło...

Nazajutrz obudził się, wstał; w myślach mu się jaśniéj nieco zrobiło. Domyślił się mianowicie tego, że aresztowanie sprowadziła nań śmierć hrabiego Mikołaja.

— Ów jeździec, co mnie minął, była to sztafeta, która mnie wyprzedziła...—rzekł do siebie. Szwaby grafa zamordowali, inaczéj bowiem: na cóż by patrzyli za ludźmi z Czakowca?.. O! szwaby...

Po izdebce ciasnéj kręcił się, ku górze do okienka spoglądał i myślał. Położenie jego wiele miało podobieństwa z położeniem ptaka pojmanego i w klatce zamkniętego. Położenie takie miłém ani zabawném nie jest, w samotności zwłaszcza. Samotność wprawdzie młodemu człowiekowi zaciężyć czasu jeszcze nie miała i wkrótce ustała. We drzwiach zgrzytnął klucz, drzwi się otworzyły—przybył Jowanowiczowi towarzysz do celi wepchnięty. Przybyły po węgiersku zaklął. Młody człowiek uszom i oczom własnym wierzyć nie chciał, poznając w wepchniętym Janosza, huzara, co do świty markiza należał. Zdziwienie jego było wielkie, nie mniejsze jak Janosza, gdy w nim porucznika poznał.

Jeden jechał z Czakowca, drugi do Czakowca—obydwa niby w samotrzask wpadli. Huzar splunął, klął i wyrażał żal swój, że się na strażnicy szabli dochwycić nie mógł.

— Byłbym bodaj paru szwabom łby rozpłatał... Ujęli mnie huncwoty podstępem... Jam im glejt pokazywał, a oni mnie za ręce pochwycili...

Wymyślał Niemcom, wyrazów dobierając i gęby nie żałując. Jowanowiczowi do słowa przyjść nie dawał i na zapytania jego nie odpowiadał tak, że ten ostatni z motywowań jeno, w jakie zaopatrywał klątwy, domyślił się, że wiózł do Czakowca list od markiza i że list ten odebrany mu został.

— Czy markiz wie?..

— Wie, żem wyjechał, ale oni nie głupi zawiadamiać go, że mnie pojmali... Sami glejt dali... gubernator podpisał i pieczęć wystawił... *B... a terem, a tiszen...*

Nie szczędził niemieckich matek, ojców, bogów, kóz i innych tym podobnych i niepodobnych rzeczy. Ledwie nieledwie Jowanowicz dokazał tego, że na jego zapytań parę odpowiedział. Wreszcie zamilkł nagle - języka w gębie zapomniał, gdy w słuch wpadły mu po raz trzeci powtórzone wyrazy:

— Graf Mikołaj zamordowany...

— *B... terem tiszen...*—jęknął i oniemiał.

Po dłuższéj dopiero chwili odezwał się:

— Zamordowany?..

— Z tą właśnie wiadomością jechałem do markiza, ażeby się o sprawiedliwość upomniał...

— U kogo?..

— U cesarza...

— Toć nie wiesz chyba, że markiz sam aresztowany.

— Aresztowany?.. za co?..

— Za co?.. nie wiesz?..

— Skądże !..

— Na cesarza skoczył i tak go zdusił, że mu o mało kiszek nie wydusił...

— Więc ciebie nie markiz wysłał...

— Markiz...

— Puścili cię do niego, do więzienia?..

— Do więzienia!.. Nie do więzienia... Markiza by do więzienia tak, jak mnie albo ciebie wtrącali!.. Nie... Areszt mu naznaczyli w domu...

— Cóż to było za duszenie?..

— Duszenie... no...

— Skąd?.. jak?.. kiedy?.. za co?..

— Za to, że cesarz na koniu jeździć nie umie... Co to za cesarz taki!.. Koń skoczył, a on... klap!.. Markiza na to gniew taki przejął że się na cesarza rzucił i o mało, o mało go nie zadusił...

— Kiedyż to się stało?

— Dni temu trzy... zanim się zasłociło... Rzecz świeża...

— Gdzież się to zrobiło?..

— Na polowaniu...

— To znaczy, w dniu tym samym, w którym grafa Mikołaja zamordowano...

Wyrazy te usłyszawszy, huzar kląć na nowo zaczął, dołączając do klątew pogróżki pod adresem Niemców. Obiecywał mścić się na nich, zaczynając dzieło zemsty od karczmarza w Czakowcu.

— Zbiję go na winne jabłko!..

Minęło czasu sporo, zanim krew zimną odzyskał i do rozmowy porządnéj umysł swój przysposobił.

Rozmowa porządna nawiązała się około troski Jowanowicza zawiadomienia markiza Frangopano o śmierci gwałtownéj hrabiego. Jakby tego dokazać? Przedstawiło się do rozwiązania zadanie, które—jak zwykle w podobnych dzieje się razach—naprowadziło na myśl zamiar ucieczki z więzienia. Postawienie kwestyi nasuwało pomysły, tyczące się sposobów doprowadzenia zamiaru do skutku. Huzara to zajęło żywo. Po izdebce kręcił się, nogą o podłogę i o ściany stukał, głowę do góry podnosił i uwagę na okienko zwrócił.

— Najprzód—rzekł—należałoby na świat boży wyjrzéć...

Okienko znajdowało się wysoko, w izbie zaś nie było sprzętu żadnego, przy pomocy którego wspiąć by się można. Medytował nad tém Jowanowicz, medytował huzar; wreszcie ten ostatni na taki koncept wpadł: pod okienkiem stanął i do Jowanowicza rzekł:

— Leź po mnie...

Sposób ten się nadał. Na ramionach huzara stojąc, porucznik położenie zrekognoskował. Ściana więzienna wychodziła ze strony téj na plac pusty i niebrukowany; okienko nad poziomem wzniosło o piętro, było jednak zakratowane.

— Gdyby nie kraty...

— To co?..—zapytał huzar.

— Wyskoczyć by można.

— A krat wyłamać nie można?..

W sensie zapytania tego rozpoczęły się wnet próby, po próbach zaś nastąpiła robota. Jowanowicz i Janosz mieniali się jeden na ramionach drugiego, majstrowali, pracowali przez dzień cały, w ciągu którego przeszkodzono im raz jeden tylko. Stróż wody świeżéj i chleba nieświeżego przyniósł. Praca usilna do tego doprowadziła rezultatu, że, zanim wieczór nadszedł, krata nie stanowiła już przeszkody do wyskoczenia. Wieczorem stróż znów wszedł, Janoszowi kazał szaflik wynieść, więzienie zamknął i więźniów samym sobie zostawił. Nie długo téż z wykonaniem zamiaru zwlekali. Najprzód Jowanowicz, następnie Janosz po uwiązanym do futryny pasie do okienka się dostawali i jeden po drugim na wolność się wydostali. Deszcz, ciemność, ziemia wilgocią rozmiękczona dokonanie zamiaru im ułatwiły. Z po pod muru, niby dwa cienie, przez plac się przesu-nęli, miasta dopadli i drogą najkrótszą wprost się do mieszkania mar

kiza udali. Janosz za przewodnika służył. Bez niego Jowanowicz, gdyby się był z więzienia wydobył, nie mógłby, miasta ani położenia zajmowanego przez markiza domu nie znając, wieczora tego z zadania się wywiązać. Pod przewodnictwem huzara przyszło mu to z łatwością. Po niewięcéj jak półgodzinnym chodzie, więźniowie na ulicę, przy któréj dom leżał, weszli i na wstępie widokiem niezwykłym porażeni zostali. Wszystkie inne, któremi przechodzili, ulice w ciemności tonęły; w téj uderzyły ich światła, bijące od szeregu latarni i pochodni.

— Co to... pogrzeb?..—odezwał się Jowanowicz.

— Boga mi...—odparł Janosz. Nie wiem... Markiz, markizka, grof Orfeosz dziś rano żywi byli i zdrowi... a chociażby które umarło, toć by się tak z pogrzebem nie śpieszono... Nie wiem, co to znaczy...

Podchodzili ostrożnie, lękając się, jako zbiegowie z więzienia, na światło wystawiać. Z racyi téj zapytywać nie śmieli. Huzar klął, miarkował, głową kręcił, palec do czoła przykładał—do głowy po rozum szedł. Chodziło o to, ażeby się do domu wsunąć niepostrzeżenie. Po namyśle i miarkowaniu:

— Ano — rzekł — innéj tu rady nie ma, jak z tyłu zajść... Chodźmy...

Poszli w kierunku wstecznym.

Dom, który markizostwo zajmowali, przypierał do ogrodu, ogród zaś wychodził na ulicę tylną, od któréj oddzielał go mur wysoki. W murze tym była furtka, ale się na klucz zamykała. Mur wszelako przeszkody stanowić nie mógł dla tych, co w więzieniu kraty wyłamali. Jowanowicz wdrapał się po grzbiecie huzara, z wierzchołka podał temu ostatniemu rękę i obydwa razem zsunęli się do ogrodu na pokład burzanów zeschłych.

— No... a teraz, daléj!..—odezwał się huzar.

Po namokłéj grząskiéj ziemi dotarli do podwórca, które po jednéj stronie zajmowały stajnie, po drugiéj oficyny. Na podwórcu panowała cisza, zalewała je ciemność; w oficynach z jednego tylko okna biło światło. Zachodził kontrast z ulicą, który zbiegów zastanowił. Huzar sie zatrzymał.

— Co to znaczy?..—zapytał—tam jasno, tu ciemno?..

— Ja... to ciebie pytać powinienem...

— Ph... Na niebie i na ziemi dzieją się rzeczy...—odrzekł Janosz słowami Szekspira pomimo, że o Szekspirze nie słyszał i czytać nawet nie umiał, dla tego téż inaczéj, aniżeli wielki dramaturg, frazes swój uzupełnił:—których ja nie rozumiem... Tam jasno, tu ciemno?.. Hm?.. Ano... chodźmy, ale ostrożnie...

Na podwórzu podeszli do okna oświeconego, do środka zajrzeli i zobaczyli trzy młode kobiety szyciem zajęte.

— Szwalnia markizki... — szepnął huzar i dodał, palcem przez okno wskazując: — Na szwaczkę tę człek by się złakomił, choć to niemka...

— Chciałbym się z markizem widzieć... — zauważył Jowanowicz...

— A ba... A nuż to pogrzeb jego właśnie?..

— Dowiedzieć się o tém potrzeba...

— Czekajże... pomiarkujemy... Stąd do domu, wejść można... Tak sień, a tak schody... a tam—dodał, palcem wskazując na okiennicę zamkniętą — pokój grofa Orfana... Przez grofa można by markizowi dać znać...

— Czy graf jednak nie śpi?... Czy jest u siebie?...

— Albo śpi, albo nie śpi, a jeżeli go u siebie nie ma, to jest Jowanni, jego lokaj stary... Jowanniemu powiedzieć tylko: „Psss“... on grofa przywoła a nawet i do markiza samego pójdzie... Ot co... No... Ale: po co my tam obydwa?.. Idź ty, ja... poczekam...

Jowanowicz, rozpytawszy dokładnie o położenie pokoju hrabiego Orfeusza, drzwi otworzył, do sieni wszedł, po omacku, ponieważ w sieni ciemno było, na schody trafił i na piętro się dostał. Na piętrze bez trudności zoryentować mu się przyszło, kierując się wedle skazówek przez huzara udzielonych.

XXII. **Uczucie i interes.**

Przyjazd sztafety, wyprawionéj przez hr. Erdödiego wprost do kanclerza, poprzedziły zdarzenia, odnoszące się do tego świata, co w duszy ludzkiéj całkowicie zamknięty, ze światem zewnętrznym styka się za pomocą wrażeń. Horyzonty świata tego są raz ciasne, znów szerokie, stosownie do tego, jakiéj natury jest punkt ogniskowy: *ja.*

Ja, ah! to ja!... Jak się ono mieni! U jednych wypromienia ze siebie popędy, chęci, intencye, wobec których samo w cień się usuwa; u drugich—przeciwnie, rwie się naprzód z pragnieniem podporządkowywania wszystkich i wszystkiego pod sztandar własny. W jednych się objawia odśrodkowość, w drugich dośrodkowość, u wielu zaś ta z tą znajduje się w stanie walki ustawicznéj, przeważającéj zwycięstwo raz na stronę pierwszéj, znów na drugiéj. Ja działa, nurtuje — w społeezeństwach pierwotnych brutalnie, w społeczeństwach, co się na pewnym stopniu rozwoju cywilizacyjnego znajdują, w ochełznaniu.

U Leopolda I ja, z natury swojéj mocno dośrodkowe, mocnemu też podlegało ochełznaniu. Wychowanie ujęło je w karby, przy których postawiło wartowników, nadziało pojęciami o obowiązkach, któremi się nawskróś przejął i którym się w niewolę oddał. Był to pan, uważający siebie w przekonaniu głębokiém za bożego na ziemi namiestnika i niewolnik zarazem. Przy wychowywaniu go nie zapomniano, że posiada on rozum i serce i skierowano rozum jego ku wyżynom mistycznym, w których dopatrzył astrologią i alchemią, sercu zaś ukazano rozkosze artystyczne malarstwa i muzyki, które mu starczyły tak długo aż nie obudziły się w nim ludzkiéj, młodzieńczéj natury popędy. Astrologia i alchemia, malarstwo i muzyka nie sprzeciwiały się wpojonym weń doktrynom. Popędy się sprzeciwiały i z niemi nastąpić musiało starcie.

Księżna Julia w oko mu wpadła. Postać jéj sprawiła w nim rodzaj wrzenia, którego pokryć nie umiał. Kiedy ją widział, tracił przytomność umysłu, wyrażającą się u niego sennym automatyzmem, poruszającym się wedle przepisów etykiety; kiedy jéj nie widział, wpadał w niepokój, pozbawiający go apetytu i snu. Trapiła go zazdrość względem tych, co się do niéj zbliżali; huczał w nim gniew. Rozgniewał się na wielkiego marszałka za to, że mu ją z przed oczów usunął; pozazdrościł młodemu hrabiemu X. tego, że ją na konia wsadził. Te były powody, dla których jednego i drugiego aresztować kazał. Aresztowanie markiza również nie poszło z tych pobudek, jakie onemu przypisywano. Leopold I chciał przez to męża w oczach żony piętnem niełaski monarszéj naznaczyć, rzucić na niego w sposób ten klątwę, interdykt w tém przeświadczeniu, że jak go on odepchnął od siebie, tak księżna Julia od siebie odepchnie. O łasce swojéj, widząc jakie ona wywiera skutki, miał wyobrażenie tak wysokie, że nie wątpił, iż pozbawiony onéj mąż wstrętnym się stanie żonie. Tu nim także zazdrość powodowała, zazdrość, która mu w nocach bezsennych nasuwała widziadła takie i sprawiała sensacye takie, że poduszki miął, okrycia gryzł i płakał.

Ci, co nad nim czuwali, nie mogli nie dostrzedz tego. Zdradzał się przed usługą najbliższą i, jak się zdaje, wyznać musiał przed spowiednikiem, najpierwsza bowiem symptomatyczna o stanie duszy cesarza wiadomość z ust księdza Müllera wyszła. Nie była to zdrada tajemnicy spowiedzi. Leopold I ze spowiednikiem swoim i po za konfesyonałem toczył rozmowy długie, których treść, niby około osi, obracała się około przykazania to szóstego, to dziewiątego. Powtarzały się rozmowy te często, po razy parę dziennie. Po wysłuchaniu mszy cesarz prezydował obradom rady stanu, załatwiał sprawy najważniejsze od niechcenia, zbywał je prędko, szedł do gabinetu swego, wzywał księdza Müllera i po kilku słowach wstępu zapytywał:

— Dziewiąte przykazanie... co?..

— „Nie pożądaj żony bliźniego twego“, najjaśniejszy panie...

— Samo więc pożądanie grzech stanowi?..

— Stanowi, najjaśniejszy panie...

— Główny?...

— Nie... Kościół go do grzechów głównych nie zalicza, jak również nie zalicza do takowych przekroczeń i występków, popełnionych bez intencyi... Zabójstwo w obronie własnéj grzechem nie jest i staje się grzechem, gdy się popełnia z podniet pychy, łakomstwa, nieczystości, obżarstwa, gniewu, zazdrości lub lenistwa....

— W nas, zdaje się, podniet tych niema — odzywał się cesarz po chwili namysłu.

— Najjaśniejszy panie, któż, jeżeli nie ja, mógłby w tobie podniet tych dopatrzéć? Nikt nademnie znać lepiéj nie może podniosłości uczuć i czystości intencyi twoich... Jak długo będą one w sercu twojém panowały, póty grzechu głównego popełnić nie możesz....

Podobnie eksplikował przykazanie szóste, opierając się na intencyi i ukazując w perspektywie żal za grzechy i pokutę, mażące winy wszystkie, zbrodnie nawet.

Leopold I nie wymawiał imienia istoty, pod adresem któréj rozmowy te toczył. Nie potrzebował jednak czynić tego. Była to tajemnica przezroczysta.

Raz wytoczył na stół znaczenie wyrazu „bliźni.“

— Bliźnim jest każdy bez różnicy człowiek...

— Tak wogóle — odparł ksiądz Müller — w szczegółach atoli zachodzą różnice, które zaznaczają rozliczne przez kościół wprowadzone i uznane konsekracye... Chrześcianin różni się od poganina, kapłan od człowieka świeckiego, monarcha od poddanych z powodu święceń sakramentalnych, do których wchodzą: słowo, sól, oliwa i rąk włożenie...

— Monarcha i poddany równymi nie są...

— Nie, najjaśniejszy panie...

— Poddani nie są względem monarchy bliźnimi...

— Nie są, o ile poddanymi są...

Delikatne te kwestye, biegły w teologicznych subtelnościach Leopold I mógł sobie rozwiązywać sam, potrzebował jednak aprobaty, jak koń, mogący rów szeroki przesadzić, potrzebuje tknięcia ostrogi. Bez ostrogi nie przesadzi. Powstrzyma go obawa. Obawa podobna nurtowała w sercu cesarza, wyrażając się pod postacią lękliwości do kobiet. Imaginacyą zastępował rzeczywistość, lecz się nią nie zadawalniał. Stawiała mu ona przed oczy uroki i rozkosze i wzbudzała pragnienia, przyprawiające go niekiedy o obłęd. Na ko-

łana się rzucał, krzyżem kładł i modlił nie o odwrócenie pokusy, ale o odwagę. O odwrócenie pokusy modlił się dawniéj: od chwili atoli, jak poznał księżnę Julię, od chwili, jak się przypatrzył jéj obliczu, oczom, ustom, jéj kształtom, urokom, jakie ją od góry do dołu owiewały, czarom, jakie od niéj biły, od chwili, jak się skąpał w atmosferze wydzielającéj się z niéj woni, od chwili téj pokusę wyperswadował sobie i modlił się już o odwagę tylko. O cóż bo się ludzie nie modlą! Leopold I, człek głęboko nabożny, uspokoiwszy teologicznie sumienie we względzie kwestyi delikatnych, ufał, że wybłaga sobie męskie w obec żony cudzéj zuchwalstwo.

Nie wiedział, jak się do tego wziąć, a miał to za ubliżenie powadze własnéj, ażeby kogo o rzecz taką z poddanych swoich zapytać. Kogo zresztą? Jednego z tych mężów stanu, doradców korony, co w kabłąk zgięci do niego się zbliżali i tyłem cofali? Czy którego z dworzan? Czy księdza Müllera? Kogo? Najochotniéj by się zwierzył paziom, w których oczach czytał, że o wszystkiém wiedząc, wiadomości swoich udzielili by mu w obszerności całéj i ze szczegółami wszystkiemi; do nich się najbardziéj wiekiem zbliżał; do nich go ciągnęło; ale—powaga zdala zatrzymywała. Powaga mu ciężyła, stanowiła rodzaj skorupy na ślimaku—pozbyć się jéj na chwilkę, na krótką chwilkę, dla pogawędzenia z rówiennikami i dowiedzenia się od nich o rzeczach ciekawych, dla nikogo i dla niczego rozebrać się z niéj nie mógł. Niewolnikiem się czuł. Jak ślimakowi wolno mu było tylko—rogi wystawiać. Do rozpytywań zniżyć się nie mógł i nie wiedział, jak przystąpić do istoty, o któréj myślenie wprawiało go w drżenie takie, że mu od czasu do czasu zęby dzwoniły a oblicze przybierało wyraz widzianego pod mikroskopem oblicza pijawki. Warga mu opadała i drgała, oczy kocim jaśniały blaskiem, nozdrza się rozdymały.

Biedny człowiek!

Zrobił wszystko, co mu natchnienie podyktowało. Poaresztować kazał ludzi, którzy mu przykrość sprawili. I znalazł się wobec rozwiązać się nie dającéj zagadki, wyrażającéj się pod postacią zapytania:

— Cóż daléj?..

Zapytanie to stanowiło myślenia jego treść główną. Powiedzieć można, że nie myślał o czém innem.

Do głowy mu strzelały pomysły najdziwaczniejsze. Marzył o takim klejnocie, co człowieka niewidzialnym czyni. Za klejnot taki oddałby wszystkie w skarbcu nagromadzone brylanty i poszedł z nim do Julii, do domu jéj, do jéj pokoju by się wkradł i patrzył by na nią. Sam jednak uznawał, że było to marzenie płonne. Zastąpił je innem.

Zachciewało się mu przebrać, jak się Al-Raszyd przebierał i *incognito* do niéj się dostać. I to jednak marzenie na nic się nie zdało. Dla dokonania czegoś podobnego, potrzeba by się komuś zwierzyć—komuż naprzykład?.. Księdzu Müllerowi? Ksiądz Müller był to powiernik jego jedyny. Doradców miał dużo, pomiędzy księżmi szczególnie—powiernika jednego. Jemu powierzył sumienie swoje; ale — serce?.. Powierzył by je księżnéj Julii, gdyby nie lęk, który go na wodzy trzymał i ochełznanie edukacyjne potęgował naturalném. Stan Leopolda I da się za pomocą porównania określić. Podobnym on był wielce do stanu ptaka w klatce złotéj, usiłującego prątki przełamać i na swobodę wylecieć.

Stan ten najpierwszy ze wszystkich rozpoznał ksiądz Müller. Zaniepokoił go on. Nie była mu znaną lękliwość cesarza, ani nieświadomość jego; poznał jeno namiętność silną i głęboką, która doprowadzić mogła do rezultatów pomyślnych; doprowadzić jednak mogła i do fatalnych. Zależało to od księżny. Gdyby się do niéj cesarz przywiązał, zapanować by nad nim mogła a panowanie jéj wyraziło by się w duchu takim lub innym. Cóż ona zacz? Włoszka, wenecyanka, republikanka, przez zamążpójście związana z rodziną Zrinich. Nie były to kwalifikacye obiecujące. Czyby jéj atoli nie można w ręku trzymać? Jest małżonką Frangopana, który się nie zgodzi na to, ażeby była cesarską kochanicą. Czyż się nie zgodzi?

— Nie... nie zgodzi się—powiedział sobie ksiądz tonem, w którym jednak nie brzmiała pewność absolutna.

Ksiądz Müller znał słabe natury ludzkiéj strony. Duma, szlachetność nie bywająż często osłoną podłości? — nie łącząż się z nią niekiedy? Wszelka zaleta, wszelka wada, czyż nie jest względną? Wejście w stosunki poufne z rozdawcą zaszczytów i szafarzem bogactw, czy nie jest to pobudką potężną i racyą dostateczną do zgłuszenia skrupułów natury najdrażliwszéj? Gdyby zgłuszenie to nastąpiło, w razie takim księżna pozostawałaby pod wpływem męża i przez nią cesarz dostałby się pod wpływ markiza, członka rodziny Zrinich. Taki obrót sprawy byłby najgorszym. Drogą tą wśliznąć by się musiało: usunięcie wpływu jezuitów, wprowadzenie tolerancyi religijnéj — osłabienie polityki kościelnéj. Nastąpiłby w kraju pokój: co jednak księdza Müllera pokój obchodził! Zakon, którego członkiem był, ma na celu nie uszczęśliwianie ludzkości, ale panowanie nad nią—panowanie niemożliwe bez tępienia swobody sumienia i niedopuszczania polotu myśli. Węgry zarażała nauka Lutra, przeciwko któréj Zrińscy okuniem nie stawali, byli więc od lutrów gorsi i szkodliwsi, rozmiękczali bowiem opokę Piotrową, podsuwając na miejsce granitu piasek. W interesie więc jego nie było, ażeby się Frango-

pano spodlił. Dla tego to powiadał sobie: „Nie... nie zgodzi się...“ Po namyśle rzekł z akcentem postanowienia powziętego:

— Potrzeba, ażeby się nie zgodził...

Ktoby następnie chciał i mógł śledzić kroki spowiednika cesarskiego, oglądał by go kolejno u najwyższych państwa dostojników: u barona Hochera, u księcia Lobkowicza, u generała Montecuculi, u księcia Dietrichsteina, u grafów Schwarcenberga, Lamberga, etc., etc., wkońcu u księżnéj Rakoczy. Z każdym mówił na osobności, głosem przyciszonym, tonem konfidencyonalnym, mrużąc oczy, kiwając głową i okraszając usta uśmiechem.

— Młode piwko burzy się — zaczynał.

„Ano“, albo „Hm-hm“ — odpowiadał interlokutor dostojny.

— Gdy się nie wyburzyło w warunkach przyjaznych, mogło by beczkę rozsadzić....

— Niezawodnie....

— Zachodzi nie małe *periculum in mora*.

— No?..

— Księżna Julia Frangopano....

— O?.. — odpowiadał dostojnik każdy.

Odpowiedź ta powtarzała się niezmiennie. Wygłaszał ją z dostojników każdy głosem i z miną, za pomocą których pokryć usiłował głębokie wewnętrzne wrażenie, jakie na nim nazwisko księżny sprawiało. „O“, nic niby nie znacząc, znaczyło bardzo wiele. W téj jednéj literze, akcentem zapytania nabrzmiałéj, mieściły się: zdumienie, przerażenie, troska o następstwa polityczne i troska o zachowanie stanowiska zajmowanego. Wymawiając je, ten i ów, Montecuculi np., znakomity zarówno jako wojownik i jako intrygant, czuł na karku łechtanie topora. Sensacya ta niemiła zdradzała się w intonacyi, z jaką wymawianą była jedna z pięciu samogłosek, kreślona pod postacią kółka. Może jaka pomiędzy wrażeniem a postacią litery téj analogia zachodziła. Jest to kwestya do rozstrzygnięcia: coś podobnego przypuszczać można; można jednak o tém wątpić; wątpliwości atoli najmniéj nie podlegało wrażenie i zaniepokojenie jaknajgłębsze, wywołane w sferach rządzących wiadomością, że młody cesarz umiłował księżnę Frangopano.

Inaczéj trochę wiadomość tę przyjęła księżna Rakoczy. I ona odpowiedziała księdzu Müllerowi: „O“? — ale w jéj „o“ nie zdumienie, nie przerażenie, lecz podkreślenie faktu zabrzmiało. Wiedziała o tém z góry, nie spodziewała się jeno manifestacyi tak rychłéj.

— Pali się... co? — rzekła.

— Płomieniem ogromnym — odrzekł ksiądz.

— Który... oby pożaru nie wzniecił i spodziewanych przez nas żniw nie popalił....

— Oby... — skłonił ksiądz głową na znak aprobowania słów księżny.

— Cóż więc? — zapytała ta ostatnia.

— Trzeba pożar w granicach właściwych zamknąć...

— To znaczy: małżonkę weń wepchnąć a małżonka tak urządzić, ażeby patrzał a nie widział....

— *Dixisti*, wasza wysokość... Jest to sposób jedyny....

— Nasycenia wilka i uchowania w całości kozy—podchwyciła. Bez pomocy mojéj tu się nie obejdzie....

— Solicytuję téż pomocy wysokości waszéj...

— Zacząć należy od tego, ażeby jego cesarska mość zamianowała *proprio motu* banem Kroacyi Piotra Zrini...

Ksiądz brwi lekko zmarszczył, uśmiechnął się i odrzekł:

— Może zajdą trudności jakie....

— Czy są jakie na widoku? — zapytała.

— Ph... — ksiądz ramionami ruszył — nie wiem....

— Te bowiem, co już zaszły, do usunięcia, a raczéj do obejścia są... Mikołaj zawinił, Piotr za brata nie odpowiada: tak rzecz tę wsiąść można... co...

Ksiądz brwi wysoko podniósłszy, głowy skinieniem słowa księżny zaznaczył. Było to prostém do wiadomości przyjęciem. Księżna przeto komentarz dodała:

— Byłoby to ujęciem sobie kobiety, która z żądaniem tém do Wiednia przybyła.... Obowiązek wdzięczności miewa znaczenie mostu, wielebny panie...

— Ahm—zaznaczył ksiądz, jakby powiedział: „rozumiem“...

— Najjaśniejszy pan raczy mnie odwiedzinami swojemi *incognito* zaszczycić i zastanie u mnie księżnę Julię... Zostawię ich na chwilkę sam na sam.. Reszta samo się zrobi...

— Wasza książęca mość świetne masz pomysły—rzekł ksiądz, głowę pochylając.

— Obmyśliłam rzecz z góry, od pierwszéj bowiem markizowi udzielonéj audyencyi wiedziałam, co się święci... Kobieta najjaśniejszego pana olśniła...

— Zauważono to powszechnie...

— Ale aresztowanie markiza opinię z tropu zbiło....

— Tak... hm? — ksiądz się uśmiechnął.

— Nie waszą, ojcze wielebny i nie moją... Owóż tak: do zamku pojadę, niech mnie jego cesarska mość do osoby swojéj przypuścić raczy a ja rzecz ułożę....

— Byleby jeno księżna Julia cesarza... nie zrazić umiała...

Księżna dłonią machnęła z gestem, mówiącym: „Nie troszcz się o to.“

— Wasza książęca mość przysposobisz ją...

— Co tu przysposabiać!.. Czyż możesz, ojcze wielebny, przypuszczać, ażeby księżna nie uledz mogła... urokowi cesarza!..

Ksiądz się uśmiechnął. Księżna z naciskiem wyraz ostatni powtórzyła:

— Cesarza!!

Ksiądz westchnął.

— Odpraw na tę intencyą mszę śpiewaną....

— Stanie się zadość życzeniu pobożnemu wysokości waszéj — odparł. Rzecz główna w tém, ażeby zaszczyt. jaki żonę spotka, nie doszedł do wiadomości męża...

— O zaszczytach tego rodzaju żony mężów nie zawiadamiają... Można będzie następnie markiza w jakiejś misyi poufnéj do Madrytu wyprawić i kazać mu tam na instrukcye czekać....

— Wysokość wasza — zaczął ksiądz tonem, zapowiadającym bądź dziękowanie, bądź podziwianie.

Księżna mu do słowa przyjść nie dała.

— Nie myśl wielebność wasza, ażebym, sprawą tą się zajmując, korzyści własnéj na widoku nie miała... Chodzi mi o skojarzenie związkiem małżeńskim syna mego z Heleną Zrińską... Przy ogniu tym przeto upiecze się i pieczeń moja....

— Na związku tym kościół nie wyjdzie najlepiéj — zauważył spowiednik cesarski.

— Oskrzydlę go modlitwami swojemi — odpowiedziała.

Że ksiądz Müller wierzył w potęgę modlitwy, to pewne. W tym atoli razie do wiary dołączał się rachunek. Księżna Rakoczy małżeństwo syna postawiła, jako warunek swojéj w sprawie sercowéj cesarza interwencyi. Ksiądz poznał to po akcenie, z jakim rzecz o związku małżeńskim wytoczoną została i domyślić się mu było łatwo, że księżna wkłada na niego obowiązek przysposobienia umysłu Leopolda I do uczynienia zadość dwom żądaniom: zamianowania Piotra Zriniego banem i zezwolenia na związek córki jego z synem księżny Rakoczy. Od uczynienia dwom tym żądaniom zadość zależało zabezpieczenie młodego cesarza od wpływów zgubnych kosztem niewielkim: kosztem czci kobiecéj, pozostającéj pod egidą sakramentu małżeństwa.

Ponieważ strona jedna i strona druga, to jest tak ksiądz Müller, jak księżna Rakoczy, w sprawie téj zainteresowani byli, układ więc nastąpił z łatwością. Nie potrzeba go było spisywać. Interes zobopólny starczył za kontrakt na piśmie, za podpisy i za pieczęci.

Ksiądz zobowiązania dotrzymał. Księżna, gdy w parę godzin póżniéj zakołatała do podwoi cesarskich, znalazła drzwi wszystkie przed sobą otwarte i zaprowadzoną została wprost przed oblicze cesarskie.

Leopold I przyjął ją w gabinecie swoim, uprzejmie ją powitał i usiąść kazał. Nie prosił, ale rozkazał — etykieta mu prosić nie pozwalała. Księżna miejsce zajęła i na rozkazy dalsze czekała.

— Z czém do nas przychodzi wysokość wasza?..

— Przedewszystkiém, z pragnieniem dowiedzenia się o stanie najdroższego waszéj cesarskiéj mości zdrowia....

— Zdrowie nasze w dobrém, Bogu dzięki, znajduje się stanie....

— Bogu najwyższemu niech będą dzięki... Opowiedziéć nie zdołam przerażenia i niepokoju, w jaki wprawiła mnie wieść o wypadku, jaki waszą cesarską mość spotkał... Widocznie jednak opatrzność nad waszą cesarską mością czuwa.... I czyżby mogło być inaczéj!..

Cesarz głową razy parę skinął i zapytał:

— Cóż więcéj?

— Jak do Boga, tak do was, najjaśniejszy panie, zwracamy się z prośbami... Pozwól, najjaśniejszy panie, przedstawić ci prośby moje....

— Jakie? — odparł.

— Racz łaskawém okiem wejrzeć na hrabiego Piotra Zrini i, zamianowawszy go banem Kroacyi, pozwolić mu córkę wydać za syna mego... Prośba ta dwie prośby zawiera w sobie... Składam ją u stóp waszych, najjaśniejszy panie....

Cesarz przez nos zlekka czmychnął i odrzekł:

— Na uwagę ją weźmiemy... Rada nadworna wolę naszą usłyszy.

— Nie umiem zdobyć się na wyrazy podziękowania waszéj cesarskiéj mości za łaskawość, którą jeszcze, jeżeli wasza cesarska mość pozwolić mi raczy, na próbę wystawić się ośmielę...

— Pozwalamy — odrzekł cesarz z akcentem lekkiego w głosie zająknięcia.

— Zaszczyciłeś mnie niegdyś, najjaśniejszy panie, bytnością swoją, zaszczycić racz jeszcze... Wyświadcz łaskę tę kobiecie, co po Bogu czci najwyżéj ciebie....

Leopold I przez chwilkę milczał, jakby się namyślał; wreszcie milczenie przerwał wyrazem:

— Dobrze....

— Chwilka czasu, jaką spędzisz pod dachem moim, pozostanie mi w sercu, jako wspomnienie szczęścia najwyższego... Pragnę jeno, ażeby ci u mnie czas długim się nie wydawał i dla tego, jeżeli pozwolisz, do pomocy sobie zawezwę damę jednę...

Cesarz powieki spuścił i milczał.

— Damę młodą — dodała.

Cesarz milczał i wargę dolną, która mu mocno opadła, wprawił w drganie lekkie. Powiek nie podnosił. Upłynęło czasu minut parę. Księżna czekała na odpowiedź, któréj doczekała się wreszcie. Leopold I odchrząknął raz, odchrząknął raz drugi, zaczął od pobekiwania niewyraźnego i niebardzo wyraźnie wygłosił zapytanie:

— Kiedy?..

— Jeżeli wola wasza, najjaśniejszy panie, jutro o trzeciéj po południu...

Znów nastąpiło milczenie. Cesarz głowę spuścił. Po obliczu jego przesunął się uśmiech i po uśmiechu udzielił księżnéj pozwolenia do odejścia, bez czego ona oddalić by się nie mogła.

XXIII. Plotki i obrady.

Rada nadworna w pełnym zgromadziła się komplecie. Wszystkie około zielonego stołu siedzenia były zajęte, z wyjątkiem jednego, odosobnionego nieco a różniącego się od innych rozmiarami, kształtem i obiciem. Po rzeźbie na poręczach, po inkrustacyach, po bogactwie obciągającéj je materyi, poznać było można odrazu, że przeznaczoném jest dla śmiertelnika niezwykłego. Przed niém na stole leżały przybory do pisania: papier biały, misternéj roboty kałamarz, świeżo zatemperowane pióra, złotym piaskiem napełniona piaseczniczka, w oprawie z perłowéj macicy nożyk i linia hebanowa. Przybory do pisania leżały przed każdym z radców, przed jednym zaś spoczywała pieczęć ogromna. Naprzeciw próżnego siedzenia zajmowali miejsca dwaj mężowie, przed którymi papier znajdował się w większéj, aniżeli przed innymi ilości. Na środku stołu wznosił się krucyfiks i stały w szeregu księgi w pergamin oprawne.

Dwaj ostatnio wymienieni mężowie pisali, inni zabawiali się cicho prowadzoną rozmową. Generał Montecuculi opowiadał poszeptem księciu de Sagan o zmartwieniu biskupa, któremu uciekł kot. Księcia to bawiło. Uśmiechał się.

— Nie jest to jednak powód do zmartwienia wielki—zauważył.

— Nie wielki... zapewne; jego świątobliwość jednak wypadek ten tak przejął, że apetyt i sen stracił i wczora przy nabożeństwie, jeżeliś wasza książęca mość zauważył, roztargniony był....

— Uhm... — mruknął książę.

— Zauważyłeś wasza książęca mość?..

— Coś... tak... zdaje się...

— Fałszywie śpiewał *salvum fac*...

— A... prawda...

— Otóż to z powodu kota...

— Rzecz ciekawa, czy wpadło to najjaśniejszemu panu w ucho...

— Nie....

— Wpadło może...

— Nie... Najjaśniejszy pan — dodał ciszéj — roztargniony był...

— O tak... był bardzo roztargniony...

— Hh... hm... — chrząknął generał znacząco.

— Hm... — odchrząknął książe.

— Na czém się to skończy?..

Książe ramionami ścisnął.

— Księżna Rakoczy... o....

— Phi... w lot strzela....

— Baba minister... Zdawać się mogło, że czysta waryatka, a ona... proszę.. no...

— A ba... Przybrała na siebie pozory... Jam się domyślał, że się coś tam ukrywa....

— A jam był taki naiwny, żem w jéj pobożność wierzył...

— Nie poznałeś się, ekselencyo, na manewrach wojennych...

— Przyznaję się do tego... hm?.. Końca jednak czekajmy... zobaczymy... Ksiądz Müller...

— Cicho, ekscelencyo — szepnął książe de Sagan.

— Jam jest taki otwarty, że się miarkować nie umiem...

— Dwór to nie plac bitwy—rzekł książe sentencyonalnie...

— Tak... to prawda... Na wojnie nie ma się do czynienia z babami — westchnął i po chwilce dodał: — Czyś wasza książęca mość nie dostrzegł, że księżnéj dwóch zmarszczków ubyło?..

— O?.. nie dostrzegłem...

— Ubyło... jednego pod okiem prawem, drugiego pod lewém....

— Ubyło?.. no, proszę...

— Odmłodnieje... Gotowa... kto wié...

— Pierwéj syna ożeni....

— Prostą drogą ku katastrofom idziemy. Przecieżby... ksiądz Müller — szepnął bardzo po cichu.

Następnie dwaj ci mężowie stanu rozmawiali z sobą w ten sposób, że jeden głowę ku drugiemu nachylał a drugi mu w ucho wyrazy wsuwał.

— Otwartość jest moją wadą główną — odezwał się głośniéj nieco generał. Gdyby nie ona, byłbym nie pisał...

— Nie podpisałeś się jednak....

— No... tak... Alem się sam zdradził...

Mowa była zapewne o polemice, jaką Montecuculi z hrabią Mikołajem zawiązał.

Treści podobnéj rozmowy, z wyjątkiem rzeczy o kocie biskupim, toczyli z sobą inni mężowie stanu. Parami szeptali jeden do drugiego, pochylając jeden ku drugiemu peruki, piętrzące się puklami siwemi. Z pod peruk przeglądały oblicza stare i młode, chude i tłuste, odbijające od niepokalanéj bieli kołnierzy haftowanych, zdobiących szyje i piersi. Na piersiach wszystkim z ukosa przewijały się wstęgi; wszyscy posiadali ordery: co oznaczało, że byli to ludzie nie tylko wysoko postawieni, ale i zasłużeni.

Zgromadzili się w celu obradowania nad sprawami publicznemi w komnacie, przyozdobionéj w dużych rozmiarów portret cesarza i w kilka malowideł treści historycznéj, zawieszonych na ścianach, pokrytych rzeźbieniem i złoceniem. Okna osłaniały firanki, drzwi maskowały portyery. Siedzący za stołem rozmawiając, raz poraz ku jednéj z portyer wejrzenia ukośne posyłali, aż naraz wszyscy zamilkli. Portyerę podniosła ręka niewidzialna, ukazał się w niéj człowiek w peruce i w odzieży suto szamerowanéj i głosem donośnym zawołał:

— Jego cesarska mość!...

Mężowie za stołem wszyscy naraz, jak jeden, powstali i wszyscy, półobrotem ku portyerze się zwróciwszy, głowy pochylili i ciała pod kątem wynoszącym najwyżéj 200° nagięli. W chwili téj z po za portyery wysunął się Leopold I. Wyszedł, ku siedzeniu nie zajętemu wprost się skierował, miejsce zajął, po obecnych okiem powiódł i rzucił wyrazy:

— Panowie... usiądźcie...

Radcy razem usiedli.

— W imię boże obrady rozpoczęte....

Wyrazy te cesarz wymawiał tonem lekcyi wyuczonéj i mechanicznie wydawanéj. Powtarzał je za każdém rady nadwornéj posiedzeniem, na którą przychodził po wysłuchaniu w kaplicy zamkowéj mszy, odprawianéj pod inwokacyą Ducha świętego. Tym razem przy mszy spowiadał się i komunikował, dla tego z zagajeniem obrad spóźnił się nieco. Radców to nie zdziwiło; zdziwiło ich atoli to, że cesarz wszedł, niosąc w ręku we czworo złożony papier, który siedzenie zajmując przed sobą na stole położył. Coś papier ten zawierał w sobie, coś on oznaczał: czy nie pismo to odręczne?—to stanowiło przedmiot nie tyle może zdziwienia, co zatroskania się radców. Z pod oka każdy ku papierowi wejrzenia słał i każdy siebie w duchu zapytywał: „Co to?“

Spóźnienie oznaczało spowiedź; spowiedź odbywał Leopold I, przed obradami zawsze, ile razy kwestya ważna rozstrzygać się

miała. Papier ten przeto do kwestyi jakiejś ważnéj odnosić się musi. Tyle jeno wywnioskować można było. Nie pozostawało więc, jak czekać, aż się rzecz wyjaśni.

Obrady rozpoczęły się, i toczyły, jak zwykle. Kanclerz przedstawiał sprawy; radcy wypowiadali opinie swoje; cesarz rozstrzygał, wygłaszając: „Tak nam się podoba;“ sekretarze notowali, odkładając na późniéj redakcyą dekretu. reskryptu, aktu, manifestu, dyplomu lub innéj, stosownie do rodzaju sprawy, nazwy dokumentu, który następnie miał być cesarzowi do podpisu podany. Niekiedy cesarz sprawy, bądź z porządku dziennego usuwał, bądź téż na późniéj odsyłał. Do tego służyły formuły: „Nie podoba się nam;...“ „Podoba się innym razem.“ Radcy mieli jeno głos doradczy i cała ich troska, cała mądrość na tém polegała, ażeby nie wygłosić opinii, któraby się cesarzowi nie podobała. Z racyi téj obrady odbywały się cicho, spokojnie, bez najmniejszego wydatku krasomówstwa, bardzo porządnie i bardzo poważnie. Zdania przeciwne nie występowały nigdy prawie, samo bowiem przedstawienie przez kanclerza kwestyi zawierało w sobie skazówkę, w jakim ma być ona rozstrzygnięta duchu. W sposób ten odbywały się obrady i obecnie.

Sprawy przez kanclerza wytaczane należały do rodzaju potocznych, z wyjątkiem dwóch, z których jedna tyczyła się stosunków z dworem francuskim, druga zaś—kontrabandy religijnéj. Pierwszą, mimo że była wagi wielkiéj, cesarz na delatę puścił, drugą rozstrzygnąć należało. Kontrabanda polegała na wprowadzeniu protestanckiego domu modlitwy do miejscowości, w któréj ani podejrzywano protestanckiéj zarazy. Donoszący o tém namiestnik prowincyi zawiadamiał o pojmaniu na gorącym uczynku pastora i skonfiskowaniu biblii i zapytywał, czy w nadzwyczajnym tym wypadku postąpić ma sobie drogą zwyczajną, czyli téż chwycić się środków nadzwyczajnych. Sprawa w doniesieniu zaopatrzoną była w kwiaty retoryczne, zbrodnię podnoszące i potęgujące. Była tam mowa o „wilku, co się do owczarni pańskiéj wkradł,“ o „szatanie, co na dusze niewinne czyhał,“ o „pająku, co zdradliwie sieci rozstawił.“ Widocznie namiestnik miał na celu nie tyle zawiadomienie o fakcie, co zaznaczenie gorliwości i żarliwości własnéj w obec cesarza, zaznaczył więc ją tak dosadnie, że słuchaczy raportu groza przejmowała. Przejmowała ich groza tém bardziéj, że się cesarz poruszył. Kiedy kanclerz głosem zwyczajnym wymówił wyraz „wilk“, Leopoldowi I warga dolna mocno zadrgała. Dla tego téż wyrazy „szatan“ i „pająk“ wymawiał baron Hocher z przyciskiem krasomówczym a radcy podkreślali je marszczeniem brwi, zaciskaniem ust i innemi do okoliczności zastosowanemi a formom etykiety dworskiéj się nie sprzeci-

wiającémi, oznakami. Podkreślali je pomimo, że cesarzowi warga już nie drgała—przeciwnie, do góry ją ściągnął i uśmiechem, usta mu od ucha do ucha rozciągającym, okrasił. Leopold I bowiem raportu namiestnika wcale nie słyszał. Podczas czytania onego myślał o księżnéj Julii i myślenie to wargę jego do zadrgania, usta do rozciągnięcia się od ucha do ucha pobudziło. Radcy atoli manifestacye te wytłómaczyli sobie inaczéj i z racyi téj, gdy do opiniowania przyszło, wszyscy jednogłośnie oświadczyli się za środkami nadzwyczajnemi, niektórzy zaś rzecz wyraźniéj zaznaczyli, doradzając ten ćwiertowanie, ów łamanie na kole, inny spalenie żywcem na stosie pastora, co w osobie swojéj mieścił wilka, szatana i pająka. Koléj doszła do cesarza; kanclerz sprawę tę przedstawił mu pod postacią zapytania.

— Jak wasza cesarska mość rozkazać raczy postąpić z pastorem?..

— Z kim?.. — zapytał Leopold I, jakby nagle ze snu zbudzony..

— Z pastorem?.. — powtórzył kanclerz.

— Puścić... — odpowiedział cesarz.

Słowo to rzekł i znów mu warga dolna drgać poczęła.

Wypowiedziéć nie sposób wrażenia, jakie odpowiedź cesarska na radcach sprawiła. Ci co ćwiertowanie, łamanie na kole i palenie na stosie doradzali, skompromitowanymi, zgubionymi się czuli. Mimo to żadnemu na obliczu muszkuł ani nerw żaden nie zadrgał, żadnemu oczy nie zamigotały. Decyzyę cesarską przyjęli w milczeniu, z powagą i z pochyleniem jednozgodném głów na znak uznania woli monarszéj. Peruki się w kierunku osoby cesarskiéj kiwnęły i podniosły, zajęły pozycye poprzednie i kanclerz oznajmił, że na porządku dziennym spraw bieżących więcéj nie ma. Cesarz przed nos odsapnął i ręką ku leżącemu na stole papierowi sięgnął.

— Ale—zaczął kanclerz—jeżeli nie ma spraw bieżących, to jest jedna nadzwyczajna, celem przedstawienia któréj upraszać mam zaszczyt o pozwolenie najmiłościwszego pana, cesarza i króla...

Cesarz na znak pozwolenia głową skinął.

— Najjaśniejszy panie, w dniu wczorajszym około południa rąk moich doszła depesza, wyprawiona sztafetą dni temu trzy z Warazdina przez nadkapetana Mikołaja hrabiego Erdödi...

Na słowa te oblicze Leopolda I oblała bladość śmiertelna. Warga mu zbielała, głowę odwrócił, jakby chciał oczy schować, kanclerzowi nie odpowiadał... W sali zapanowało milczenie. Radcy w nieruchomości posągowéj, porażeni zmianą, jaka z cesarzem zaszła, na

miejscach swoich siedzieli. Trwało to minutę, dłużéj może nieco,—wreszcie baron Hocher przerwał ciszę, ciągnąc daléj rzecz zaczętą:

— ... Dziś zaś rano przytrzymano na rogatce gońca, wyprawionego przez markiza Frangopano z listami... List jeden pisany jest kluczem; drugi, pisany zwykle, zawiera w sobie wyrażenia karygodne...

Po chwilce, ponieważ cesarz milczenie zachowywał, kanclerz zapytał:

— Rozkaże najjaśniejszy pan depeszę odczytać?..

Na skinienie przyzwalające, baron Hocher zaczął:

— „Mam zaszczyt ekscelencyi waszéj donieść, że pod datą dnia dzisiejszego odbyło się w lasach czakowackich wielkie, w asystencyi gości licznych, polowanie, na któróm były ban, Mikołaj hrabia Zrini, śmierć poniósł. Smutny ten wypadek nastąpił w kniei; prawdopodobnie zwierz dziki ś. p. hrabiego zadusił, przez zajmowane bowiem przezeń stanowisko niedźwiedź przeszedł. Wiernopoddańcze uczucia donieść mi nakazują, że złośliwość wypadek ten przypisuje nakazowi wyższemu, nie wahając się zębem oszczerczym zaczepiać o tron. Z powodu tego panuje wzburzenie umysłów. Czekam na rozkazy."—Data i podpis.

W czasie czytania depeszy cesarz powoli ze wzruszenia ochłonął—wargi oddął i brwi ściągnął.

Kanclerz, papier w ręku trzymając, czekał.

Minęło chwil kilka zanim się Leopold I do przemówienia zebrał:

— Nakazać dochodzenie rodzaju śmierci... która — dodał — nie może być inną, jak od zwierza dzikiego..

— Woli waszéj cesarskiéj mości stanie się zadość... Nie przypuszczalném jest, ażeby były ban, Mikołaj hrabia Zrini, zginął inaczéj, jak od niedźwiedzia?..

Radcy, do których z akcentem półzapytania zwrócone były wyrazy ostatnie, razem perukami na znak przyznania kiwnęli.

— O wypadku w mieście nie głosić...—odezwał się cesarz.

— Gońcy z Czakowca i do Czakowca poaresztowani zostali...—odrzekł kanclerz i zapytał:—Zabrane przy nich listy wasza cesarska mość rozkaże?..

— Spalić...

— Woli waszéj cesarskiéj mości stanie się zadość...

Nastąpiło znów milczenie i czekanie.

Radce bez rozkazu cesarskiego ruszać się z miejsc nie mogli. Na rozkaz przeto w nieruchomości posągowéj czekali, cesarz zwlekał, wreszcie, do kanclerza się zwracając, palcem na leżący na stole papier wskazał i rzekł:

— Do odczytania głośno...

Kanclerz, jak skoro papier rozłożył, wnet wstał i tonem uroczystym oznajmił:

— Reskrypt własnoręczny najjaśniejszego pana.

Na słowa te wstali wszyscy, głowy pochylili; kanclerz czytać począł: „My z bożéj łaski cesarz rzymski, król... książe... graf... baron... pan... etc. etc. wszem w obec i każdemu z osobna wiadomém czynimy“ itd., itd. Była to nominacya bana kroacyi w osobie Piotra hrabi Zriniego.

Piorun w dzień jasny, słoneczny, bez cienia chmurki na niebie, padający nie sprawiłby silniejszego, jak nominacya owa, wrażenia. Wrażenia tego jednak na radcach znać zgoła nie było. Przyjęli nominacyą tę do wiadomości bez zmrużenia źrenicy. Cesarz czytania wysłuchał z powiekami przymkniętemi i z drgającą wargą dolną: gdy zaś skończone zostało i pozostawało jeno kanclerzowi, przez przyłożenie pieczęci, kontrasygnowanie, zaznaczenie numeru i zaciągnięcie do akt państwowych, formalności porządkowéj dopełnić, wstał, wyrazy „posiedzenie rozwiązane“ rzucił i szybko wyszedł.

Radcy wynosić się poczęli po jednemu, po dwóch, żegnając się z pozostającymi i nie odzywając się jeden do drugiego o śmierci hrabiego Mikołaja. Mowili jednak o nominacyi.

— O ile niespodziany, o tyle mądrością głęboką nacechowany krok...

Wszyscy się na to zgadzali. Każdy atoli sam siebie w duchu zapytywał:

-- Co to znaczy?.. Jakim to zbiegiem okoliczności zeszła się nominacya z wiadomością o śmierci?..

Każdy w myśli sobie karbował:

— Śmierć od zwierza dzikiego... hm?.. hm?.. Zwierz dziki?.. niełaska cesarska?.. Czy téż niedźwiedź ów na zamówienie się nie stawił?..

Kanclerz Hocher nic nie mówił i o czém inném myślał. Zadawał on sobie zapytanie dziwne: „Czy zwierz dziki nie zadusi kiedy księdza Müllera?“ W duszy mu wyły wykrzykniki:

-— O łasko pańska!.. O zajeżdżaczko pstrych koni!..

Po głowie snuły mu się sielskie życia obrazy. Marzenie przed oczy jego, podczas kiedy papiery do teki wkładał, stawiało: cichą ustroń, pałacyk wygodny, łąki, na łąkach trzody, laski, w laskach ptaszki; przysłuchiwał się mu nawet śpiew słowika, pomimo że na dworze deszcz jesienny padał i listopadowe wiatry pojękiwały; przypomniał sobie jednak pieczęć, godło kanclerstwa i marzenia pierzchły. Gdyby się pieczęci zrzekł, miałby ją kto inny—on by w razie ta-

kim żółtaczki dostał. Westchnął i zajął się uzupełnieniem formalności, tyczącéj się zamianowania banem hrabiego Piotra.

Generał Montecuculi, z sali obrad wyszedłszy, udał się do zamieszkującego w zamku księdza Müllera. Księdza w domu zastał, ale nie samego. Znajdował się u niego astrolog. Ten ostatni atoli zabawił nie długo. Dokończył jeno rozmowy, z któréj do słuchu generała dostały się tylko frazesy następujące:

— Po raz drugi nie był?..—pytał ksiądz.

— Nie był...

— To dziwne... Przekonany byłem, że raz bodaj jeszcze, mianowicie zaś wieczora wczorajszego, do waszmości na wieżę zajdzie...

— Obserwacyom przeszkadza niebo pochmurne...

— Prawda...—rzekł ksiądz, astrologa za próg wyprowadził, słów parę jeszcze z nim zamienił i, powróciwszy, jął się generała za uchybienie mu przepraszać.

— Ale... a. . uspokajał generał księdza.

— Musiałem doktora odprawić...

— Co ojciec trzymasz o nauce jego?..

— Hm... Najwyższa mądrość ludzka jest mniéj, aniżeli niczém w porównaniu z mądrością bożą... *Ex nihilo nihil*... Z niczego stwórca tylko świat wyprowadził, nauka przeto astrologa naszego ani to pomaga, ani szkodzi...

— Zajmuje jednak najjaśniejszego pana...

— Jako rozrywka, która mu do sprawowania rządów bynajmniéj nie przeszkadza...

— Gdyby się mu trafiła rozrywka rodzaju innego...—odezwał się generał tonem zlekka insynuacyą nacechowanym.

— Zajmował by się nią, jak astrologią...

— I w gwiazdy patrzył... No; ale ja do was, ojcze wielebny, przychodzę z wiadomością ciekawą i ważną...

— Naprzykład?..

— Czy wiecie, kto został banem kroacyi?..

— Nie wiem...

— Czy byście się też domyślili?..

— Nie domyślam się...

— Przecie?..

— Kołatało się po kątach nazwisko Piotra Zrińskiego...

— I wykołatało się...

— To być nie może!..—wykrzyknął ksiądz tonem takim, że wykrzyknik ten miał akcent szczerości całkowitéj. Żartujecie, ekscelencyo...

— Wcale nie żartuję...

— Nikt tego nie brał na seryo...

— Fakt jednak stał się seryo... Wracam wprost z posiedzenia rady nadwornéj, na którém czytany był reskrypt cesarski... Nikt inny, chyba jeno najbogobojniejsza księżna tego półheretyka na wierzch wysunęła...

Ksiądz ramionami ścisnął i westchnął.

— Jest to—ciągnął generał daléj—jest to... policzek dla mnie tak, że nie wiem, w którą się zwrócić stronę; czy ofiarować usługi moje—Janowi Kazimierzowi?.. czy do dworu hiszpańskiego kołatać?.. czy u stóp Apeninów osiąść i kapustę uprawiać?.. Bądź co bądź, wynosić mi się stąd potrzeba...

Ksiądz z dobrotliwym, służącym za maskę wejrzeniu drwiącemu, wyrazem w oczach na generała patrzał. Wedle wyrazu tego sądząc, pomyśléć by można, iż powiedziéć chce: „Żartuj sobie, generale, zdrów.“ Powiedział jednak nie to, ale:

— Nie należy bo, ekscelencyo, brać rzeczy ze strony takiéj tragicznéj... Mnie samego nominacya ta, tak dalece dziwi, że wierzę w nią dla tego tylko, że z ust waszych wiadomość tę odbieram... Ale, powiem tak, jak w razach podobnych mówić się godzi: „Nie zbadane są wyroki boże“...

— Zapewne...—odparł generał—i wyroki te właśnie mnie z cesarstwa na banicyą skazują...

— I nie... i nie... Miecz wasz potrzebniejszy jest cesarstwu dziś, jak kiedy... Kto wie, azali najjaśniejszy pan nie dla tego właśnie „półheretyków“, jak ich nazywacie, podnosi, ażeby się uzuchwalili i z wysokości tém głębiéj w dół spadli... Uzuchwalenie się ich to wojna w przyszłości niedalekiéj, a wojna dla kogo, jeżeli nie dla was?..

— Hm?..—mruknął generał.

— Wierzajcie mi, ekscelencyo: stanowisko wasze przez zanominowanie Piotra Zriniego banem, nie jest ani trochę zachwiane...

— Doprawdy?..

— O ile o tém sądzić mogę, nie wdając się w sprawy, które do mnie nie należą...

Przy słowach ostatnich generał spojrzał na księdza z tym samym dobrotliwością zamaskowanym, drwiącym wyrazem, z jakim ksiądz na niego patrzał przed chwilą. Jeden drugiemu wet za wet oddał. Generał się znacznie uspokoił, usiadł, nogę na nogę założył i, stopą kiwając, zawiązał gawędkę, wijącą się nakształt girlandy, w któréj za wiązanie służyły plotki. Powtórzył wiadomość o kocie księdza biskupa i o sfałszowaniu nuty w *salvum fac.* Powtórzył rzecz

o zmarszczkach księżny Rakoczy, do któréj cierpiał ansę szczególną i do rzeczy téj dodał:

— Proteguje księżnę Julię Frangopano nie bez myśli ukrytéj...

— Cóżby za myśl ukrytą miała!..—zareplikował ksiądz.

— Co za myśl?.. Wam, ojcze wielebny, powiem otwarcie... Otwartość jest chorobą moją... Co za myśl?.. Najjaśniejszy pan młody, księżna Julia piękna: jéj wysokość więc manewruje, celem sprowadzenia młodości z pięknością i utargowania przy okazyi téj czegoś dla siebie... Ja nie patrzę niby, a... widzę...

— Ekscelencyo..—zaczął ksiądz z namarszczeniem. „Nie mów fałszywego świadectwa naprzeciw bliźniemu twemu,“ zwłaszcza, że wchodzi tu święta pomazańca bożego osoba...

— Czyż ja co mówię!..—odparł generał głosem strwożenia.

— Nie powtarzaj tego, co ci się wydaje, że widzisz...

W ostrzeżeniu tém brzmiało w głębi: „Łaskę stracić możesz.“

— Z Mikołajem Zrinim mogłeś pofolgować sobie — dodał ksiądz — ale... z najjaśniejszym panem...

Generał chciał księdza o śmierci Mikołaja Zrińskiego zawiadomić, lecz słowa cesarskie sobie przypomniał, za język się ugryzł i zmilczał.

XXIV. **W opałach**.

Wyszedłszy z posiedzenia rady nadzwyczajnéj, Leopold I uczuł się nagle tak, jakby się uczuć musiał człowiek, co nie nawigował nigdy, w łodzi na wodzie. Łódkę prąd unosi fala nią kołysze, wiatr ją chyli—on użyć nie umie ani steru, ani wioseł, ani żagli. Znęcił go lazur toni, jéj przejrzystość zwierciadlana, zagadkowość czarująca głębi, puścił się i wrócić by rad—nie może. Sposoby, znane każdemu innemu, są dla niego zadaniem do rozwiązania, do którego nie wie, jak się wziąć. W podobnie kłopotliwém położeniu uczuwał się cesarz. Powróciwszy do gabinetu swego, chodził, w palce poklaskiwał, przed oknem stawał, na szybach bębnienia probował i myślał, myślał, myślał głębiéj, aniżeli nad powikłaniami siedmiogrodzkiemi, obszerniéj, aniżeli nad zamętem północno-węgierskim, dłużéj, aniżeli nad stanem Kroacyi, czuléj, aniżeli nad położeniem chrześcian w jarzmie tureckiém, pilniéj, aniżeli nad stosunkami z Polską, Francyą, Wenecyą, Hiszpanią etc.

Nadeszła pora posiłku południowego. Pójście do stołu, przy którym cesarz jadał sam, odbywało się z ceremoniałem odpowiednim. Posługiwali mu urzędnicy wielcy koronni, wielki krajczy, wielki cześnik, wielki itp., którzy dania przynosząc, napoje nalewając, obo-

wiązani byli kosztować z talerza i puhara każdego. Przy jedzeniu przygrywała muzyka niewidzialna. Cesarz jadał powoli i ciamkał głośno, powstrzymywał się jednak od grzechu obżarstwa, w czém zresztą nie było z jego strony zasługi—natura go obżartuchem i opilcem nie stworzyła. Tym razem do stołu zasiadał z apetytem zawziętym. Zdawało się mu że zje, zwłaszcza zaś wypije dwa razy tyle, jak zwykle. Pokazało się jednak, że był to apetyt fałszywy. Przełknął łyżek kilka i talerz z gniewem odsunął; toż samo uczynił z daniem następném; wina mu nie smakowały, obecność urzędników koronnych zawadzała, muzyka—muzyka nawet, którą się rozkoszował—nieznośną mu się wydała. Wszystko to, jadło, napoje, urzędnicy, muzyka szczególnie, przeszkadzała mu myśléć. Od stołu, obiadu nie dokończywszy, wstał i do gabinetu odszedł.

— Cesarz chory...—szepnął z urzędników jeden.

— Gniewny...—odszepnął drugi.

— Czego?..

— Rada go snadź irytowała

— Niechby radę rozpędził i sam rządził...

— Do tego przyjdzie zapewne... Ksiądz Müller sam jeden ma w pięcie rozumu więcéj, aniżeli radcy wszyscy w głowach...

W gabinecie Leopoldowi I wydało się ciasno. Udał się do komnaty następnéj, z téj do przyległéj, przeszedł szereg pokoi i znów do gabinetu powrócił. W pochodzie tym zatrzymał się przed zwierciadłem i nie poznał siebie. Przedstawiła się mu osobistość jakaś obca. Odwrócił się, znów się zwrócił.

— To my przecie...—powiedział.

Widział się od stóp do głowy; rozpoczął oględziny osoby własnéj od dołu. Miał na nogach trzewiki z klamrami, na których odbijały brylanty—piękne brylanty: zadowolniło go to. Z trzewików wychodziły pończochy—pończochy jedwabne, barwy ciemno wiśniowéj, obciągające należycie nogi po kolana i ujęte w górze w przepaski podwiązek złotem przetykanych i brylancikami zrzadka osypanych: i te go zadowolniły. Pludry aksamitne, odpowiadające barwą barwie pończoch znalazł bez zarzutu. Odzież zwierzchnia z przodu otwarta i okryta szamerowaniem, na które się wysilił kunszt szmuklerski, wielce się mu podobała. Wiódł okiem z dołu ku górze, po guzach i pętlach połyskujących od kamieni drogich, po taśmach misternie tkanych, po szwach umiejętnie a elegancko stębnowanych: przegląd ten przyjemność mu sprawiał. Wzrok najdłużéj zatrzymał na kryzach białych, artystycznie dzierzganych i haftowanych, nakształt nimbu śnieżystego wznoszących się nad piersią i otaczających szyję i powiadał sobie.

— To dobrze... to tak...

Miał to poczucie, że oprawa zewnętrzna odpowiada zupełnie i godnie osobie jego i znajdzie uznanie wszystkich i każdego, szczególnie zaś—jéj. „Jéj—ona; ona—jéj:“—wciąż i wciąż po myśli mu się snuło. Dla „niéj“ to oględziny te czynił, oględziny, które prowadził daléj i, do kryz doszedłszy, zamiast wznieść wejrzenie wyżéj, rzutem jednym przeniósł je w dół, do trzewików. Znów przegląd rozpoczął, powolniej aniżeli poprzednio. Dłużéj wzrokiem badał trzewiki, klamry, pończochy, podwiązki, pludry, szamerowania, kryzy i kiedy przyszło badać daléj, wzrok jego, niby ptak ze skrzydłem ustrzeloném, na trzewiki spadł. Powtórzył to po raz trzeci i tym razem oględzin dokończył. Spojrzał sam sobie oko w oko—spojrzał, oczy spuścił, znów spojrzał, znów oczy spuścił, raz jeszcze spojrzał i raz jeszcze oczy spuścił, jakby blask go olśniewał. Blask ów bił nie od peruki ogromnéj, strzępiącéj się puklami, które, falistym ułożone kształtem, tworzyly nad czołem pagórek podwójny, podobny do grzbietu wielbłądziego i spływały w zwojach do koła na kark i ramiona, ale od oblicza—blask dziwny, zagadkowy, rzucający w duszę zapytanie: „Czemu on taki?“ i wywołujący w niéj pretensyą do Boga.

— Mój Boże!.. o! mój Boże...—wzdychał.

I myślić się starał nie o obliczu swojém, ale o niéj...

— Ona... taka piękna!.. Ona... musi być dobra, litościwa, o! tak: dobra i litościwa... Czyż by inną być mogła?.. Ona... ach!..

Strzeliła mu do głowy myśl jedna, która do serca jego wlała troche balsamu pociechy. Czepił się etykiety. Etykieta nakazywała damom przedstawiać się monarsze z oczami spuszczonemi. Uradowało go to. Przed źwierciadłem doświadczenie uczynił, oczy spuścił i przypatrywal się odbiciu postaci swojéj. Doświadczenie to, razy parę powtórzone, doprowadziło do rezultatu pomyślnego.

— Tak... — rzekł sam do siebie. Będzie widziała nasze trzewiki, pończochy, pludry, szamerowania, wejrzeniem zachwyci kamizelkę, sięgnie najwyżéj brzeżka kryz i... nie będzie widziała nic więcéj... O! jakaż to rzecz rozumna... etykieta dworska... O! jakim to mędrcem był ten, co ją wynalazł...

W sposób ten pocieszony i uspokojony spojrzał raz i drugi w zwierciadło, zatrzymując wzrok dłużéj aniżeli poprzednio na obliczu swojém, które, dzięki bezsennicom i utrapieniom, jakich przez tych dni kilka doznawał, pobladło i barwą zielonkawą, odbijającą od prąg sinych pod oczami, się oblekło. Patrzał na nie z—pobłażaniem, mimo to w sercu uczuwał zawiść bezimienną, obejmującą wszystkich razem i każdego z osobna, u kogo na tułowiu wznosiła się głowa

ludzka. Majaczyła mu się mianowicie głowa markiza Franciszka Frangopano. O!..

Głowa ta nie utrzymała się—jak z historyi wiemy—na karku. Nastąpiło to jednak później, wyszło atoli z punktu tego, którym był moment obecny. Nadchodziła pora wizyty u księżnéj Rakoczy.

Do wizyty téj przygotował się cesarz ze strony swojéj, przygotowywała się księżna ze swojéj. Tę ostatnią zajmowała ona również żywo, przedstawiając się jéj pod postacią kroku na drodze politycznéj ważnego. Miało z niéj wyniknąć opanowanie sytuacyi—zapewnienie sobie wpływów na czas jakiś. Księżnéj nie chodziło o zachowanie wpływów długich i trwałych; wiedziała, że jest to rzecz niemożliwa: gusta ludzkie zmieniają się, kobiety najpiękniejsze starzeją; tacy jak Leopold I potentaci nie lubią *du perdrix, toujours du perdrix*. Chodziło jéj o wykrzesanie wszelkich możliwych z nastręczającéj się okazyi korzyści, które się w chwili obecnéj skupiały w ubezpieczeniu dla syna ojcowizny. Franciszek I zajmował stanowisko chwiejne. Był panującym na pół uznawanym, na pół nieuznawanym. Utwierdzić go na stanowisku tém, na tém, jak na dziś, ograniczały się księżny widoki i zamiary, do przeprowadzenia których wystarczało zapewnienie sobie wpływów na czas jakiś—jeżeli nie na lat parę, to... na godzinę może. Księżna znała potęgę spółzawodników swoich i wiedziała, że długo z nimi walczyć nie zdoła. Przygotowywała się przeto ze strony swojéj do wizyty, przeznaczonéj w mniemaniu jéj na to, ażeby posłużyła, jako zakład zaciągniętego u niéj przez cesarza długu. Potrzeba było zakład ów jak najcenniejszym uczynić.

W celu tym zarządziła niejakie w umeblowaniu komnaty swojéj recepcyonalnéj zmiany—komnaty nie téj, w któréj przyjmowała gości zwykłych, ale innéj, mniejszéj, zbliżającéj tych, co w niéj przebywają. W komnacie téj, zaopatrzonéj w okno jedno i w komin duży, ustawić kazała krzesła rozłożyste i dywan szeroki, miękki, poduszkami obstawiony. Z boku nieco postawiła stolik okrągły. Okno osłoniła firanką ciężką. Podłogę okryć kazała kobiercem puszystym. Na ścianach pozostawione zostały malowidła i zwierciadła, które nie przeszkadzały temu, że pokoik ten przedstawiał się pod postacią utopionego w półcieniu zacisza ustronnego, zakątka rozkosznego, wyzywającego do cichego szeptania i wynurzeń serdecznych. Szum płomienia, jakim gorzało ognisko w kominie, stanowił rodzaj kołysanki, usposabiającéj do wylewu uczuć i wypowiadania tajemnic.

Urządziwszy wszystko, jak należy, opatrzywszy i rzuciwszy wejrzenie ostatnie, księżna pojechała do nieuprzedzonéj o niczém księżny Julii. Moment wizyty téj wypadł w porze dnia nie wizytowéj.

W porze téj czoło towarzystwa wiedeńskiego po spożyciu obiadu, oddawało się wypoczynkowi.

— Spadam na ciebie niespodzianie...—rzekła.

— Niespodzianka ta jest mi miłą...—odrzekła księżna Julia.

— Dziwi cię to?..

— Pani... — odpowiedziała z przymileniem.

— Zachwycająca jesteś...—zaczęła księżna, obrzucając młodą kobietę wejrzeniem od góry do dołu. No... ale, zdziwisz się bardziéj jeszcze, gdy ci powiem, żem przyjechała po ciebie...

— O?.. w celu?..

— Nie innym, jak przewiezienia cię z pałacu twego do mego, posiedzenia przy kominie i spędzenia w towarzystwie twojém chwilki czasu... Odpowiesz mi na to: czyżbyśmy nie mogły tego tu uczynić?.. Mogłybyśmy, ale... kobiety stare mają swoje nawyki, kaprysy, które na niejakie może zasługują uwzględnienie... Co?..

— Jadę z wysokością waszą...

— Nie przeszkadza ci nic?.. — i dodała słów parę do ucha.

— Nie... — odrzekła księżna Julia.

Odeszła i w chwilę późniéj powróciła do wyjazdu gotowa.

Po upływie nie więcéj, jak kwadransu, dwie księżny, jedna stara, żółta, pomarszczona, druga młodością kwitnąca, siedziały przy kominie w zaciszy błogiéj. Księżna stara zabawiała młodą opowiadaniem bardzo zajmującém. Mówiła jéj o Leopoldzie I—o wychowaniu jego. Przeznaczonego do stanu duchownego strzeżono od wszelkich pokus światowych i utrzymywano w stanie niewinności i nieświadomości absolutnéj.

— Był już—mówiła—królem węgierskim, kiedy różnicę płci upatrywał w odzieży.

— Nie może być!..—zawołała młoda kobieta.

— Tak jest... O różnicy rodzaju innego dowiedział się od przełożonéj dominikanek, gdy ta do niego skargę o pogwałcenie przez Węgrów zakonnic zaniosła... Dowiedział się, ale...

— Co?..—zapytała księżna Julia.

— To rzecz pewna, że dotychczas pozostaje w stanie niewinności cielesnéj... niewiasty nie tykał...

Księżna Julia nic nie odpowiedziała na to. Zdawało się, jakby w zamyślenie wpadła, z którego wyprowadziło ją dalsze księżny Rakoczy opowiadanie. Księżna prawiła o osamotnieniu, w jakie ścisłe etykiety przestrzeganie wprawia młodego cesarza.

— Ciążyć mu to musi... Nigdzie, u nikogo nie bywa?.. —zapytała księżna młoda.

— Bywa... Używa sobie... Mnie niekiedy odwiédza...

— O?..

— Spada niespodzianie...

— I jakże?..

— Wprawia mnie to w kłopot nie mały, sama go bowiem bawić i sama, gdy przekąskę jaką przyjąć raczy, posługiwać mu muszę...

— Zdarza się to jednak rzadko?...

— O tak... rzadko; zawsze atoli niespodzianie tak, że dnia, ani godziny przewidzieć nie mogę...

— Gdyby się w chwili téj zdarzyło...

— Hm?.. może byś mnie opuścić musiała, a może by ciebie do towarzystwa przypuścił... W tym ostatnim razie nadarzyła by ci się sposobność podziękowania za mianowanie Piotra Zrini banem...

— Proszenia chyba... — poprawiła księżna Julia.

— Przeciwnie... dziękowania, jest to już bowiem czynem dokonanym... Najjaśniejszy pan *proprio motu* reskrypt wydał... Szwagier męża twego jest już *de facto* i *de jure* banem Kroacyi...

— Niceśmy o tém nie wiedzieli...

— Nastąpiło to bowiem dziś, na posiedzeniu rady nadwornéj... Hm...—dodała—nastąpiło to *in gratiam* wdzięków twoich, które cesarzowi spokoju nie dają... Wdzięki niewieście to potęga... to armia, za pomocą któréj hetmanka zręczna kusić się może o zdobywanie tronów...

Materya ta, przez księżnę Rakoczy poruszana już, młodéj kobiecie do smaku nie przypadała. Milczała jednak. Nie przypuszczała, ażeby wygłaszana przez księżnę starą teorya znaleść mogła zastosowanie tém bardziéj, że się świeżo dowiedziała o szczegółach, które ją uspakajały. Uspokajały i zajmowały—powiedzieć nawet można, zaciekawiały do stopnia pewnego. Młody, lat dwudziestu czterech człowiek? — cesarz? — w stanie dziewiczym?.. Wydawało się jéj to rzeczą niesłychaną. Wianuszek dziewiczy na takiéj głowie?—na takiéj peruce?.. Zajmowało ją to żywo i wprawiało w stan rozmarzenia, do utrzymywania którego przyczyniały się wyobrażenia wieku, jaskrawe a drażniące. Płomień się palił, księżna Julia się w ogień wpatrywała, księżna Rakoczy prawiła.

W ciągu téj przykominkowéj konferencyi słyszeć się dały w pokoju przyległym szmery jakieś. Księżna Rakoczy wyszła, przez chwilę jéj nie było, wróciła wreszcie, poprzedając cesarza...

Opowiedzieć, tém bardziéj opisać nie sposób wrażenia, jakie pojawienie się Leopolda I na młodéj kobiecie sprawiło. Zerwała się; stanęła, nie wiedziała co począć z sobą; przypomniała sobie ceremoniał pokłonny i dygnęła, przysiadając nisko, nisko jak najniżéj, tak

że się jéj to za zbyt nisko wydało. To ją z równowagi niejako wyprowadziło. Czuła się mocno zmieszaną—nie wiedziała, czy się z miejsca ruszyć ma, czyli też na miejscu pozostać. Pozostała, oczy spuściła i słuchała. O uszy jéj obiły się następującc księżny Rakoczy wyrazy:

— Jego cesarska mość pozwala wam najłaskawiéj, mościa księżno, pozostać w towarzystwie swojém... Wasza cesarska mość usiąść raczy... tu... po środku... naprzeciwko płomienia... pomiędzy mną a księżną... Niechże wasza książęca mość łaskawie siada...

Młoda kobieta nie wiedziała, do kogo się stosują wyrazy ostatnie. Usiadła jednak a to dla tego, że posadzoną została. Księżna stara za łokcie ją ujęła i lekko w tył popchnęła, łydki jéj oparły się o krawędź krzesła, osunęła się więc na siedzeniu głęboko i przybrała położenie takie, jakie za czasów powtórnego cesarstwa we Francyi wprowadziły były w modę kobiety półświata do przejeżdżania się w landanach po lasku Bulońskim: popiersie podane w tył, nogi wystawione naprzód. Poprawić się chciała—nie mogła. Do poprawienia się, musiałaby oczy podnieść, a dla niéj podniesienie w chwili téj oczów stanowiło czyn odwagi, na który się zdobyć w stanie nie była.

Rozpoczęło się posiedzenie we trójkę—cesarz i dwie księżny. Posiedzenia tego ciężar cały spadał na barki księżny Rakoczy, ona bowiem sama jedna za wszystkich mówiła, zapytywała, odpowiadała. Baba tarabaniła—cesarzowi opowiadała o księżnéj Julii, księżnéj Julii o cesarzu, wystawiała piękność jednéj, unosiła się nad dobrocią i wspaniałomyślnością drugiego, po razy kilka powtarzała jedno i to samo, odegrywała rolę autora, czytającego w głos sztukę dramatyczną. Usiłowała wydobyć słówko od niego lub od niéj. Usiłowania jéj szły na marne. Położenie stało się takiém: księżna Julia, z oczami osłoniętemi rzęsami, siedziała w głębi krzesła i milczała; obok niéj, na krawędzi krzesła wyprostowany siedział cesarz i milczał; stara księżna sama jeno zachowywała swobodę ruchów, podawała się w stronę raz tę, znów owę, mówiła i obserwowała. Obserwacya doprowadziła ją do dostrzeżenia na cesarza lekkiego w prawo głowy zwrócenia. Głowę zwrócił i wnet ją odwrócił, po chwili znów zwrócił i znów odwrócił, powtórzył to razy kilka, za każdym razem zatrzymując głowę w zwróceniu coraz to dłużéj i pozwalając sobie słać wejrzenia ku nogom młodéj kobiety. Z wejrzeniami działo się toż samo, co ze zwracaniami głowy. Były one zrazu krótkie, przelotne, powoli jednak przedłużały się i przewlekały. Przewłoka odbywała się od dołu ku górze, idąc od stóp, ozutych w trzewiki atłasowe, ku kolanom, tworzącym na sukni jedwabnéj dwa wydęcia pagórkowate osłonięte fałdami drapującéj się ku kibici tkaniny. Gdy wejrzenia

te księżna Rakoczy spostrzegła i skonstatowała, podkreśliła je głowy skinieniem i uśmiechem i, do cesarza się zwracając przemówiła:

— Tak... dobrze, najjaśniejszy panie... Może wam przy kominie gorąco, oto—ręką wskazała—dywan... Pozwolę sobie zostawić was na chwilę w towarzystwie księżny Julii; zabawiać się raczcie, nie czyniąc sobie przymusu, a ja tymczasem przygotuję kołacz czeski, piernik toruński, trochę ciasta francuskiego, pomarańcz portugalskich parę i butelkę wina hiszpańskiego... Nie znudzicie się bezemnie...

Kiedy słów ostatnich domawiała, cesarz podniósł na nią oczy pełne wyrazu błagalnego.

— W rzeczy saméj—rzekła—płomień za blisko... Raczcie, najjaśniejszy panie, powstać...

Pod ramię go ujęła. Leopold I wstał, księżna fotel odsunęła i posadziła cesarza na dywanie.

— Mościa księżno, proszę — przemówiła, ramię księżnéj Julii podając.

Młoda kobieta wstała.

— Za reskrypt *proprio motu* podziękować wypada — szepnęła.

Do dywana ją podprowadziła i byłaby tuż obok cesarza posadziła, gdyby się księżna Julia nie oparła i nie usiadła opodal nieco.

— Gołąbków para — akcentem rozrzewnienia, półszeptem wytchnęła i odeszła.

O Ludwiku XIV, gdybyś nieprzedsiębiorczość „brata“ twego widział, wstyd by ci było za niego! O Jowiszu, nie uznałbyś w Leopoldzie I sukcesora swego ziemskiego! O!.. Długim by jednak był szereg imion, mogących być wywołanemi dla kontrastu obok imienia Leopolda I, który po odejściu księżny Rakoczy i pozostaniu sam na sam, w zaciszy, w półcieniu, obok pięknéj, młodéj kobiety, nie wiedział, co i jak począć. Żaden student znajdować się nie mógł gorzéj. Siedział i siedział, i byłby tak siedział kto wié jak długo, gdyby go księżna Julia sama ze stanu nieruchomości nie wyprowadziła. Cud ten sprawiło słowo. Rzekła:

— Waszéj cesarskiéj mości.... najjaśniejszy panie.... dziękuję.... za reskrypt *proprio motu*....

Głosem od wzruszenia drżącym wypowiedziała, wyjąkała raczéj wyrazy powyższe. Wyrazy ostatnie „*proprio motu*“, rozpłynęły się w westchnieniu niby, nastrojoném na nutę wdzięczności, która zabrzmiała nakształt echa pieśni czy muzyki. Cesarz odetchnął z głębi piersi i oczy na księżnę podniósł. Warga mu drżała, policzki powlekała bladość, w oczach świeciła pożądliwość, maskująca się wyrazem niepewności lękliwéj a błagalnéj. Wyobraźmy sobie oblicze ropu-

chy przywalonéj kamieniem. Leopold I czuł się przywalony ciężarem wpojonych weń przekonań i powziętych nawyków, czuł się pod ciężarem stanowiska swego ekstraludzkiego i nie umiał zastosować się do położenia człowieczego. Dałby pół cesarstwa temu, coby zeń w chwili téj ciężar ów zdjął. Dla tego to z wyrazem błagalnym, jak ropucha z pod kamienia, na młodą księżnę oczy podniósł. Niestety— ona nie patrzała na niego. Wymowa przeto wejrzenia cesarskiego nie zdała się na nic. We względzie tym zowodu doznał, ale ośmielił się. Ośmielił się do patrzenia na nią — do nieodrywania od niéj oczów—do pożerania jéj oczami. Następowało to kolejno, jedno po drugiem: stan jeden wyradzał się z drugiego i kiedy do tego przyszło, że się stan pożerania wytworzył, oczy Leopolda I krwią nabiegły, żarem karbunkułów zapałały. Nie mówiący dotychczas wydawać począł stękania:

— Eh... eh...

Przysunął się do księżny najprzód trochę, następnie jeszcze trochę, ręką ku niéj pomknął, cofnął, znów pomknął i cofnął, głowę ku niéj pochylił, peruką jéj pierś całą osłonił, za ramię ją ujął i ścisnął— tak ścisnął, że z bólu krzyknęła i z siedzenia się zerwała.

Zerwała się ona—zerwał się on. Stanęli naprzeciw siebie—oko w oko: księżna strwożona i oburzona, cesarz rozogniony i rozjuszony. Lody przełamał—niech się co chce dzieje! Ręce ku niéj wyciągnął w celu ujęcia jéj w ramiona; lecz się ona cofnęła w przerażeniu, w którém poczuła potrzebę wołania o ratunek i odezwała się nie krzykiem, ale tym rykiem przeciągłym, za pomocą którego wyraża się przerażenie ze wstrętem połączone. Wstręt wzbudzał w niéj widok cesarza, na którego nakoniec patrzyła. Widziała przed sobą napastującą ją w postaci człowieczéj potworność.

Krzyk jéj rozległ się po pałacu całym.

Wpadła księżna Rakoczy.

— Na Boga!.. co to?..

Na widok jéj cesarz ramiona do góry wyciągnął, z głębi piersi odetchnienie długie wydał, zachwiał się i na podłogę runął.

— Żywo, soli, wódki, lawendy! — odezwała się księżna.

Zawinęła się i wnet zemdlałemu pomoc niosła, a skronie mu nacierając i słoiki z solami pod nos tkając, do księżny Julii przemawiała:

— Mała rzecz... mała rzecz... wypadeczek; byle z tego hałasu nie zrobić... Niech to zostanie między nami...

— Odjeżdżam — podchwyciła księżna.

— Dobrze... i owszem... Zniknij: ja tu sprawę wyjaśnię i urządzę... Co się stalo, dobrze się stało... Nie ceni się zdobyczy, która się sama oddaje...

— Ja, wysokość wasza, mam męża—księżna Julia za potrzebne na odchodném dodać uważała.

— Tylko mężowi ani słówka... Gra niebezpieczna... Zgubić możesz i siebie i jego — odrzekła księżna Rakoczy, nacierając cesarzowi wodą lawendową skronie.

XXV. **Ślad w historyi.**

Za powrotem do domu zastała księżna Julia gości huk. Zaimprowizowała się recepcya, którój powód przyszedł niespodzianie a był podwójny: nominacya hrabiego Piotra banem i zdjęcie z markiza Frangopano aresztu. Winszowano markizowi, składano mu życzenia, wróżono podniesienie splendoru domu tyle zasłużonego i tylu czynami świetnemi wsławionego, a obecnie przez wyjście Anny Katarzyny za hrabiego Piotra złączonego z domem równie świetnym i zasłużonym. Wiadomém przytém było o udecydowaném już połączeniu się Franciszka I ze Zrinianką. Było więc czego winszować, było na czém życzenia opierać. Markiz rad przyjmował jedne i drugie i mimo nieobecność żony, zapraszał, zatrzymywał, kazał przysposobić wieczerzą. Księżna, wracając z wizyty, w czasie którój przeszła przez opały takie, wpadła w tłum, reprezentujący śmietankę towarzystwa wiedeńskiego. Wzruszenie znać na niéj było. Policzki jéj pałały, irytacya się w oczach przebijała. Potrafiła jednak nad sobą zapanować. Oblicze w uśmiech przystroiła i ku zadowolnieniu powszechnemu pełniła funkcyą gospodyni domu uprzejméj a gościnnéj.

Podejmowanie gości przeciągnęło się do późna. Noc od godzin paru nastała, a ulicę zajmował jeszcze szereg pojazdów magnackich, oświeconych szeregiem pochodni, co tak zbiegłych z więzienia Jowanowicza i Janosza zdziwiło. Nadchodziła już jednak pora spoczynku, oddalana gościnnością gospodarstwa. Roznoszono właśnie wina i ciasta, kiedy hrabia Orfeusz, który się był przed zgiełkiem do pokoju swego wcześniéj usunął, wszedł, do markiza się zbliżył i słów kilka do ucha mu szepnął.

— Gdzie ?— zapytał ten ostatni.

— W pokoju moim...

Markiz się z pośród gości wysunął, na schody wbiegł i w mieszkaniu krewniaka zastał człowieka od stóp do głowy zabłoconego.

— Z Czakowca?..

— Z Czakowca, dostojny panie....

— Cóż przynosisz?.. listy?..

— Wiadomość... Hrabia Mikołaj zamordowany...

Markiz osłupiał. Jowanowicz w kilku słowach opowiedział o zdarzeniu i dodał:

— Przybywam z żądaniem, ażebyś, miłościwość wasza, domagał się sprawiedliwości....

— Nie spotkałeś się z huzarem Janoszem?..

— Spotkałem się...

— Gdzie?..

— W więzieniu....

I opowiedział, jak się to stało, motywując przyaresztowanie swoje i huzara tem, że wyprzedziła go w Wiedniu sztafeta, wyprawiona z Warasdina końmi rozstawnemi.

— W Wiedniu więc od wczora o morderstwie wiedziano — rzekł markiz, zamyślił się, ramionami ścisnął i dodał: — Nie rozumiem tego....

Powrócił do gości, którzy dla tego jeno na nim zmiany humoru nie dostrzegli, że się tłumnie wynosili. Markiz ich nie zatrzymywał. Żegnał, wyprowadzał, odbywając powinność tę, jak się odbywa pańszczyzna i kiedy pojazd ostatni odjechał, stanął przed żoną i krewniakiem, ręce załamał i rzekł:

— Wesołą wam na waletę powiem nowinę...

Powiedział nowinę tę.

Księżna i hrabia Orfeusz skamienieli.

— Rzeczą jest zastanawiającą, że wiadomość ta, znana w Wiedniu od wczora, nie przeszkodziła mianowania Piotra banem... Co to znaczyć może?...

— Parawan na morderstwo — odpowiedział hrabia Orfeusz.

W przypuszczeniu tém utwierdziła go jeszcze wiadomość o aresztowaniu gońca z Czakowca i gońca do Czakowca.

— Cios wyszedł stąd... Kto wié, czy w sprawie téj Erdödi rąk nie umaczał.. Przypominacie sobie spotkanie z nim w Nowém Mieście.

— Ah!—wytchnęła księżna. — Cóż to za jaskinia... ten dwór!. Jaki stek brzydoty, brudów!.. O! — na męża patrzyła nastawiona do mówienia, patrzyła, wahała się i rzekła: — Jedźmy stąd!...

Powiedziała to z przyciskiem szczególnym.

— Pojedziemy — odparł markiz.

— Jedźmy niezwłocznie...

— Wszakże nie dziś....

— Czemu nie? Do dnia daleko .. przez noc ujedziemy mil nie mało....

— Powiedzą, że to ucieczka....

— Niech powiadają... Ucieczka przed sromotą nie hańbi....

— Przed jaką sromotą? — zapytał markiz.

— O... o... — bąkała — ocierania się o brudy...

— Nie wybierzem się tak rychło...

— Nie potrzebujemy wyjeżdżać dworem całym.... Dwór wyciągnie jutro... pojutrze... późniéj nawet, my zaś, jedźmy stąd dziś jeszcze, natychmiast, za godzinę... Idę, do podróży się przeodzieję i... daléj w drogę!..

— Przez rogatkę nas nie wypuszczą...

— Przez rogatkę czakowacką, ale są rogatki inne... Wszystkie drogi do Rzymu prowadzą... Jedźmy!—dodała—zbiera mnie bowiem ochota piechotą się wybrać... Jedźmy!..

Naleganie jéj miało minę zachcianki kapryśnéj. Była to jednak zachcianka kobiety pięknéj; brzmiało w niéj postanowienie niezłomne; markiz uczynił jeszcze obiekcyi parę i uległ. Hrabia Orfeusz wziął na siebie wyprowadzenie dworu i na kwadrans przed północą, po deszczu i błocie, z przed ganku pałacu przez markizostwo zamieszkiwanego, odjechała kareta, przez huzara z kagańcem poprzedzana. Huzarem był Janosz; na koźle obok woźnicy siedział Jowanowicz; wnętrze karety zajmowało ludzi dwoje: markiz i żona jego. Wyjechali przez rogatkę presburską. O wyjeździe ich wiadomość poczęła po mieście krążyć nazajutrz dopiero około południa; do księżny Rakoczy wieczorem doszła, przyniesiona przez księdza Müllera.

— Być nie może! — wykrzyknęła.

— Niezawodnie...

— Chybaż to wyjazd symulowany...

— Najrzeczywistszy.

— A głupia... głupia... głupia... Wydawała się mi roztropniejszą... Zgubiła siebie, męża i...

— Sprawiła zawód wysokości waszéj—podchwycił ksiądz. Zyska jednak na tém chwała boża... Czy wysokość wasza da wiarę, że pod wrażeniem słabości dla niéj najjaśniejszy pan pozwolić raczył pastorowi pewnemu, co zgorszenie szczepił, ujść cało?..

— Czy o tém najjaśniejszy pan już wié?..

Leopold I o wyjeździe markizostwa nie wiedział. Zemdlenie wprawiło go w stan rozstroju moralnego i fizycznego. Gdy dzięki nacieraniom wódkami i wąchaniu soli do przytomności powrócił, uległ temu, co by, ze względu na wyobrażenia jego o stanowisku ekstra-ludzkiém, nazwać się dało słabością. Z tonu spuścił. Zapytał najprzód, jak śmiertelnicy zwyczajni w razach podobnych pytają:

— Gdzie jestem?..

— Wasza cesarska mość jest u mnie, u najoddańszéj sobie poddanki swojéj....

Obejrzał się:

— Gdzie ona?..

— Odjechała, najjaśniejszy panie...

— Odtrąciła mnie...

Nie mówił o sobie w liczbie mnogiéj.

— Nie, najjaśniejszy panie...

— Nie?..

— Nie—powtórzyła. — To, co się waszéj cesarskiéj mości przytrafiło, jest rzeczą zwyczajną... Wasza cesarska mość pokochałeś... kochasz...

— Kocham? — odezwał się cesarz tonem zdziwienia.

— Pokochałeś wasza cesarska mość... kochasz... — powtórzyła księżna dobitnie — czujesz miłość, która nie przybiega i nie oddaje się sama... Miłość się zdobywa, najjaśniejszy panie, wszystko zaś, co się zdobywa, wywołuje opór obronny... Był to więc opór obronny, nie co innego...

— Nie odepchnięcie, nie... wstręt?...

— Skądże wstręt?..

— Skąd? — powtórzył i pierś się mu westchnieniem podniosła.

— Ale nie—perswadowała księżna. — Wstręt nie przypuszczalny jest do osoby cesarza... Nie, stokroć nie!.. Był to opór obronny miłości, nie poddającéj się na zawołanie najpierwsze... Do serca niewieściego szturmuje się, jak do twierdzy, tylko sposobami innemi....

— Innemi... Jakiemi? — podchwycił.

— Czyś wasza cesarska mość powiedział księżnéj Julii: kocham?

— Nie...

— Cóżeś jéj powiedział?..

— Hm... che... te... nie powiedziałem nic...

— Ano... A to się od wyrazu tego szturm zaczyna... Mówi się istocie umiłowanéj: kocham... kocham... kocham... Można to powtarzać bez końca i przytém... Wszak — przerwała sobie — wasza cesarska mość cierpisz?..

— Oh! — westchnął.

— Opowiada się przytém o cierpieniach serca swego... Opowiadanie to wzrusza istotę umiłowaną, wzrusza ją, rozrzewnia, rozmarza, działa na nią jak muzyka, jak śpiew syreni, obezwładnia ją i powolną czyni... Te są, najjaśniejszy panie, do zdobywania serc sposoby...

— Nie wiedziałem o tém — wtrącił cesarz.

— Używając sposobów tych i będąc cesarzem, nie masz na kuli ziemskiéj serca niewieściego, któreby się nie poddało...

— A nie będąc cesarzem? — zapytał.

— To rzecz zmienia o tyle, że powiększa odporność, niekiedy nawet nieprzełomną ją czyni... Nieprzełomność atoli neutralizuje z góry urok stanowiska twego, najjaśniejszy panie, tak, że dzięki urokowi temu, liczyć możesz z pewnością, pod warunkiem przypuszczenia szturmu regularnie, na zdobycie serca księżny Julii...

Leopoldowi I łzy w oczach się pokazały.

— O Boże... — westchnął.

— Bądź więc wasza cesarska mość spokojnym i dobréj myśli... Wypadek pozostanie w tajemnicy pomiędzy waszą cesarską mością, mną a księżną Julią i... rzecz się do pomyślnego doprowadzi końca...

Podniósł na księżnę oczy i wejrzeniem powiedział: „Pomocą, przewodniczką i orędowniczką mi bądź.“

Księżna to zrozumiała i odrzekła.

— Bądź wasza cesarska mość dobréj, jak najlepszéj myśli.... Rzecz się rozstrzygnie pomyślnie, tymczasem zaś pozwolić racz ofiarować sobie ciastek i kieliszek wina hiszpańskiego...

Leopoldowi I w gębie wyschło, ofiarę więc przyjął, wina kieliszek duszkiem wychylił, piernikiem zagryzł, wody szklankę wypił i uspokojony do zamku powrócił, czując się, jakby u początku życia nowego. Otworzyły się dla niego horyzonty nieznane. Odezwała się w nim człowieczość. Dowiedział się, że kocha i nastał w życiu jego moment, który, gdyby się był utrzymał, sprowadziłby w istocie jego moralnéj przełom na stronę serca, wyziębionego wychowaniem teologiczném. Stał się na chwilę lepszym, łagodniejszym, wyrozumialszym, względniejszym. Nazajutrz rano kanclerz podał mu do podpisu wyroków kilka, opiewających jedne na roboty ciężkie, inne na śmierć—ułaskawił skazanych wszystkich, heretyków nawet.

O miłości marzył; analizował stan serca własnego i drogą analizy do tego doszedł, że księżna Julia przedstawiać się mu poczęła pod postacią narzędzia nie chuci zmysłowych, ale natchnień dobrych. Piękność jéj z dobrém się w myśli jego zlewała w całość harmonijną a bardziéj uroczą, aniżeli wszystko, co dotychczas upodobanie jego zyskiwało. Obiecywał sobie mówić z nią nie tylko o stanie serca własnego, ale i o sprawach, wchodzących do zakresu dobra publicznego. Zamierzył nawet podstępem ją podchodzić, sprawy dobra publicznego wysuwając naprzód i pod osłoną ich przemycając sercowe! W sposób ten to, co się w nim jako popęd zwierzęcy zamanifestowało, oczyszczał, uszlachetniał, na wyżyny człowiecze podnosił i niestety — nie podniósł.

Wiadomość o ucieczce księżny Julii przeraziła go. Udzielił mu jéj kanclerz.

— Uciekła! — krzyknął — nie-go-dzi-wa....

Kazał kanclerzowi iść precz; gdy się on, wpół zgięty, tyłem wycofał i za portyerą znikł, przywołał go, popatrzył się na niego i znów go z przed oblicza swego wypędził. Snuła mu się po głowie myśl pogoni za zbiegłą, ale myśli tej od osoby własnéj oderwać nie mógł. Chciał ścigać sam—konia dosiąść i pędzić. Dziedziczność zapewne obudziła w nim instynkty przodków rycerskich, co wielkość rodu założyli, praktykując heroicznie porywanie, kradzież i rozbój. Instynkty te atoli rozluźniło wychowanie. Mógłże on, potomek różnych „żelaznych", „zuchwałych", „walecznych", konia dosiadać i pędzić? Mógłże, konia dosiadłszy, nie spaść? Ochota przeto zmienić się musiała w szarpanie się wewnętrzne, które mu w duszy powarkiwać poczęło głosem zemsty.

— Wszystko przepadło! — zawołał.

— Co — „wszystko"?

— Pan, w mądrości swojéj — tłómaczył Leopoldowi I ksiądz Müller — zesłał na waszą cesarską mość próbę pod postacią słabości, któréj szatan nadał kształty niewieście... Szatan kusił waszą cesarską mość, jak kusił świętego Bazylego... Bóg miłosierny jednak sam szatana zgromił i pokusę z przed oczu waszej cesarskiéj mości usunął...

— Ależ ja cierpię... cierpię... ojcze wielebny...

— Cierpienie to — odrzekł ksiądz, głowę pochylając — jest dopustem bożym... Jako takie przyjąć je i w modliwie szukać na nie balsamu należy...

Modlił-że się Leopold I! Dzieje przedstawiają go, jako monarchę jednego z najpobożniejszych i najokrutniejszych. Uczucie zemsty w sercu piastował, obejmując niém oporność wszelaką; zwracał je atoli szczególnie w kierunku téj sfery, w któréj jaśniała postać księżny Julii. Tamtędy miał uwagę ustawicznie skierowaną. Czekał jeno na sposobność, któréj się w końcu doczekał (patrz w historyi).

Tak tedy moment przełomowy, dzięki „głupocie" (patrz powyżéj) kobiecéj, nieumiejącéj wstrętów naturalnych przełamywać, przeminął bezpowrotnie.

Księżna Julia, a raczéj markizostwo Frangopano podróż swoją odbyli pomyślnie. W Presburgu się zatrzymali, czując się tam, jako na terytoryum, podległém jurysdykcyi węgierskiéj, bezpieczni. W Presburgu doczekali się dworu i pociągnęli daléj krokiem żółwim z powodu stanu dróg, rozmiękłych od deszczów jesiennych. Hrabia Orfeusz przywoził wiadomości z Wiednia.

— Co tam słychać?—zapytała go księżna, jak skoro z pojazdu wysiadł.

— Słychać to jeno, że gdybyście państwo dostojni do Wiednia powrócili, o progi domu waszego nie biłaby już fala pokłonów i wynurzeń przyjaźni....

— Kto wié — odrzekła księżna.

Sensu odpowiedzi téj nie tłómaczyła nigdy nikomu pomimo, że nadarzyła się jéj po temu sposobność w Czakowcu, dokąd markizostwo przybyli w dni kilka po pogrzebie i gdzie z tego powodu z gości nie zastali już nikogo, ani biskupa nawet. Wyjątek jedyny stanowił Franciszek I-szy, formalny i uznany do ręki hrabianki pretendent.

Zbiegowie nasi, luboć powoli się wlekli, oni wszakże najpierwsi przywieźli wiadomość o zamianowaniu hrabiego Piotra banem. Wiadomość ta sprawiła wrażenie—zadziwiła, a zarazem zaniepokojenie niejakie wniosła, zaniepokojenie, spowodowane rzuceniem przez księżnę wyrazów następujących:

Może nominacya ta odwołaną zostanie....

Jak powyższe „kto wié", tak te ostatnie wyrazy nabrzmiałe były zagadkowością, która uszła uwagi wszystkich, z wyjątkiem hrabiny Anny Katarzyny. Tę zafrapowały one. Jak czasu onego, przyszła do wylegającéj się jeszcze w łóżku księżny, przy łóżku usiadła i w ciągu zawiązanéj z nią rozmowy zapytanie jéj zadała:

— Czemuś powiedziała, że nominacya męża mego odwołaną być może?..

Owóż, dzięki zapytaniu temu, nadarzała się księżnie Julii sposobność wyjaśnienia zagadkowości: zwierzenia się szwagierce, opowiedzenia jéj o wszystkiém, co ją spotkało. Ze sposobności téj nie skorzystała jednak. Dała odpowiedź wymijającą:

— W Wiedniu rządzą się... fantazyami...

— Cesarz wszakże fantastą, jak się zdaje, nie jest...

— Ach! cesarz...

— Cóż?.. jakież na tobie wrażenie sprawił?..

— Obrzydliwości, wstrętu, pajęczych ukłonów, ropusich uśmiechów, skorpionowych uścisków — odparła z uniesieniem. Gdyby nas na świecie całym było dwoje tylko... — zaczęła i urwała.

— Tak się nie podobał tobie, bratowo kochana? — zapytała hrabina ze zdziwienia lekkiego akcentem.

— O! — odparła. — On się ożeni kiedyś, nie wyobrażam sobie, jak go przyjmie ta nieszczęśliwa, co mu się na małżonkę dostanie...

— Dostanie się jéj z nim razem korona cesarska....

— Korona cesarska — powtórzyła księżna w zamyśleniu.

W dni parę późniéj nadeszło oficyalne o nominacyi zaświadczenie. Spóźniło się, przechodzić bowiem musiało przez kancelaryą węgierską. Przywiózł je specyalny z Presburga goniec i wręczył hrabiemu Piotrowi, który zwołał wnet po otrzymaniu onego radę familijną. Radę tę słuszniéj by nazwać można domową, udział w niéj bowiem wzięli: ksiądz Marek, który wcale do familii nie należał

i Franciszek I, który jeszcze nie należał. Kwestya, do rozważania i rozstrzygnięcia podana, brzmiała:

— Przyjąć, czy nie?..

Kwestyą tę wywoływała sama przez się śmierć hrabiego Mikołaja. Zginął z ręki mordercy. Kto mordercę nasłał? Zapytanie to jawiło się w chwili, kiedy z lasu wyniesiono martwe hrabiego zwłoki i w chwili onéj nikt nie wątpił, że cios ten wymierzony został z Wiednia. Było to atoli wrażenie pierwsze, które pozostawało wprawdzie, nie tak atoli żywo, jak w chwili onéj. Dla tego na zapytanie: „przyjąć czy nie?“—odpowiedziała wręcz hrabianka tylko:

— Nie!..

Jéj „nie“ powtórzył Franciszek I.

Hrabiance Helenie i Franciszkowi I odpowiedziała wnet hrabina Anna Katarzyna:

— Cóż nominacya znaczy!.. Cesarz ją podpisał, o śmierci hrabiego Mikołaja wiedząc... Gdyby przeto śmierć ta... życzeniom jego odpowiadała, nie naznaczałby po hrabi Mikołaju brata rodzonego....

Głos zabrał markiz i w te odezwał się słowa:

— Sprawa ta przedstawia się mętnie i nic w niéj rozeznać nie sposób.... Rozważyć ją przeto należy ze strony korzyści politycznéj... Postawmy więc pytanie tak: czy przyjęcie przez Piotra urzędu bana sprawie publicznéj korzyść jaką przyniesie, czy nie?..

— Przyniesie — odpowiedział hrabia Orfeusz.

— Przyniesie — powtórzył ksiądz Marek.

— Takiém jest i zdanie moje — odezwał się markiz.

— Zwłaszcza—zaczął Franciszek I — że ban w osobie hrabiego Piotra będzie miał sprzymierzeńca wiernego w księciu Węgier północnych w osobie naszéj...

— Co na to bratowa dostojna?—zwrócił się hrabia Piotr z zapytaniem do zachowującéj milczenie wdowy, obecnéj obradom w sukniach żałobnych.

— Róbcie, jak się wam najlepiéj zdaje.... Głos mój jest głosem żalu po stracie, któréj mi ani wykrycie morderców, ani nic nie wynadgrodzi... Łzy żalu ronić będę do śmierci... tyle mi tylko pozostaje....

Słowa te obecnych rozrzewniły i przyczyniły się do powzięcia decyzyi. Hrabia Piotr nominacyą przyjął, o przyjęciu zawiadomił władze cywilne, wojskowe i kościelne w Zagrzebiu, dzień objęcia urzędowania oznaczył i w dniu tym odprawił uroczysty do stolicy wjazd. Z dział palono, w dzwony bito; w stolicy najprzód, następnie w krainie całéj, po smutku, jaki sprawiła śmierć brata starszego, zapanowała radość, gdy się wieść o objęciu namiestnictwa królewskiego przez brata młodszego rozeszła.

— *Vivat rex!.. vivat banus!* .

W uradowaniu ogólném udziału nie brali Niemcy, a z Niemcami tacy, jak hrabiostwo Erdödi. Ci ostatni atoli niezadowolnienie ukrywali w serca głębi, na zewnątrz zaś okazywali uradowanie głośno i dobitnie. W ustach ich wiwaty najdonośniéj brzmiały.

Najbardziéj i najszczerzéj cieszyła się hrabina Anna Katarzyna. Ona na nabożeństwo to najpierwsza zadzwoniła. Zachciało się jéj banicą zostać i banicą została — za sprawą czyją? Serce jéj przejmowała głęboka dla sprawczyni wdzięczność, z którą się ukrywać nie myślała. Z najpierwszéj przeto skorzystawszy sposobności, do księżny Julii się zwróciła i, za ręce ją ujmując a w oczy jéj patrząc, przemówiła:

— Ach!.. dziękuję ci, dziękuję...

— Za co?..

— Za twoje w Wiedniu starania....

— Jam się nie starała...

— Przecie?..

— Jam się nie starała—powtórzyła księżna z naciskiem— i proszę cię nie wspominaj mi o tém nigdy...

— Nie lubisz, żebym ci dziękowała...

— Nie to, ale wspomnienie o pobycie moim w Wiedniu przejmuje mnie przerażeniem takiém, jak naprzykład, napad bandytów....

— Nie zbyt to pochlebne dla dostojników, co cię hołdami otaczali... Wszak to nie bandyci...

— Nie? — podchwyciła z akcentem wyrazistym. Zresztą — dodała nie obchodzą mnie już oni... Oddzielę się od nich przestrzenią ogromną... Uprosiłam męża o wyjazd do Włoch, wyjedziemy i już do Wiednia nie powrócę...

Wyjechała i słowa dotrzymała. Zamieszkiwała naprzemian to w Trsacie, to na gruncie posiadłości weneckich, niekiedy w Wenecyi, trzymając się nieopodal od wybrzeży morza Adryatyckiego. Widok lazurowéj toni i szum morskiéj fali milszemi jéj były, aniżeli wystawność, gwar i tajemnice życia dworskiego. Do Wiednia nie wracała więcéj. Zostać była mogła postacią historyczną; została żoną ukochaną i kobietą szanowaną; ślady zaś w historyi pozostały po niéj te jeno, że ręka zemsty wiedeńskiéj sięgała po nią, dosięgnąć jéj nie mogła i przesłała jéj wkońcu list, pisany do niéj przez męża w wigilią dnia, w którym głowa jego spadła na rusztowaniu. Był to list z pożegnaniem. „*Giulia mia cara! addio; mondo! addio*“ Ostatni z wielkiego Frangopanów rodu, żegnał ją a przez nią świat. I tyle.

T. T. Jeż.



IGNACY ŁYSKOWSKI.

W dniu 14 lipca 1886 zmarł w Poznaniu ś. p. *Ignacy Łyskowski*, dziedzic Mileszew na ziemi michałowskiéj, w powiecie brodnickim, w dzisiejszych Prusach Zachodnich.

Zmarły był w społeczeństwie polskiém zaboru pruskiego znakomitością wielce dodatnią. Słusznie tedy należy mu się nie tylko wspomnienie pośmiertne, ale i obszerniejszy rozbiór jego życia i jego działania, jego wpływu na bieg współczesnych wypadków, na stan materyalny i moralny bądź w odłamie kraju, bądź w kraju całym.

W społeczeństwie normalném umysły i talenta wyższe znajdują z łatwością zakres działania odpowiedni, rozwijają się prawidłowo w jednym lub kilku kierunkach, zapełniają pewne określone stanowisko. W społeczeństwie zaś znajdującém się w warunkach nienormalnych jest inaczéj. Nie tylko że talenta te pozbawione są prawidłowych i jasno określonych zadań i torów; ale owszem narażone na pokusę rozstrzelania sił swych w nieskończoność, zwłaszcza jeśli powodowane są szlachetną ambicyą pracowania dla ogółu, a nie tylko pracę samę, ale i formę pracy stwarzać im przyjdzie.

Do takich ludzi należał u nas niewątpliwie i Ignacy Łyskowski. Nienormalne stosunki społeczeństwa powoływały i pchały go w różne strony i na różne pola działania. Wykazać tedy będzie zadaniem naszém, o ile i jakie po sobie pozostawił zdobycze, o ile i w czém bywał człowiekiem chwili, o ile praca jego ma znaczenie trwałe dla dalszych pokoleń.

Z góry powiedzmy, że mąż ten, umysłu spokojnego, poglądu jasnego, wielkiéj pogodności ducha, z natury swéj nie był założonym na człowieka chwili. Szeroki horyzont jego poglądów, duch organiczny, rozum nie tylko głęboki ale i uporządkowany objawiał mu

rzeczywistość i wskazywał twardą konieczność liczenia się z nią w brew najgorętszym życzeniom serca i wyobraźni żywéj. Był tedy świadom, jakie są nieobyte warunki *bytu* społeczeństwa w ogóle a tém więcéj społeczeństwa nienormalnego. Licząc się ze wszystkiemi jego uzasadnionemi i naturalnemi aspiracyami, najchętniéj i najskuteczniéj pracował w kierunkach, które warunki bytu organicznie ulepszyć mogły nie na *chwilę* zwodniczą, lecz na trwałe.

Taki jest sąd nasz ogólny o mężu, którego przedwczesny zgon opłakujemy. Czytelnik osądzi z nagromadzonego poniżéj materyału, czy sąd ten jest słusznym.

Co do szczegółów życia Ignacego Łyskowskiego, jesteśmy w tém szczęśliwém położeniu, że pozostawił nam po sobie publicznie ogłoszoną autobiografią, która wyszła w języku niemieckim w r. 1861 w Lipsku w Librairie etrangère p. t. „Curriculum vitae der Ritterguts-bezitzers Ignaz von Lyskowski, Landrathsamts-Candidaten für den strasburger Kreis, Regierungsbezirk Marienwerder, auf Mileszewy. Selbstverlag des Verfassers."

Powód do sporządzenia tego życiorysu był urzędowy. W roku 1860 stany powiatu brodnickiego przedstawiły rządowi wedle obowiązującego prawa trzech kandydatów na urząd landrata czyli radcy ziemiańskiego a zawiadowcy czyli naczelnika powiatu. W rzędzie tych trzech kandydatów, a samych Polaków, był i ś. p. Łyskowski. Jako kandydat, miał obowiązek spisać i podać rządowi bieg swego życia. Uczynił to tém chętniéj, żeby zarazem w piśmie tém złożyć polityczne wyznanie wiary w obec rządu, którego miał zostać urzędnikiem. Oczywiście nie nastąpiło to i w obec systemu rządu pruskiego nastąpić nie mogło, bo kandydat był Polakiem, świadomym nie tylko swéj przyrodzonéj narodowości, ale i praw historycznych, tejże narodowości przysługujących a bez ogródki oświadczyć się musiał przeciwko systemowi germanizacyjnemu.

Pisemko to nie tylko więc, że nam podaje ciekawe szczegóły z życia Ignacego, ale zarazem określa jasno i dobitnie jego polityczne stanowisko.

Tymczasem rozpoczynamy rzecz od powtórzenia samego pisma.

Ignacy Doliwa Łyskowski urodził się 12 września r. 1820 w Mileszewach, majątku rodzicielskim, z ojca Konstantego a matki Anny z Rutkowskich. Ród Doliwów Łyskowskich od dawna jest zasiedziałym na ziemi michałowskiéj. W r. 1650 jeden z przodków jego był wysokim urzędnikiem królewskim a w wojnie szwedzkiéj stał wiernie po stronie nieszczęśliwego Jana Kazimierza.

Rodzina ojca Konstantego była dość liczną. Pan Bóg pobłogosławił go siedmiu synami i dwiema córami. Było więc zadaniem nie łatwém wychować i wykształcić tyle dzieci przy skromnéj fortunie jednowioskowéj. Daremnie starał się ojciec, żeby choć jednego syna umieścić w pruskiéj szkole kadetów w Chełmnie. Odebrał odmowną odpowiedź. Zadziwia to tém więcéj, że szkoła kadetów już od Fryderyka II miała właśnie to zadanie, żeby polską młodzież szlachecką z dawnych Prus Królewskich germanizować. Po roku 1830 jednak już sobie nie dowierzano i przestali Polaków przyjmować.

Zatém ojciec nie mogąc łożyć na utrzymanie tylu synów w szkołach publicznych, starał się dać im odpowiednie wykształcenie przez nauczycieli domowych. A że w owych czasach wogóle tylko majętniejsi Polacy garnęli się do wyższych nauk szkolnych, więc i nauczyciele domowi bywali Niemcy. W jakim kierunku w owych czasach nauka takich pedagogów działała, powiada nam jeden z bliskich Ignacego rówieśników, temi slowy (w Nadwiślaninie): „Nie zapomnę ja nigdy ciągów, któremi mi guwerner Niemiec wbijał przekonanie o rozmaitych swoich wielkościach historycznych, starając się we mnie wzniecić pogardę wszystkiego, co polskie i katolickie... tak że prawie cudem uszedłem fabrykacyi sztucznéj na wcale grackiego Niemczyka.“ Dom Łyskowskich jednak nie ulegał tym wpływom.

Szlachta polska Prus Zachodnich do roku 1830 a nawet jeszcze właściwie i do r. 1848 pozostawała w letargiczném uśpieniu świadomości narodowéj. Ileż to razy słyszało się późniéj starszych Niemców, ubolewających nad tém, że „dawniéj“ istniał „najlepszy“ stosunek między obydwiema narodowościami i dopiero w r. 1848 zakłóconym został. Przez „najlepszy“ stosunek rozumieli oni taki, w którym świadomość polska obumierała na korzyść języka i obyczaju niemieckiego. W Mileszewach jednak zapewne dzięki bliższym stosunkom z Królestwem Polskiém, utrzymywał się obyczaj polski. Powiada śp. Ignacy, że w domu mówiono tylko po polsku i nauka domowa odbywała się wyłącznie w języku polskim, co w obec dalszych losów Ignacego było rzeczą wielkiego znaczenia.

Przypadek zdarzył, że do Mileszew zawitał w gościnę ks. kanonik Donimirski z Pelplina. Zacny kapłan ten, widząc sporą gromadkę synów w domu gospodarza, nie omieszkał z rodzicami mówić o przyszłości tych dzieci i namawiał ich, żeby choć jednego syna poświęcili zawodowi duchownemu. Niedostatek funduszów stał na przeszkodzie. Zaraz zacny kapłan ofiarował się z własnej kieszeni łożyć połowę kosztów, gdyby najzdolniejszego z braci posłano do gimnazyum. Zgoda nastąpiła, wybór padł na Ignacego, który tedy wysłanym został do gimnazyum w Chojnicach, jedynego, na one czasy katoli-

ckiego gimnazyum w Prusach Zachodnich. Miał wtedy Ignacy lat 13.

Jakim losom uległ w tych szkołach chojnickich, przytoczymy w dosłownem tłumaczeniu z jego *curriculum vitae*.

„Rozpoczął się najnieszczęśliwszy peryod mego życia. W domu rodzicielskim mówiono tylko po polsku; nauka w domu odbywała się tylko w języku polskim, wyszedłem zatém z domu bez znajomości języka niemieckiego. Tymczasem w Chojnicach był wykład nauk wyłącznie niemiecki. Siedziałem w klasie, nie biorąc udziału w nauce. Po za szkołą wałęsałem się, bo przy braku znajomości języka, niepodobna mi było przygotowywać się na lekcye.

„Wśród takich okoliczności i przy znaczném zaniedbaniu młodzieży szkolnej ze strony nauczycieli gimnazyalnych, znalazłem się na najwłaściwszej drodze do zguby. Przesiadywanie w klasie bez udziału w nauce zabijało mego ducha i podkopywało zdrowie. Brak umysłowego zajęcia po za szkołą popchnął mnie do lekkomyślnego życia.

„Tak upłynęło lat dwa; pod moralnym i umysłowym względem cofnąłem się wielce, cały postęp był w tém, żem zapominał ojczystego języka a obcując z młodzieżą niemiecką, nauczyłem się niemieckiego. Po dwóch latach mówiłem płynnie po niemiecku; w trzy lata późniéj zupełnie polskiego języka zapomniałem i już do rodziców niemieckie listy pisywać musiałem. Ale nabytek języka niemieckiego nie podniósł mnie ani moralnie ani duchowo. Zleniwiałem do szczętu a wszystkie dążenia moje skierowane były na to, żeby zostać burszem zawołanym, tj. łobuzem.

„Takiéj we mnie dokonano odmiany: z niewinnego, dobrze wychowanego i uzdolnionego dziecka polskiego, wyrósł zepsuty człowiek z niemieckim językiem.

„Ale Opatrzność mnie uratowała. W owym czasie otworzono gimnazyum w Chełmnie. Nieszczęśliwi rodzice moi, tyle nadziei na mnie pokładający, spostrzegli rychło, że po manowcach chodzę i przenieśli mnie z Chojnic do Chełmna. Środek był dobrze wybrany. W gimnazyum chełmińskiem panował inny duch jak w Chojnicach. Ówczesny dyrektor, ks. Karol Rychter, śledził kroki prawie każdego ucznia i posiadał dar budzenia w uczniach poczucia honoru sposobem ludzkim i przekonywającemi przedstawieniami. Zatém poszło, że w przeciągu jednego roku młodzież gimnazyalna chełmińska, składająca się po większéj części ze steku zepsutych uczniów z innych gimnazyów, doszła do stanu przyzwoitości i pilności, rzadkiego po gimnazyach. Nadto dostałem się w towarzystwo uobyczajonych chłopców, pochodzących ze znamienitych rodów W. ks. Poznańskiego.

Dwa bodźce moralne działały na mnie równocześnie i wstydziłem się mojego niemieckiego burszostwa a zarazem i tego, żem zapomniał ojczystego języka polskiego. Owładnęła mną silna reakcya na korzyść mojéj moralności i méj narodowości, oburzało mnie, żem się stał ofiarą systemu germanizacyjnego i znów się odtąd czułem Polakiem.

„Z jakimże zapałem pochłaniałem klasyków polskich; a *horribile dictu*, musiałem ich czytać za pomocą słownika. Uczyłem się języka ojczystego, jakby obcéj mowy i po dziś dzień przechowuję sobie na pamiątkę wokabularze, z których się na pamięć uczyłem. Zaraz też obudziła się we mnie potrzeba umysłowego zajęcia; odznaczałem się pilnością i dobremi obyczajami. Po pięciu latach byłem abiturientem i jednym z pierwszych uczniów w gimnazyum. Piśmienny, *examen maturitatis* wypadł tak świetnie, że mnie w pięciu głównych przedmiotach zwolniono od ustnego popisu.

„W październiku 1843 r. poszedłem na uniwersytet do Freiburga w Bryzgowii, na teologią. Z wdzięczności dla dobrodzieja mego, ks. kanonika Donimirskiego, wybrałem ten zawód. Na szczęście zastałem we Freiburgu 11 kolegów polskich, a nadto mieszkał tam filozof polski *Trentowski*, jako docent przy uniwersytecie.

„Pobyt w Freiburgu pod wielu względami był dla mnie wielce przyjemnym. Góry Czarnolasu ze staremi zamczyskami i prześlicznemi dolinami, sięgały do bram Freiburga; ludność we wszystkich warstwach stosunkowo bardzo wykształcona, dała mi pojęcie o *samowiedzy ludowéj*; pokochałem Badeńczyków i na setki liczyłem przyjaciół między uczącą się młodzieżą. Profesor Trentowski dla nas dwunastu akademików miewał w salach uniwersyteckich odczyty filozoficzne w języku polskim. Dziwny zaiste zbieg okoliczności: zazdrością niemczyzny nękany we własnym kraju, znalazł język polski spokojne schronisko na niemieckich niwach nadreńskich!

„Najbliższych feryi uniwersyteckich użyłem na podróż do Szwajcaryi i Włoch. Poprzednio nauczyłem stę w tym celu języka włoskiego. Podróż ta, podjęta wraz z pięcioma kolegami, zostawiła w umyśle moim niezatarte wspomnienie. Swobodne urządzenie szwajcarskie, niebotyczne Alby, urok jezior, bujność Lombardyi, wzniosłość tumu medyolańskiego, znakomitość sceny w *la Scala*, klasyczna powaga Genueńczyków, przyjacielskość i swoboda Florentczyków, skarby sztuk nagromadzone w *palazzo Pitti* i *Palazzo delle belle arti*, ponura pobożność Rzymian, wzniosłość i bogactwo rzymskich kościołów i Watykanu, spodlenie Neapolu, gdzie obok szlachty i biurokracyi biedne lazarony w równéj mierze pogrążeni w niemoralności; niewysłowiona piękność zatoki neapolitańskiéj i Campania

felice, groza Wezuwiusza, który się zdaje być oburzonym na to, że tak nędzny ród ludzki zamieszkuje raj europejski;—wszystko to przemawiało do mnie, poruszało mnie i kształciło. Widnokrąg ducha mego się rozszerzył, a pojęcie moje o najwyższych dobrach człowieczeństwa od przeczucia doszło do świadomości.

„U świętych przybytków Rzymu straciłem chęć do teologii. Zastrzegam się przed mniemaniem, jakobym się stał ateistą. Pozostałem chrześcianinem i katolikiem, ale popadłem w sprzeczność z hierarchią, która wtedy kościół oddała na usługi despotyzmu. Już jako uczeń gimnazyalny miałem sposobność zauważyć, jak często dzierżyciele boskich świętości nogami depczą najświętsze rzeczy ludzkie i oddają je na ofiarę niskich i niemoralnych celów. Tak np. ówczesny biskup chełmiński, ks. dr. Sedlak, podając dłoń usłużną systemowi germanizacyjnemu, wzdłuż granicy Królestwa Polskiego, gdzie lud tylko po polsku mówi, z zasady osadzał często niemieckich proboszczów i wikarych; natomiast polskich duchownych posełał w niemieckie strony Prus Zachodnich. Cel tych nienaturalnych przesiedlań był nadto widocznym, ale wysoki ten dostojnik kościoła nie dbał o to, choć kościół podawał na pohańbienie, a niemieccy duszpasterze złorzeczyć musieli polityce, skoro bez znajomości języka polskiego nie mogąc podołać obowiązkom duszpasterskim, w sumieniu swém zaniepokojeni bywali. W tym to biskupie miałem tedy wkrótce uznać mego przełożonego z urzędu. Nie mogłem sobie zataić, że w ręku jego będę albo sponiewieraną piłką, albo téż przyjdzie mi zrzec się działalności na ojczystéj ziemi.

„Wróciwszy do Freiburga, zacząłem się pod względem dalszych studyów wahać między Scyllą a Charybdą. Czémże miałem zostać? Do medycyny miałem wstręt, filologia była mi za nadto pedantyczną, prawo nie przedstawiało w państwie pruskiém żadnych widoków; jako Polak i katolik mogłem się spodziewać, że z końcem karyery prawniczéj zostanę—sędzią powiatowym.

„Wegetowałem tedy jako teolog w niepocieszonych wątpliwościach, ale głównie poświęcałem czas filozofii, historyi i literaturze. Lecz brak ściśle określonego planu nauk tak mi dokuczył moralnie, że popadłem w chorobę, która czerstwość moję podkopała. Lekarze radzili mi zmienić miejsce pobytu. A ponieważ i rok 25-ty życia nadchodził, a z nim ostatni termin odsłużenia wojskowości, wróciłem do Prus i zapisałem się do uniwersytetu wrocławskiego. Mimo to robak wewnętrznego niezadowolenia i rozbrat z wybranym zawodem, nie przestały podkopywać mego zdrowia. Uznano mnie za niezdatnego do wojska, a lekarze zgoła kazali mi porzucić studya i szukać w powietrzu wiejskiém i wiejskim sposobie życia powrotu do

zdrowia. Przed rodzicami nie robiłem tajemnicy; znali oni stan méj duszy, a skorom z N. Rokiem 1846 do domu powrócił i rady lekarskie im przedstawił, nie opierali się ani mi téż zarzutów nie robili. Przyjęli mnie w dom całem sercem, choć dużo rodzeństwa przy domowém ognisku siedziało. Polityczne wypadki r. 1846 nie dotknęły mnie. Zagrzebałem się w ulubionych studyach literackich i zajmowałem się gospodarstwem, co na zdrowie moje doskonale oddziałało.

„Dopiero rok 1848 wyciągnął mnie z ojczystego poddasza. Komitet polski dla polskich części Prus Zachodnich, posłał mnie na przedwstępny parlament (*Vorparlament*) do Frankfurtu nad Menem, celem zaprotestowania przeciwko bezwzględnemu wcieleniu Prus Zachodnich do Związku Niemieckiego i celem postawienia zasady narodowości jako podstawy rozgraniczenia. Najprzód pojechałem do Poznania, żeby się porozumiéć z tamtejszym komitetem narodowym, czy i reprezentanci W. Ks. Poznańskiego taką zasadę wygłoszą. Komitet poznański nietylko się zgodził, ale równocześnie ze mną wyprawił swego wysłańca do Frankfurtu. Mieliśmy oświadczyć obydwaj, że podstawą rozgraniczenia może być tylko narodowość.

„Mężowie w przedwstępnym parlamencie niemieckim zasiadający, chętnie tę zasadę przyjęli, a kiedym z mównicy frankfurckiego kościoła św. Pawła takową uzasadnił i swobodę ludów z niéj wywiódł, otrzymałem grzmiące oklaski.

„Niestety wszystko to rozwiało się z dymem. Parlament przedwstępny popełnił wielki błąd, nie zamieniając się w stały, jak radzili jasno patrzący członkowie i gorliwi patryoci, taki Hecker, Arnold Ruge, Struve i inni. Losy Niemiec oddane zostały w ręce parlamentu, wybrać się mającego wedle prawidłowego regulaminu. Władcy Niemiec zyskali na czasie, żeby zebrać siły. Gdyby nie ten błąd (powiada autor w r. 1861) jużby Niemcy były jedném państwem, czego dyplomacya nigdy nie dokaże, a dokazać mogło wtedy owo w parlamencie przedwstępnym zgromadzone ciało rewolucyjne.

„W maju roku następnego zebrał się parlament, a ja powtórnie pojechałem do Frankfurtu, tym razem jako wysłaniec polskich wyborców powiatu lubawskiego i brodnickiego, którzy w liczbie 170 przeciwko 60 Niemcom w Nowém Mieście na wyborze moim zanieśli protest przeciwko bezwzględnemu wcieleniu Prus Zachodnich do Związku Niemieckiego.

„Parlament, jaki się zgromadził, nie był zdolnym, żeby powieść losy Niemiec do historycznéj vielkości. Szczęśliwa chwila minęła; większa część parlamentu składała się téż z profesorów, ciężko uczonych, ale nie zdolnych do czynu i wykonania sprawiedliwości. Wszystkim narodowościom odmawiali wolności, a marzyli o tém, że

w Niemczech reakcya jest niemożebną. Wobec takiego parlamentu przepadłem z moim protestem; Prusy Zachodnie wcielono do Niemiec, nawet W. Ks. Poznańskie rozpołowiono przez ową znaną linię demarkacyjną. Mnie zbyto tém, że polska ludność Prus Zachodnich miała otrzymać równouprawnienie w szkole, w administracyi i wydziale sprawiedliwości. Nie uszedł rok a historya wydała wyrok swój na parlament, jakoby słowami Wirgila wyrzeczonemi do natchnionego śpiewaka Boskiéj Komedyi: *no ragioniam di' lor me guarda e passa.* Runął w otchłani zapomnienia.

„Opuściłem Frankfurt, wróciłem do domu i stałem się gorącym zwolennikiem polskiéj *Ligi*, która się wtedy utworzyła w Poznańskiém i Prusach na podstawie uzyskanych przez rewolucyą berlińską praw korporacyjnych. Byłem kierownikiem ligi powiatu brodnickiego i członkiem rady prowincyonalnéj, która co trzy miesiące w Chełmnie się zbierała.

„Téj ligi niestety nie zrozumiano i spotwarzono ją. Rząd tak dalece ją ograniczył, że istnienie jéj stało się niemożebném. A jednak jest to faktem, że liga była wręcz przeciwieństwem polityki roku 1846. Polityka ta wyszła od centralizacyi w Paryżu; w kraju udział w niéj był bardzo nieznaczny. W Polsce już wtedy upowszechniała się wiara, że spiski i rewolucye są anachronizmem, że stoją na przeszkodzie spokojnemu, organicznemu rozwojowi i ukształtowaniu europejskiéj rodziny narodów.

„Mógłby mi ktoś zarzucić, że mimo to w dwa lata późniéj ludność polska W. Ks. Poznańskiego chwyciła za broń. Ale ja twierdzę stanowczo, że ruch ten wywołanym był przez Niemców. Z całych Niemiec nasélano Polaków proklamacyami, *wzywającemi* do wspólnéj walki przeciwko Wschodowi. Po niemieckich miastach nad Renem tworzyły się komitety do zaopatrywania Polaków w broń i pieniądze; niemieccy studenci i t. p. ludzie wykształceni, masami płynęli do Poznania, żeby się zaciągnąć do szeregów na wojnę przeciwko Wschodowi; sam rząd pruski na koszt skarbu sprowadził polską emigracyą z Francyi do Polski. Jakże Polacy nie mieli uledz takiemu parciu? Że jednak ostatecznie broń swą skierować musieli przeciwko Prusakom, było skutkiem reakcyi. Rząd pruski chciał Polaków rozbroić, a całe Niemcy wołały: „nie składajcie broni, Prusacy nie odważą się na was, bo i my tu jesteśmy.“ Że tak było, mogę zaręczyć, bo sam hasło takie przewoziłem. Albowiem kiedym uwagę prowodyrów parlamentu przedwstępnego w Frankfurcie zwracał na reakcyą, rozpoczynającą się nad brzegami Wisły, otrzymałem polecenie, żeby powyżéj przywiedzione słowa zawieść komitetowi narodowemu do Poznania. Zatém Polacy, doznawszy zawodu

tak w r. 1846 jak i 1848, chwycili się oburącz uzyskanych w r. 1848 praw korporacyjnych, żeby wedle wzoru katolickich Irlandczyków, na prawéj drodze dochodzić swych praw, ukracanych przez zakazy germanizacyjne. Być obywatelem państwa pruskiego, a jednak mieć prawo pozostania Polakami — otóż była zasada Ligi.

„Wedle mego zapatrywania rząd pruski popełnił wielki błąd, że nie wspierał ligi i nie odstąpił od tradycyjnéj polityki germanizatorskiéj. Rozwój narodowy na drodze legalnéj byłby zadowolnił moralne potrzeby ludności polskiéj i powstrzymał ją od wszelkich wybryków. Postępowanie przeciwne, system germanizacyjny wywołał opór, drażnił poczucie narodowe i wprowadzał Polaków w przeciwieństwo do uprzywilejowanych w państwie pruskiém Niemców.

„Żeby się przekonać o prawdzie tego twierdzenia, dość spojrzéć na stan rzeczy w Prusach Zachodnich przed piętnastu laty. Możnaż tam wtedy było mówić o objawach poczucia narodowości u Polaków? Żyliż Polacy w odosobnieniu od Niemców? Nie szliż raczéj za nimi wszędzie z zupełném zaufaniem? Zatém system germanizacyjny osiągnął wręcz przeciwny skutek, nie ten którego się spodziewał.

„Skoro z rokiem 1850 Liga się rozwiązała, wróciłem do rolnictwa i do studyów mych na poddasze rodzicielskiego domu. Tak było do roku 1853. W tym roku sędziwy rodzic postanowił cofnąć się na spoczynek i podzielić majątek między dzieci. Całe rodzeństwo zaproszono na naradę. Ciężkie to było zadanie ochronić ojcowiznę od przejścia w ręce obce, bez pokrzywdzenia reszty rodzeństwa. Ale zaiste rzadki wydarzył się przykład, że dziewięcioro dorosłego rodzeństwa w ciągu jednego dnia zawarło zgodę o działy po rodzicach i otrzymały na nią przyzwolenie i błogosławieństwo rodzicielskie.

„Ja objąłem Mileszewy, za które przed dwoma laty dawano 60,000 tal., za 68,000 tal. z udziałem własnym 3000 tal.

„Położenie moje było trudne, inwentarz nie był wystarczający, żeby podnieść dochody z roli. Kapitałem moim obrotowym była dziesiątka mych palców i zamiar, żeby Niemców przekonać, jak Polak gospodarować potrafi.

„Odtąd upłynęło lat sześć; ożeniłem się (z Paruszewską) i jestem ojcem czworga dzieci. A czy zamiar wyżéj wypowiedziany osiągnąłem, twierdzić nie chcę, ale to tylko nadmienię, że wydany przezemnie „Gospodarz“ stał się podręcznikiem drobnego gospodarstwa, jak daleko język polski sięga.“

Podaliśmy prawie w całéj rozciągłości powyżéj skreślony życiorys, ponieważ takowy przedstawia nam w zarysie zaokrągloną całość, w któréj się dość jasno odzwierciedla człowiek, wraz z otaczą-

jącemi go okolicznościami. Biorąc to, co powyżéj powiedziano, jako podstawę rozważymy i objaśnimy życie i działanie Ignacego Łyskowskiego w wybitniejszych kierunkach, a mianowicie pod względem *rolniczym i gospodarskim*, *społeczno-polityczny*m, a wreszcie i *literackim* oraz *pnblicystycznym*.

Był tedy Ignacy Łyskowski przedewszystkiém zawołanym rolnikiem i gospodarzem. Widzieliśmy, że majątek ziemski objął w nader trudnych warunkach, jako jeden z dziewięciorga rodzeństwa. Objął go nie uczywszy się rolnictwa ani na akademiach rolniczych, ani jako „elew“ we wzorowych gospodarstwach niemieckich, a jednak nie tylko sprostał zadaniu praktycznemu, lecz jeszcze jak nikt dziś w Polsce, odznaczył się na polu teoryi. Poszło to niezawodnie dobrym przykładem i wzorem, jaki miał w domu rodzicielskim, a poszło i tém, że umysł Ignacego szczęśliwie był skierowanym na pojmowanie rzeczy z praktycznéj strony. Wysoka inteligencya, jaką zdobył na uniwersytetach, nie tylko w górę ale i na dół rozszerzyła też i rozjaśniła widnokrąg jego wiedzy i rozumu. Jeżeli kto, to nasz Ignacy jest żywym dowodem, jak to człowiek naukowo wykształcony, przy okolicznościach sprzyjających, łatwo i z dobrym skutkiem sobie poradzi i nie popadnie na bezdroża, bo umie sądzić zdrowo i jasno. Nasz koryfeusz rolniczy tém się przedewszystkiém odznaczał, że w niczém nie przesadzał, szedł średnią zawsze a pewną drogą, ziemi i gospodarstwa nie zmuszał do sztuk łamanych. Gospodarstwo jego było postępowém co do rezultatów przedewszystkiém. Zacząwszy prawie niczém, jak sam powiada, dziesięciu palcami, i tą szlachetną ambicyą, żeby Niemcom pokazać przykład *polskiego* rolnika, zakończył tém, że dzieciom pozostawił fortunę. A przecież, jak zobaczymy niżéj, nie był wyłącznie oddanym zawodowi swemu rolniczemu, lecz owszem trawił dużo sił i czasu na różnych posługach życia obywatelskiego, a kto zajechał w dom jego, znalazł w nim nie tylko uprzejmego ale i hojnie gościnnego gospodarza. Starczyło na wszystko. Starczyło dla tego, że w głowie był *rozum*, a nie tylko rozum ale i *porządek* w rozumie.

Prusy Zachodnie były tak szczęśliwe, że posiadały w epoce, o któréj mowa, dwóch mężów znaczniejszych z takim właśnie rozumem. Był to Teodor Donimirski i Ignacy Łyskowski. Im to głównie zawdzięcza ta dzielnica, że przez czas niejaki stała w kraju naszym, jak to mówią „na świeczniku.“ Co zaś dziwniejsza u nas, że obadwaj działali bez zawiści i antagonizmu. Obadwaj znali tylko jedną ambicyę, żeby być użytecznymi, bez uszczerbku moralnego i materyalnego dla kogokolwiek. W hartownéj piersi obudwóch biły gołębie serca, a w głowach paliły się znicze czyste, niezatumanione namiętnościami.

Obadwaj też działali zgodnie na polu mianowicie rolniczo-społecznym, a zatém w towarzystwach i innych zbiorowych usiłowaniach.

Działalność Ignacego Łyskowskiego na tém polu rozwija się pierwotnie już w czasie między rozwiązaniem Ligi a wystąpieniem jego na arenie parlamentarnéj, jak to poniżéj się wywiedzie.

Spę ony wypadkami z pola publicznéj działalności, przy pracy domowéj około rolnictwa, zajął się Łyskowski tém gorliwiéj działalnością piśmienniczą na rolniczéj i ekonomicznéj niwie. Już w roku 1851, kiedy w Chełmnie powstał „Nadwiślanin", umieszcza w nim obok innych prac, artykuły rolnicze w osobnym dodatku p. t. „Gospodarz", któremu i późniejsze sławne dzieło rolnicze tytuł zawdzięcza. Dzieło to wyszło w trzech częściach w r. 1852 po raz pierwszy u Koehlera w Brodnicy. Z wdzięcznością autor sam zaznacza, że rękopis przejrzał mu sławny rolnik wielkopolski, Wojciech Lipski, współzałożyciel i redaktor „Ziemianina". Jemu też i Włodz. Wolniewiczowi jest poświęcone.

Wiadomo powszechnie, jak przeważny i szeroki wpływ wywarł „Gospodarz" Łyskowskiego na rolnictwo całego kraju w znaczeniu najobszerniejszém. Podobno i na inne języki słowiańskie go przetłómaczono (na bułgarski). Napisaniem téj książki postawił sobie Ignacy Łyskowski pomnik prawdziwie *aere perennius*. Zachęcony powodzeniem, nie tylko go opracowywał w coraz nowych i liczniejszych wydaniach, ale zarazem coraz to nowe podawał do druku artykuły rolnicze, z których znaczna część, zwłaszcza w pierwszym czasie jego działalności piśmienniczéj podpisana jest pseudonimem „Szymona." Artykuły jego, w „Nadwiślaninie" umieszczane, przedrukowywał „Przewodnik Lwowski" i „Czas."

Łyskowski wyznawał zawsze tę zasadę, że główną dźwignią społeczeństwa musi być *nauka* i *czytanie.* W tém przekonaniu wziął się do pióra i zalecał upowszechnianie pism. A kiedy go powodzenie utrwaliło w tém przekonaniu, znajdujemy, że w ulubionym „Nadwiślaninie" tak się w téj mierze wyraża (r. 1858): „gdyby pismo takie jak nasz „Nadwiślanin", było wychodziło od czasu, jak ziemie nasze pruskie pod dzisiejsze przeszły panowanie, gdyby było bez ustanku naszych ojców upominało: *przyjmijcie z pokorą i rezygnacyą* zmianę..... ale strzeżcie waszéj *moralnéj egzystencyi...* bo po utracie takowéj wyjdziecie na nikczemników; strzeżcie wszystkiego co ją zachować i przy pełném zdrowiu utrzymać może, szanujcie ojców zwyczaje i język śpiewny a jędrny, trzymajcie mocno w ręku spuściznę majątkową, jako niezbędną podwalinę wszelkiéj egzystencyi i potęgi na tym świecie; uczcie wasze dzieci, by *obcéj mądrości* spro-

stać potrafiły, nie usuwajcie się od służby publicznéj, by się nie otworzyły kanały napływu obcych, o! zapewne inaczéj by pomiędzy nami wyglądało, z czystszém sumieniem stanęlibyśmy wobec sądu historyi, nie tak pochmurną i straszliwą wydawałaby się nam przyszłość nasza.“

„Gospodarz“ Łyskowskiego obliczonym był przez autora na podniesienie drobnych gospodarstw. Trzeba nam „książeczki“ gospodarskiéj — powiada sam — puszczając w świat pierwsze wydanie. „Książeczka“ stała się wprawdzie wielce popularną, ale jednakże nie dosięgła do spodu społeczeństwa tak głęboko, jakby był tego pragnął autor, t. j. do ogółu gospodarzy włościańskich, o których już w r. 1852 pisał, że giną i że ich ratować trzeba „nauką, przykładem i zapomogą.“ Dla tego napisał późniéj mniejszą książeczkę rolniczą p. t. „Trzy nauki gospodarskie dla gospodarzy włościańskich“, która się nie mniéj kilku wydań doczekała i znakomicie odpowiada zadaniu. W tymże kierunku napisał w r. 1861 „Rzecz o płodozmianie“ i w r. 1863: „Prawdziwa nauka o płodozmianie.“

Nie wszystkie nadzieje jednak pokładał Łyskowski na nauce i czytelnictwie. Równocześnie prawie z wydaniem „Gospodarza“ rozpoczyna piśmienną agitacyą w sprawie *poprawy kredytu rolniczego*. Już w r. 1857 jako „Szymon“ odzywa się o potrzebie założenia *banku prywatnego* dla gospodarzy ziemskich Prus Zachodnich. W r. 1858 zaś pod właściwém nazwiskiem i „na żądanie osób interesowanych“ ogłosił artykuł p. t. „Uwagi organiczne nad naturą banku w Królestwie Polskiém utworzyć się mającego.“ Bank ten miał wyniknąć z Towarzystwa Rolniczego. Łyskowski był wielkim wielbicielem tego towarzystwa i podnosił jego wpływ moralny. Pisząc o tém w „Nadwiślaninie“ zaznacza, jak pod wpływem towarzystwa ustały rozpusty i pijatyki a zawitał statek i przyzwoitość. Lgnął tedy całą duszą do ruchu tego, a chcąc go przenieść na swoje społeczeństwo, zachwala związki małżeńskie między dziećmi różnych dzielnic, „dla porządnego skąpania się w wyobrażeniach i usposobieniu ziomków, u których żyje jeszcze i wre tętno swojskie ochoczo i mocno bije.“

Po wspomnianéj tu instytucyi kredytowéj i pożądanéj wedle tegoż wzoru instytucyi dla ziemian zachodnio-pruskich, spodziewał się przedewszystkiém poskromienia lichwy, która, jak mówił, Księstwo zjada i do Prus się wkrada. Przy téj sposobności wyłożył zapatrywanie swoje na naturę instytucyi bankowéj, mogącéj oddać rolnictwu rzeczywiste usługi. Może i dziś jest na czasie choć w kilku słowach naszkicować jego zapatrywanie.

Wychodzi on z tego założenia, że *nauka* rolnicza dopiero wtedy będzie płodną, kiedy gospodarzowi otworzy się odpowiedni kre-

dyt. Ale kredyt jest mieczem obosiecznym. Dla tego używać i urządzać go trzeba z wielką rozwagą. Instytucya ziemska przedewszystkiém nie powinna być *wekslową*, bo kredyt wekslowy jest dla rolnika za krótkim. Akcye banku ziemskiego nie powinny być przystępnemi dla każdego, bo rychło przejdą w ręce lichwiarzy, wyzyskiwaczy. Kredyt dla rolnika najstosowniejszy jest to kredyt hipoteczny, umarzający się a nie wypowiedzialny. Zatém obok rozprzestrzenionych towarzystw kredytowych, powinny powstawać banki hipoteczne, jako dwa odrębne czynniki, ale pod *jedną* administracyą zostające, już dla saméj jednolitości taksy. Pierwsza $^1/_3$ taksy ma służyć towarzystwu kredytowemu, druga $^1/_3$ bankowi, a dopiero reszta wierzycielom prywatnym. Rewizye taks odbywać się mają co 6 lat i t. d. i t. d.

Z tych to początkowych uwag i rozpamiętywań urosły następnie projekta kredytowe, które wykonywano w Toruniu i Poznaniu. Lecz to już do rzeczy nie należy, chociaż i w tém wszystkiém Ig. Łyskowski mniéj lub więcéj czynnie brał udział, zwłaszcza w Toruniu.

W r. 1861 dał nareszcie Ignacy Łyskowski w Prusach Zachodnich hasło do zakładania powiatowych towarzystw rolniczych. Pierwsze było dla powiatu brodnickiego. Statut on sam ułożył i obok prezesa Sulerzyckiego pełnił w niém obowiązki sekretarza. Późniejszemi laty sam był przewodniczącym. Wyraził wtedy nadzieję, że niebawem po wszystkich powiatach podobne towarzystwa powstaną. Powstały téż rzeczywiście i niejakiś czas odznaczały się ożywionem życiem, a kiedy tętno życia tego opadać zaczęło, wystąpili dwaj wzwyż wymienieni mężowie: Ignacy Łyskowski i Teodor Donimirski z nowym ożywczym środkiem, który powołał do życia nową formę społeczno-ekonomicznéj pracy. Były to tak nazwane *sejmiki gospodarcze toruńskie.*

Pierwszy sejm odbył się d. 15 stycznia 1867 z udziałem 86 obywateli Prus Zachodnich i 17 obywateli z W. Ks. Poznańskiego. Zagaił go Ignacy Łyskowski, a przemówienie jego daje nam tę wyraźną wskazówkę, że pomysł toruńskich sejmików urodził się właśnie w głowie Łyskowskiego. „Ponieważ pierwsza myśl dzisiejszego zebrania wyszła odemnie, biorę sobie prawo pierwszego przemówienia.“ Tak witał zebranie, a następnie w przydłuższém przemówieniu wyłuszczył zapatrywanie swe o potrzebie i celu zebrania.

Jeżeli nie wypowiedział, czuł to jednak dobrze Ig. Łyskowski, że towarzystwa rolnicze, które z taką skwapliwością popierał, nie kwitną, bo się niejako zaskorupiają w powiatowszczyźnie, do któréj nie docierają z zewnątrz ożywiające idee. W W. Ks. Poznańskiém ożywczem centrum dla towarzystw powiatowych było Centralne To-

warzystwo Gospodarcze i jego walne zebrania. Pragnął tedy Łyskowski i w Prusach stworzyć podobne źródło, bądź dla towarzystw jeszcze wegetujących, bądź dla jednostek, łaknących duchowego pokarmu. Stworzyć w tym celu organizm rozczłonkowany, jak go miało Księstwo, było niepodobieństwem, na to nie starczyło materyału, wpadł więc na genialną myśl, żeby przez odbywanie corocznych, *wolnych* zjazdów, osięgnąć cel pożądany. Nie zjeżdżali się tu z urzędu członkowie towarzystw, ale każdy obywatel i członek inteligencyi, miał równe prawo brać udział w sejmiku.

To była że tak powiem formalna geneza sejmików. Ale Łyskowsi miał cele i zamiary głębsze. Nie pragnął on jedynie nastręczać sposobność do rozpowszechniania światła, lecz jak to w przemówieniu swém zasadniczo zaznaczył, chciał stworzyć arenę, na któréjby można zwalczać *„chorobliwy idealizm.“*

„Jest w duchowym ustroju (są słowa jego) naszego społeczeństwa *jakiś* prąd idealizmu, który zdradza śród nas nietylko chorobliwe pojęcia o głównych warunkach bytu społecznego, ale nawet chorobliwe pojęcia o religii i patryotyzmie. Zbyt często odzywają się śród nas nawoływania, że świat zagrząsł w *materyalizmie*, że nie godzi nam się iść torem dzisiejszéj cywilizacyi, która prowadzi do ubóstwienia cielca złotego itd. Ten *chorobliwy idealizm* przebija się u naszego gminu w niedbalstwie o jutro i o fałszywém pojęciu religijném, że ten Bóg, który ptaszki w powietrzu i lilie na polu żywi i o nas nie zapomni. Zbytecznie byłoby dowodzić, że człowiek to nie ptaszek, ani lilia, że inne ma potrzeby, którym myśl i pracę poświęcać winien. Ten sam chorobliwy idealizm przebija się niemniéj u wyższych warstw społeczeństwa naszego i manifestuje się w *lekceważeniu* bytu *materyalnego*, w usuwaniu się od pracy społecznéj, w pokładaniu nadziei w fantastycznych konstelacyach i w składaniu wszystkiego na łaskę Bożę i w wyczekiwaniu jakiegoś cudu. I tu byłoby zbytecznie dowodzić, że z niczego nic nie będzie... Jest więc *potrzebą*, aby nietylko głośno wypowiedzieć, że ten chorobliwy idealizm stoi w dyametralném przeciwieństwie do *realnego* kierunku ucywilizowanych społeczeństw i prowadzi do zguby, ale zarazem z porzuceniem tego zgubnego kierunku, *czynnie* wystąpić na tor trzeźwéj i skrzętnéj pracy około realnych podstaw życia społecznego, około inteligencyi, dobrobytu i moralności społecznéj. Musimy nastrój nasz duchowy i nasze gospodarstwo społeczne zastosować do wymagań wieku i musimy brać udział w pracy i w produkcyjności owego wielkiego mrowiska, aby z pełnemi rękoma stanąć do podziału przyszłego bytu społecznego.“

Przyzna każdy, że słowa te zawierają więcéj aniżeli zwykłe przemówienie banalne; one zawierają program, jak na nasz poziom umysłowy tak śmiały, że ani wygłaszający go ani nikt po nim jeszcze się nie mógł odważyć na jego przeprowadzenie we wszelkich konsekwencyach. Nie kusiły się téż o to Sejmiki i pozostały przy formalnéj części zadania, które z umiejętnością i spokojem pielęgnował właśnie Teodor Donimirski. Społeczeństwo téż snać wolało tę opiekę, bo choć Ig. Łyskowski był ojcem sejmików, odtąd do końca życia ojcował im Donimirski, wszakże bez urazy zobopólnéj. Było to zaiste *par nobile civium*, którzy na jedném polu pracując, sobie nie zawadzali i téż zawadzać nie pragnęli.

Ale Łyskowski czuł, że mu w Sejmikach takich, jakie się w praktyce wyrobiły, czegoś nie dostaje a może i zbyteczne zaawansowanie się ich w stronę materyalistyczną, spowodowało go do duchowéj reakcyi; dosyć że w r. 1869 spowodował założenie *Towarzystwa interesów moralnych*, które zamierzal rozciągnąć przedewszystkiém i na W. ks. Poznańskie. To się zgoła nie powiodło a w samych Prusach Zachodnich towarzystwo także nie doszło do rozkwitu przez założyciela upragnionego. Wydał on w r. 1869 w Poznaniu broszurę p. t. „Rzecz o towarzystwie moralnych interesów itd.“ która miała powołać wszystkich, aby „stanęli jak jeden mąż,“ do pracy na polu *społeczno-cywilizacyjnem.* „Założyliśmy“, powiada Łyskowski, „w Toruniu Bank kredytowy (Donimirski, Kalkstein, Łyskowski i Sp.) a następnie Sejmiki gospodarskie. Ubezpieczywszy się *materyalnie*, uczyńmy teraz trzeci rozumny i zdrowy krok, zgromadźmy nasz fundusz *moralny*. aby ubezpieczyć nasze *moralne* interesa społeczne.“ Jak zaś rozumiało to ubezpieczenie na drodze *jawnéj* i *legalnéj*, powiada w końcu swéj broszury temi słowy: „Podnośmy moralnie nas samych, nasze mieszczaństwo i nasz lud, budząc poczucie i krzewiąc oświatę; każda czytelnia; każde kółko gospodarskie; każda biblioteczka parafialna; każde towarzystwo wstrzemięźliwości; każda ochronka, każda opieka, dana szkółce czy to w udzielaniu materyałów szkolnych, czy to w uczeniu dziewcząt robót ręcznych; każde ulepszenie bytu włościan, nawet każde dobre gospodarstwo, dobry przemysł swojski, zgoła wszystko, co niejako społeczeństwo moralnie podnieść może, już jest w myśl towarzystwa itd.“

I w sprawach natury politycznej a mianowicie wyborczych, towarzystwo to miało być kierownikiem opinii i działania, a w tej mierze i tu przemilczéć nie możemy, co leżało na dnie duszy założyciela towarzystwa. W ślad za rozwojem towarzystwa, mówi on w broszurze swej, „rość będzie siła i godność społeczeństwa i wyleczymy się z chorobliwego idealizmu, szukającego zbawienia

albo w gorączkowych porywach i w teoryach burzących, albo w abstrakcyach i cudach, albo nareszcie w abstynencyi, w indeferentyzmie, w kwietyzmie i Bóg wie nie w czém, tylko nie w pracy i cywilizacyi społecznej".

Idei założyciela nie rozumiano lub źle ją rozumiano, dla tego towarzystwo to nie zdołało sobie zjednać popularności a założycielowi zgotowało gorzkie chwile. Była to jedyna sprawa, w której się pozwolił porwać falom polemiki dziennikarskiej i stanął w sprzeczności z organem polskim w Toruniu wychodzącym, z *Gazetą Toruńską*, do której założycieli należał. Mimo to i mimo, że szeroki zakrój, jaki Łyskowski towarzystwu nadać pragnął, okazał się niepraktycznym a zawodnym, mimo, że W. Ks. Poznańskie idei Łyskowskiego wcale nie pochwyciło, jednak towarzystwo to w Prusach Zachodnich wydało błogie owoce na polu oświaty ludu i czytelnictwa. Zatem i tu praca Łyskowskiego nie poszła na marne.

Pod względem politycznym, polityczno-społecznym, a parlamentarnym, była działalność Ignacego Łyskowskiego także dość rozległą, ale nigdy nie była przewodnią, a to po prostu dla tego, że zasadnicze zapatrywania jego polityczne nie były jak dopiero co widzieliśmy, popularnemi. Patrzał on i widział jaśniéj niż przeciętna i tradycyjna opinia, wkorzeniona w krew i kości społeczeństwa. Zatém nie mógł być co się zowie popularnym a nie znajdował téż w tém zadowolnienia, żeby sie o popularność dobijać. Jemu wystarczało być powagą a powagą był w pełnéj mierze tak u siebie w powiecie, jak w całéj ziemi, jak w całym kraju. Przytém choć jasno patrzący, ale jako nieodrodny Polak ulegał złudzeniom politycznym, które instynkt narodu odpędzał i które on sam ostatecznie porzucił.

Dwie rozróżniać należy epoki politycznéj działalności Ig. Łyskowskiego. Pierwsza była na parlamentarnéj arenie, jeśli tak powiedzieć można, *rewolucyi niemieckiéj*, druga późniejsza w *sejmie pruskim*. Jak występował na pierwszéj, sam nam już opowiedział krótkiemi słowy w życiorysie swym. Napojony niemiecką nauką i filozofią; związany stosunkami osobistemi, ulegając zresztą prądowi czasu, wierzył w ówczesny polityczny ruch niemiecki i w ukształtowanie świata przez ruch ten. Wiarę tę musiał naturalnie rychło porzucić, zatrzymał tylko jeszcze nadzieję, że w marnych epigonach dziecinnego ruchu tego tkwi żywioł, od którego się czegośkolwiek spodziewać można, choćby platonicznéj sprawiedliwości. I z tą nadzieją rozstać mu się przyszło, bez żalu a raczéj z pogardą dla niemieckiego liberalizmu. Dosadnio się to uwydatnia w słowach, które w r. 1871 rzucił liberalizmowi niemieckiemu z trybuny sejmu pruskiego: „naszych starszych

deputowanych, którzy chodzili do waszych ciał prawodawczych a prawie już ćwierć wieku patrzeli na Niemcy jako na dźwignię politycznego zbawienia, na pruską konstytucyą jako na twierdzę obywatelskiéj wolności, na tych dziś patrzą jeśli nie jako na zdrajców, to przynajmniéj jako na fałszywych proroków i palcami ich wytykają.“

Lecz to już było w drugiéj połowie jego działalności politycznéj. Czy może w papierach zmarłego znajdą się jeszcze jakowe zapiski, odnoszące się do jego dwukrotnéj bytności w Frankfurcie nad Menem, to przyszłość okaże. Mowa jego wypowiedziana wtedy w przedwstępnym parlamencie przeciwko wcielaniu bezwzględnemu Prus Zachodnich do Niemiec, zrobiła wrażenie na słuchaczach i na całym kraju; był to pierwszy protest parlamentarny z zaboru pruskiego, inaugurujący długą, wspaniałą, tragiczną walkę, niezakończoną i nieskończoną.

Jak nam wiadomo, jeździł Łyskowski dwa razy do Frankfurtu; obadwa razy nie jako członek niemieckich parlamentów, lecz jako wysłaniec komitetu narodowego Prus Zachodnich. Jedność niemiecka, w rewolucyjnym bigosie niemieckim się gotująca, miała pochłonąć polskie prowincye Prus. Komitety polskie zatém posłały swych reprezentantów do Frankfurtu, żeby Niemcom przypomnieć, kędy prowadzi granica między żywiołem teutońskim a słowiańskim. Wiadoma rzecz, jaką rolę marną rewolucya i demokracya niemiecka odegrała w frankfurckiéj komedyi. Jeszcze na t. zw. parlamencie przedwstępnym, zostającym pod wrażeniem świeżém wypadków w Paryżu, Wiedniu i Berlinie, dość platonicznie brano sprawy nie niemieckich narodowości w Niemczech, ale tylko co do W. ks. Poznańskiego. Przyznano łaskawie, że niektóre powiaty tego kraju, mają prawo nienależeć do Pangermanii, ale Prusy Wschodnie i Zachodnie przyłączono bezwględnie do Niemiec; wszystkie powiaty prowincyi tych miały wybierać porówno z Niemcami posłów do ustawodawczego parlamentu niemieckiego. Łyskowski z zapałem i powagą przemawiał w tej sprawie, wykazując możebność przyjaźni i wspólnéj akcyi politycznéj Polaków z Niemcami, byle uszanowano rzeczywiste granice narodowościowe. Przyjęto to z okrzykami radości, ale powiatów Prus nie wyłączono z Rzeszy. W wychodzącéj w r. 1848 w Poznaniu pod redakcyą Hipolita Cegielskiego „Gazecie Polskiéj“ (N. 64) znajdujemy podpisany przez Ignacego Łyskowskiego raport, spisany i wydrukowany w języku niemieckim, który całą rzecz tak przedstawia.

„Polacy Prus Zachodnich do przygotowawczego parlamentu niemieckiego wysłali adres, w którym wypowiedziano zasady, że nie *polityka*, lecz *narodowość* powinna oznaczać granice narodów. Zastoso-

wując zasady te, przestrzegał adres parlament przygotowawczy przed bezwarunkowém i bezwyjątkowém wcieleniem Prus Zachodnich do Rzeszy. Przygotowawczy parlament przyjął oświadczenie to pełném „bravo" a kwestyą rozgraniczenia między Polakami i Niemcami pozostawiono w zawieszeniu. (Referaty sejmowe co do Prus orzekają przeciwnie).

„Zatém Polacy Prus Zachodnich, gdzie ludność polska ma widoczną przewagę nad niemiecką, nie przystąpili do wyboru deputowanego na niemieckie zgromadzenie narodowe, uważając że referaty, jakoby wydział pięćdziesięciu prowincyę tę bezwzględnie już był do Rzeszy wcielił, zawierają zmyślone wiadomości. Nie podobna przypuszczać, żeby wydział pięćdziesięciu działać miał wbrew *postanowieniom* zgromadzenia przygotowawczego a zarazem sprawę tak ważną rozstrzygać chciał, nie odczekawszy, jaką wolę w téj mierze objawi niemieckie zgromadzenie narodowe. Zresztą na korzyść ludności niemieckiéj W. ks. Poznańskiego zastosowano zasadę *większości*, zatém takową zastosować należy i na korzyść ludności polskiéj w Prusach Zachodnich."

„Polegając na takiém zapatrywaniu, wyborcy powiatów brodnickiego i lubawskiego, podali do komisarza wyborczego, p. radzcy ziemiańskiego v. Hindenburga następujące oświadczenie, ze względu na wybór deputowanego do niemieckiego zgromadzenia narodowego:"

„„Niżéj podpisani wyborcy powiatów brodnickiego i lubawskiego składają na ręce urzędu ziemiańskiego następujące oświadczenie:

„„Zważywszy, że w W. ks. Poznańskiém dużo powiatów ze względu na przeważającą większość ludności niemieckiéj wyłączono z *reorganizacyi* a wcielono takowe do Rzeszy, dopominamy się o takież same zastosowanie zasady do powiatów brodnickiego i lubawskiego, a zarazem oświadczamy, że podobnie jak niektóre inne powiaty Prus Zachodnich takoż i nasze z przeważającą ludnością polską, nie powinny być wcielonemi do związku niemieckiego.

„„Na téj zasadzie i w zgodzie z naszymi prawyborcami, nie możemy przystąpić do wyboru deputowanego na wysoki Sejm narodowy frankfurcki a w miejscu wyborów tylko po to się zgromadziliśmy, żeby powyższe oświadczenie doręczyć król. radcy ziemiańskiemu, jako urzędowi wyborczemu. Zarazem prosimy, żeby takowe wysokiemu ministerstwu stanu doręczyć raczył.—Nowemiasto, d. 10 maja 1848 r.""— (78 podpisów).

„Komisarz wyborczy, pan landrat v. Hindenburg oświadczył na to, że nie uważa się upoważnionym do przyjęcia tego oświadczenia.

Zatém polecono generalnemu dyrektorowi ziemstwa kredytowego, p. Czapskiemu z Bobrowa, żeby oświadczenie to przesłał ministeryum, celem dołączenia takowego do akt wyborczych i doręczenia niemieckiemu zgromadzeniu narodowemu. Podpisani pod oświadczeniem wyborcy reprezentowali czterdzieści tysięcy ludności polskiéj; mimo to drobna reszta wyborców wybrała deputowanego. W powiecie *chełmińskim* ludność polska także nie wzięła udziału w wyborze deputowanego do niemieckiego parlamentu.

Trzebicz, 15 maja. Z polecenia *Ignacy Łyskowski.*"

Nie mylimy się zapewne, przypuszczając, że oświadczenie to napisane było właśnie przez samegoż sygnataryusza i dlatego je przytoczyliśmy w całości, zarazem jako ważny dokument historyczny ludności polskiéj w Prusach Zachodnich.

Z treści dokumentu wynika, że tém więcéj komitet narodowy miał powód wyprawić wysłańca swego do Frankfurtu, żeby dopilnował rugów wyborczych i starał się wpłynąć na odnośne postanowienie parlamentu.

Pojechał tedy z Prus znów Ignacy Łyskowski a z ks. Poznańskiego d-r W. Niegolewski, d-r Libelt, Józef Chozłowski i Jan Wilhelm Cassius. Ci tedy wraz z polskimi reprezentantami z Galicyi (Ledóchowski Jan i d-r Trentowski) podali do zgromadzenia narodowego niemieckiego pod d. 23 maja 1848 r. znaną odezwę, zawierającą wszystkie ówczesne dezyderata. Łyskowski przywiózł z sobą i podał nader licznemi podpisami opatrzone petycye polskich okręgów z Prus, broniące ludność od wcielania do Rzeszy.

Nie chcemy się tu wdawać w szeroki rozbiór ówczesnéj sytuacyi politycznéj i w opisy przebiegu marnego żywota niemieckiego sejmu Rzeszy, w którym sprawa polska już nie tyle głośną odgrywała rolę, co w parlamencie przedwstępnym. Wiemy już od Łyskowskiego samego, że wrócił do domu z niczém, wrócił z niesmakiem i z zawodem. Niemiecki rewolucyonizm, niemiecka demokracya, liberalizm, wszystko to było dziecińswem, igraszką, a szczerość niemiecka była bańką mydlaną.

Ignacy Łyskowski z natury i usposobienia a zarazem z krytycznego zapatrywania się na wszelki bieg rzeczy, nie był skłonnym do polityki romantycznéj. Sam nam to już powiedział, że romantyka polityczna r. 1846 nie porwała go w wir wypadków. Ruch niemiecki uniósł go jednak, ponieważ ruch ten przybierał formy jakiegoś prawidłowego rozwoju, a z krwawego bruku przenosił się na arenę prawodawczą. Ale kiedy i tu doznał zawodu dla swych ideałów, a wypadki w kraju smutnie zakończone, poważnie sądzącemu

umysłowi nastręczały aż nadto powodu do wniknięcia w *rzeczywistość*, Łyskowski może był wówczas jednym z niewielu, który z niéj wyprowadził dla zapatrywań swych konsekwencye stanowcze.

Na zgliszczach roku 1848 powstała u nas *Liga* polska. Miała ona zreorganizować życie nasze społeczne, a staraniom o takowe dać pierwszeństwo przed aspiracyami politycznemi. Niestety i do téj pracy wzięto się raczéj z zapałem niż z rozwagą, obmierzającą zamiary wedle sił. Zapał wnet zgasł, a zamiast rzeczy powstała szumna forma papierowéj organizacyi. Już to leży w naszéj naturze, że nie chwytamy rzeczy z praktycznego końca. Tak było i z Ligą. Społecznego odrodzenia, wymagającego cichéj, drobiazgowéj pracy, zaczęto szukać w ostentacyjnych zjazdach i niebotycznych programach, które naturalnie obudziły czujność podejrzliwych władz. A jednak wraz z Łyskowskim musimy zrobić władzom tym ciężki zarzut, że podejrzliwość tę posunęły aż do prześladowania i ostateczne zwinięcie Ligi. Gdyby jéj byli zostawili spokój i wczas, byłaby się niewątpliwie otrząsnęła z wszelkich niewłaściwości, niezgodnych z jéj duchem i byłaby społeczeństwo ochroniła od szukania po manowcach tego, co osiągnąć należało w danéj mierze na drodze naturalnego rozwoju.

Wiemy już, że Łyskowski stał się gorliwym stronnikiem i propagatorem Ligi w Prusach Zachodnich, a kierunkiem, jaki mu ona nadała, szedł odtąd bez przerwy i zboczenia do końca życia. Jeżeli Marcinkowski był „Ligą przed istnieniem Ligi“ (Gaz. Pol. r. 1848, N. 189), to Ignacy Łyskowski, rzecz można, był zawsze Ligą po jéj rozwiązaniu i kiedy dawno o niéj zapomniano.

W całym ruchu ligowym wielokrotnie się z nim spotykamy. Stowarzyszenie to zawiązano 25 czerwca 1848. Już 26-go września 1848 r. zgromadziło się 26 obywateli w Brodnicy celem zawiązania Ligi powiatu brodnickiego. Posiedzenie zagaił Ig. Łyskowski, odebrawszy polecenie od dyrekcyi centralnéj; określił w krótkiéj przemowie dawny i obecny stan rzeczy, zachęcał do wspólnego działania *na drodze prawnéj*, ku podźwignięciu *moralności*, *przemysłu* i *oświaty* swojskiéj. Do dyrekcyi powiatowéj wstąpili z nim Wybicki i Bulński. Dnia 25-go października tegoż roku dyrekcya ta wydała list otwarty Ligi powiatowéj do „Jego kapłańskiéj mości ks. kanonika Rychtera, deputata w Berlinie“, dziękując mu za opiekę nad młodzieżą gimnazyum chełmińskiego, za udział w Lidze i posłowanie w Berlinie. Łyskowski był uczniem Rychtera i zawdzięczał mu poczęści nawrócenie z chojnickiego burszostwa. Łyskowskiemu téż niewątpliwie przypisać należy inicyatywę w téj owacyi szczeréj i uznania godnéj, ale dla urzędnika pruskiego zapewne niewygodnéj.

W grudniu obradowała Liga powiatowa nad przygotowaniami na wielki zjazd walny, mający się odbyć w styczniu w Kórniku. Odezwały się głosy, żądające, żeby dla ściślejszego związku, do głównéj dyrekcyi podać także kandydatów z Prus i wymieniono kilku „starszych“ obywateli, „do których mamy zaufanie“ (Sulerzyckiego, Narzymskiego i Wysockiego). Zapewne Łyskowski był jeszcze za młodym, a może téż, jak to na inném miejscu zobaczymy, działalność jego publicystyczna zrażała do niego część opinii. Mimo to nie kto inny, tylko on zawozi życzenie pruskiego obywatelstwa na walny zjazd, bo on jeden z Prus najlepiéj znanym był w Wielkopolsce i miał tam stosunki z parlamentu frankfurckiego. To téż Wielkopolanie przyjęli go z odznaczeniem. Występuje w Kórniku jako *sprawozdawca komisyi* ustawowéj. Przemówienia jego odznaczają się w sprawozdaniu kilkakrotnie. „Nie uganiajmy się za *frazesami* — woła on — starajmy się utrwalić byt Ligi, a pamiętajmy przedewszystkiém, że Liga tylko wtedy będzie *trwałą*, gdy będzie *legalną*.“ Daléj brał żywy udział w dyskusyi nad stosunkiem Polaków do Niemców i Żydów. Gorące przemówienie rodowitego Niemca, ale przychylnego Polakom, d-ra Metziga, obudziło w Łyskowskim frankfurckie wspomnienia, nadzieje i zawody. „Im *boleśniéj* nas — rzekł — dotychczasowe sympatye (ze strony Niemców) *zawiodły*, tém więcéj naszym jest obowiązkiem uznać szczere stanowisko takich ludzi jak dr. Metzig,“ — i postawił wniosek, żeby mowę tego zacnego obywatela podać do druku, co téż jednomyślnie uchwalono. A o Żydach tak się wyraził: „Nie każdy Żyd jest złym człowiekiem, jak nie każdy Polak dobrym. Tak Żydów jak i Niemców mamy poczciwych,“ zatém wnosił, żeby z zasady nie wykluczać Niemców i Żydów z udziału w Lidze, a uchwała stanęła, że „dowodnie przychylnych“ dyrekcye poszczególne przyjmować mogą, „albowiem — wywodził daléj — tak nakazuje *zasada demokratyczna*, którą przyjęliśmy jako główne bractwa naszego prawo.“

Spotykamy znów późniéj Łyskowskiego d. 15 czerwca na zjeździe delegatów w Wierzenicy, odbytym w sprawie wyborów do sejmu. Snać przewidywał, że udział w rozpoczętém dziele Ligi nie będzie ani trwałym, ani ogólnym, bo gorącemi słowy zachęcał dyrekcyą główną, aby wpływała na „*warstwy wyższe*, iżby czynniejszy udział brały w obradach i czynnościach Ligi.“

Spotykamy go daléj na polu działań Ligi jako członka *rady prowincyonalnéj* zachodnio-pruskiéj w Chełmnie. Zachęca on tam do rozpowszechniania pism polskich: „Szkoły Narodowéj“, „Wielkopolanina“ i „Ziemianina.“ Wobec prześladowań, jakich wtedy już Liga doznawała, tak się odezwał do obecnego na zebraniu rady

(19 grudnia 1849) komisarza rządowego: „Byłeś pan świadkiem naszych. czynności, widziałeś pan, że nie mamy żadnych *zamiarów rewolucyjnych*, jak nasi oszczercy o nas głoszą; że celem Ligi jest oświecać lud i przychodzić w pomoc cierpiącéj ludzkości. My się o to nie gniewamy, że zwierzchność przyséła swoich namiestników na nasze zgromadzenia, owszem po przekonaniu, że tylko do dobrego dążymy, życzylibyśmy sobie, aby nie tylko policya miejscowa, ale i ministerstwo pruske, tu przy naszym stoliku ligowym zasiadło, a przekonawszy się, jakie są nasze cele, przestałaby Ligę prześladować! To powiedz pan w urzędzie.“ — Późniéj jednak w sejmach często występował przeciwko bezprawnemu nadzorowi towarzystw ze strony policyi pruskiéj.

Jeżeli nas źródła nasze nie zawodzą, z rozwiązaniem Ligi ustała też na dłuższy czas polityczna działalność Ig. Łyskowskiego. Dopiero po 1866 występuje znów na arenie politycznéj, mianowicie jako poseł do różnych ciał parlamentarnych pruskich i niemieckich. Odtąd z małemi przerwami był członkiem *Koła Polskiego* sejmowego jako reprezentant bądź grudziądzkiego i brodnickiego, bądź lubawskiego powiatu. W końcu był koła sejmowego prezesem.

Zbyt szeroko urosłaby objętość niniejszego pisma, gdybyśmy z kolei przechodzić mieli wszystkie wystąpienia Ig. Łyskowskiego na mównicy parlamentarnéj. Prawie w każdéj sesyi odzywał się kilkakrotnie, głównie jednak w sprawach szkolnych i równouprawnienia językowego. Bywało, że przy obradach nad etatem wywodził uprawnione skargi ludności, którą reprezentował, to znów stawiał samodzielne wnioski, lub uzasadniał petycye. Wystąpienia swoje zwykł był popierać broszurami, w języku niemieckim pisanemi, które w sejmie między kolegów niemieckich rozdawał. Broszury te zawierają cały materyał prawny, sprawy szkół i językowéj dotyczący, i odznaczają się znakomitą formą w przedstawieniu rzeczy. Chojnice wydały teraz dopiero właściwe owoce.

Ludność polska Prus Zachodnich podawała do izby deputowanych i ministeryum liczne petycye o równouprawnienie językowe. Najważniejsze są z r. 1861 i 1868, pierwsza z 20000, druga z 30000 podpisów. Wszystko bezskutecznie. W r. 1872 jeszcze raz powtórzono szturm, a Ig. Łyskowski zebrał cały materyał praw i żądań w piśmie, które wydał pod tytułem: *Beitraege zur Beleuchtung der Gleichberechtigungsfrage in Westpreussen, zunaechst eine Denkschrift für die Mitglieder des Hauses der Abgeordneten von Ignaz von Łyskowski, Abgendneten für den Kreis Strasburg. Posen. 1872.* (Dwa wydania). Pisemko to zawiera naprzód brzmienie petycyi, a następnie historyczny rozwój prawnych i faktycznych stosunków w położeniu lu-

dności polskiéj w Prusach Zachodnich ze względu na szkołę, sądownictwo i administracyą. Daléj naszkicowany jest historyczny przebieg prawnego oporu, jaki ludność stawiała naciskowi, a w końcu w autentycznêm brzmieniu wszystkie rozporządzenia, petycye, odpowiedzi, odnoszące się do tych spraw.

W roku 1875 agitowała się sprawa (dziś dokonana) podziału prowincyi pruskiéj na dwie odrębne prowincye: Prusy Zachodnie i Wschodnie, które wtedy jeszcze miały jednego wspólnego naczelnego prezesa, rezydującego w Królewcu. Głównym celem téj agitacyi było usunięcie polskiéj ludności z krain tych. Jedni spodziewali się dokonać dzieła przez podział, inni przez zachowanie dawnego stanu administracyjnego. Otóż wobec téj agitacyi odezwały się raz jeszcze w Ig. Łyskowskim dawne wspomnienia frankfurckie i przypuszczał, że polityczną publiczność niemiecką przekona słowem i pismem o daremności germanizatorskich zachcianek i dobrém prawie ludności polskiéj. Wydał tedy broszurę p. t. *Die Nationalitaetsfrage der polnischen Bevölkerung unter preussischer Herrschaft, von einem westpreusichen Polen. Posen 1875.* Przedstawiwszy znów raz jeszcze cały materyał historyczny, wywiódł wniosek, że „kwestya narodowościowa“ w Prusiech rozwiązaną być może tylko na podstawie wolności obywatelskiéj, z któréj naturalnym biegiem wyniknąć musi stan równouprawnienia. W r. 1848 nazywał czynnik ten demokracyą.

Że usiłowania Łyskowskiego pod tym względem były bezskutecznemi tak w r. 1848, jak w r. 1875, chyba dodawać nie potrzeba. Sądził i mylił się zawsze, że stoi przed kwestyą otwartą, w któréj należy dyskutować; ale dyskusyi téj nikt nie słuchał, bo z zasady słuchać nie chciał. Stronie przeciwnéj nie chodziło i nie chodzi o argumenta i badanie sprawy, lecz o wykonanie wyroku zapadłego.

To też powiedzieć można, że praca Łyskowskiego publicystyczna niemiecka, była z wszystkich prac jego najniewdzięczniejszą. Daremna rzecz chcieć przekonywać tych, którzy nie chcą być przekonanymi. Bądź-co-bądź, on pełnił swój obowiązek.

Jakoby na pociechę zwracał się więc w politycznych publikacyach swych i do wdzięczniejszéj ludności własnéj, do swych wyborców. W roku 1873 wydał broszurę, zawierającą: „Sprawozdanie posła powiatu brodnickiego, Ign. Łyskowskiego, o petycyi ludności polskiéj Prus Zachodnich, względem równouprawnienia języka polskiego z niemieckim. Poznań, 1873.“ Podobnież w r. 1876 wyszło „Sprawozdanie Ignacego Łyskowskiego, posła powiatu lubawskiego, zdane na wiecu relacyjnym w Nowém mieście d. 13 sierpnia 1876 r.“

Wracając raz jeszcze do iluzyi Łyskowskiego, jakiemi się na polu politycznėm łudził, przypuszczając, że Niemców przekona i że z niemczyzny wykwitnie odrodzenie ducha ludzkości i sprawiedliwości, zaznaczyć musimy, że pod tym względem rozczarowanie w duszy jego dokonało się stanowczo po r. 1876, kiedy uchwalono prawo językowe, rugujące język polski ze wszystkich urzędów. Wypowiedział to z goryczą dosadnie w kadencyi roku 1881 na 1882. „Dwadzieścia pięć lat—rzekł wtedy—frakcya polska wiernie i szczerze popierała liberalizm, a wyście panowie liberałowie uchwalili prawo językowe. Tak, wy panowie liberałowie dzierżyliście wtedy rządy, a tylko jedno centrum opierało się krzywdzie.“ Brzmi to inaczéj, jak kiedy jeszcze r. 1870 w broszurze swéj p. t. „Panslavismus im Gegensatz zum Allslaventhum“ z przyjemnością powtarzał słowa Ryszarda Boeckha: „die polnische Nationalitaet bedarf des *deutschen* Schutzes.“

Odtąd zamilkły u niego wszelkie sympatye dla niemieckiego „ducha“, a jeśli popierał centrum w walce kulturowéj, to jedynie z dobrze zrozumianego interesu kościelnego, nie narodowego.

Może téż to było wynikiem tych duchowych zawodów, że Łyskowski w życiu parlamentarném chętnie się odwracał od spraw politycznych a szukał zadowolnienia w zajmowaniu się sprawami ekonomicznemi.

A na tém polu zyskał téż rzeczywiście niejaką wziętość nie tyle u swoich, co właśnie u Niemców. Przyczyniła się mianowicie do tego szczęśliwie przez niego przeprowadzona sprawa obniżenia taryfy przewozowéj na węgle szląskie do Prus Zachodnich. Do roku 1878 węgiel angielski był w Prusach Zachodnich tańszym od węgla szląskiego, gdyż koleje żelazne pobierały za wysokie opłaty od przewozu. W interesie kultury krajowéj, w interesie przemysłu, a ostatecznie i kopalni szląskich, po dwakroć występował Ig. Łyskowski w r. 1877 i 1878 w sejmie za obniżeniem taryfy przewozowéj i mimo opozycyi miast portowych, przeprowadził obniżenie ku wielkiéj radości wszystkich stron interesowanych. Działalność jego w tym kierunku przedstawia broszura p. t. *Ueber den Transport der schlesischen Kohle nach den oestlichen Provinzen Preussens, von Ignaz von Łyskowski, Rittergutsbesitzer auf Mileszewy, Abgeordneten für den Kreis Loebau. Strasburg West. Pr. 1878.*

Powodzeniem w sprawie téj zachęcony tegoż r. 1878 (d. 4-go grudnia) wystąpił w izbie w ogólnéj sprawie zagrożonego rolnictwa. Charakterystycznym był ustęp jego mowy. „Przed *nową* rzeczą—mówił — stoicie panowie, że poseł polski przemawiać będzie o zasadniczo-gospodarskich interesach.“ Więc charakteryzował stan upada-

jącego rolnictwa. Upada ono w Niemczech, wedle niego, przez niedobór z produkcyi, przeciążenie długami, zły system podatkowy i niesprawiedliwe taryfy przewozowe. Banki hipoteczne rolnictwo wyzyskują a akcyonaryuszom ztąd płacą po 9—18% dywidendy. Radził zdecentralizować ziemstwa kredytowe przez zakładanie filii, zmienić system podatku gruntowego i budynkowego, oraz znieść niesprawiedliwe taryfy dyferencyalne na kolejach żelaznych. Z zajęciem słuchano gruntownego i światłego wywodu.

Pomijamy wszystkie drobniejsze wystąpienia bądź zasadnicze na polu politycznėm, bądź przygodne w sprawach administracyi. Tak żywym był ten umysł organiczny, że najdrobniejszy szczegół dawał mu pochop do pełnienia obowiązku poselskiego w najrozliczniejszych kierunkach. Tu się łamał z niesprawiedliwym systemem wyborczym, podczas rugów sejmowych wykazywał nadużycia, działał na rzecz budowy szkół, gimnazyów, kolei żelaznych a nawet nie zaniedbywał kontrolować porządku w ruchu kolei, wytykając ministrowi błędy i niedomagania. Należał tedy niewątpliwie do naszych najwszechstronniejszych parlamentaryuszów.

Pozostaje nam jeszcze słów kilka powiedzieć o literackiéj działalności Ignacego Łyskowskiego. W powyższym szkicu już niejednokrotnie odnosiliśmy się do jego publikacyi politycznych, polityczno-społecznych i rolniczych. Czego się tam nie dotknęło, teraz zestawić należy.

Słyszymy od żyjących jeszcze kolegów szkolnych Ignacego Łyskowskiego, że z Chojnic do Chełmna przybył nie tylko jako „bursz“ ale i jako poeta *niemiecki*. Z zamiłowaniem uprawiał tę niwę; czy zaś z powodzeniem, osądzić niepodobna, bo owoce téj muzy młodocianéj nas nie doszły.

Otrząsnąwszy się z niemczyzny, przeniósł zamiłowania literackie na pole literatury rodzinnéj, z którą, jak nam sam opowiedział w swém „*Curriculum vitae*“, za pomocą słownika poznawać się musiał. Wpływ dodatni pod tym względem wywarło na niego wtedy kilku młodzieńców, którzy z ks. Poznańskiego przybyli do gimnazyum chełmińskiego. Byli to Bogusław Łubieński, późniejszy dziedzic Kiączyna w Szamotulskiém i poseł na sejmy, daléj znany i sławny późniéj lekarz dr. Antoniewicz, oraz Fr. Mroziński. Znaleźli oni, oraz i ich nowi prozelici oparcie życzliwe w miejscowym wikaryuszu ks. Tułodzieckim, który się potém odznaczył w W. ks. Poznańskiém na polu ludowém. A przemilczéć też nie należy, że jeśli nie wprost, to za pośrednictwem trzecich osób zaufanych, znana póź-

niéj i wielce zasłużona obywatelka, p. Sewerynowa Mielżyńska, z domu Wilkxycka, mieszkająca u rodziców w Wabczu, dostarczała na użytek młodzieży historycznych i literackich dzieł polskich. Tej to opiece porówno z innymi zawdzięczał Ig. Łyskowski swe narodowe odrodzenie. A całą duszą przylgnął do przeszłości i swojskiego piękna w dziełach literatury. Kiedy wyszedł ze szkół, w owéj epoce demokratycznéj z szczególném zamiłowaniem pokochał nie tylko polityczną i społeczną sprawę ludu, lecz i ducha jego moralnego badać i poznawać pragnął z poezyi ludowéj, będącéj wówczas na porządku dziennym literackich zajęć. Jako redaktor i współredaktor „Nadwiślanina“ umieszczał w nim śpiewki gminne i na sposób ludowy przez siebie układane a zarazem wzywał publicznie miłośników ludu do zbierania ludowych przysłów i pieśni.

Mamy z czasu tego kilka publikacyi jego, dość rzadkich i zapomnianych. Nie odznaczają się one ani poprawnym językiem ani wyższym polotem uczuć lub wyobraźni, ale dla szczeréj i najlepszéj woli, jaka je cechuje, warto aby o nich wspomniéć. Wszak autor ich, ów „Szymon z pod ciemnéj gwiazdy,“ jak się sam nazywał już za czasów uniwersyteckich, mieszkał, myślał i działał na niwie duchowo zupełnie nie uprawnéj. Podziwiać więc chyba można odwagę jego, że w ogóle brał się do pióra. Pełną skromności jest téż przedmowa jego do zbiorku poezyi, który wydał w r. 1847 w Brodnicy. Kończy ją zaś temi słowy: „Brodziński, otwierając wrota do nowéj epoki poezyi naszéj, nazwał się skromnym dzwonkiem wiejskiego kościołka, mającym tę jedyną zasługę, iż najwcześniéj, z pierwszym świtem, przebudzał literaturę do porannego nabożeństwa, a który zamilkł, gdy olbrzymie dzwony stolicy odezwały się potężnym głosem, rozlegającéj się po całym kraju poezyi. Miło by mi było, gdybym to, co Brodziński powiedział pod względem całéj rozległéj ojczyzny. mógł powiedziéć pod względem zakątnéj okolicy naszéj; chętnie chciałbym się zwać skromnym dzwonkiem, bylebym olbrzymie przebudził dzwony.“

Dzwony te po dziś dzień śpią w zaklęciu losów.

Ale Ig. Łyskowski spełnił i tu swój obowiązek. Jak na każdéj innéj niwie, tak i na téj pragnął pobudzać uśpionego ducha.

Gdybym posiadał gromy błyskawicy,
Gdybym pioruny miał w mojéj prawicy,
W serca bym godził, w dostatku niedbałe,
Od dumy zastygłe—w przesądzie spleśniałe.

Tak się odzywa w pieśni swéj.

Pieśni jego snują się w sferze pojęć i uczuć ziemiańskich i ludowych.

Z sercem bez kału, na skrzydłach natchnienia
Przejdziem tajniki życia sielskiego,
Zbierzem radości, zliczym cierpienia,
Rozkosze i biedy ziemiaństwa naszego.

Więc dalej snuje wspomnienia młodości, napawa się pięknościami sielskiego przyrodzenia i urokiem dziewcząt:

Śpiewajcie miłe ptaszęta,
Przyznajcie drzewa, krzewiny,
Że piękne są w świecie dziewczęta,
Lecz niema nad Zosię dziewczyny.

Świeży umysł autora lubuje się w zieleni Świąt Zielonych, w opisie odświętnych ubiorów ludu, sukmanie wyszywanéj u chłopa, tołubku nowym i czapce suto złotem litéj u kobiet, u parobków opisuje kapelusze szamerowane i piórami obsadzane, u dziewcząt barwne wstążki, kwiaty śliczne, kaftan sznurkiem obszywany, jak na nim świecą guziki, a lśni fartuch biały haftowany. Opisawszy jak pobożni idą do kościoła, jak

„W cieniu lipy się witają,
Tabakierki śląc do koła,
Póki dzwonek nie zawoła,“

oraz całe opisawszy nabożeństwo, tak kończy z pokorą myślącego chrześcianina:

Kiedyś przeszedł wśród badania
Wszystkie szczeble pojęć, zdania.
I zwątpienia masz katusze,—
Nie gardź tutaj zwisłym proglem,
Może zgodzisz się tu z Bogiem
I pocieszysz trwożną duszę.

Wcale też udatną jest „pieśń chłopka“, naśladująca znaną piosenkę: „Chłopek ci ja chłopek.“ O ile nam wiadomo, ze wszystkich piosenek jego, jedna tylko stała się w szerszych kołach popularną mianowicie: „Polska dziewica“ z owym refrenem.

Nic tu hiszpanki,
Płoche kochanki!
W świecie jedyna
Polska dziewczyna!

O piosence téj powiada autor w przypisku: „Piosnka o jakiejś tam Hiszpance, tancerce w Warszawie, weszła w modę w całéj Polsce. Ponętna jéj melodya zyskuje dla niéj wstęp prawie w każdy dom. Umyśliłem do téj melodyi godniejszą zastosować piosnkę.“

W r. 1848 wydał jeszcze Łyskowski dwa pamflety p. t. „Scena w piekle,“ ale nie udało nam się spotkać z tą publikacyą, dla tego o niéj bliższych szczegółów podać nie możemy.

Zbiory poezyi wyszły jeszcze dwa: Poezye Ziemianina z ziemi michałowskiéj i w r. 1859 „Pieśni gminne i przysłowia ludu.“ Jest to cenny zbiorek z resztek pieśni gminnéj, zamierającéj na ustach ludu, germanizacyą srogo nawiedzonego. Może ciekawą będzie rzeczą poznać stanowisko zbieracza, z którego pracę przedsiębrał. Powiada on: „Zabierając się do zbioru pieśni gminnych Prus Zachodnich, miałem zamiar *wskrzesić* pieśni gminne i zwrócić je ludowi. Gdzieindziéj także zbierano pieśni gminne, ale z innego wychodząc stanowiska. Zbierano je, chcąc niemi zabawić towarzystwo wyższe. Gdzie pieśni gminne brzmią pełnemi piersiami ludu, tam można ich zbiorem, zabawkę mieć na celu; gdzie zaś pieśni gminne odzywają się już tylko zrywanym konania głosem, tam powinien być inny cel. Mając to na oku, nie podałem tych pieśni gminnych w takiém ubóstwie, w jakiém je znalazłem, ale zebrawszy rozerwane i po różnych okolicach rozrzucone części jednéj piosnki, zlałem je w jedną całość; czasem niebrzmienne wyrzuciłem słówko, czasem nieobyczajną wypuściłem zwrotkę, czasem usunąłem słówko a nawet zwrotkę, aby związać wątek rozerwanych i rozrzuconych części, należących oczywiście do jednéj pieśni. To zbrodnia, krzyknie krytyka (Przegląd Poznański), biorąc moje pieśni pod zwyczajne prawidła: Ja na moje usprawiedliwienie powiadam: nie pisałem dla ukształconych, czyniąc im zabawkę zbiorem pieśni gminnych, ale pisałem dla ludu, *zwracając ludowi zgubioną własność*. Lud pozna swoję piosnkę, po jednéj albo po kilku zwrotkach, które się tu utrzymały i przyswoi sobie urywki tej saméj pieśni, które się gdzie indziéj utrzymały, a poznawszy swoję piosnkę, uzna ją w całkości za swoję, pokocha i powtórzy; w ślad zaś za pieśniami wracać będzie dawna uczciwość i cześć bogów ojczystych.“

Oczywiście, że takie stanowisko jest niebezpieczném dla zbieracza i badacza ducha ludowego z pieśni gminnéj, ale „w potrzebie“ jest uzasadnioném względami praktycznemi, które u Łyskowskiego zawsze miały pierwszeństwo.

Na dwie jeszcze publikacye musimy teraz zwrócić uwagę czytelnika.

W roku 1848 wyszła w Brodnicy broszurka Ignacego Łyskowskiego p. t. „Słowa Prawdy.“ Tytuł taki był wówczas modnym. W literackich pismach z owego czasu spotykamy się z nim wielokrotnie. „Słowa prawdy“ Łyskowskiego noszą wyraziste piętno swego czasu. Jest tam cały katechizm demokratyczny roku 1848, oczywiście w najuczciwszéj myśli wygłaszany. Pierwsza część prozą traktuje o prawach i swobodach ludu w przeciwieństwie do ślachty, druga wierszowana, pełna wspomnień z wypadków galicyjskich z r.

1846. Broszura ta najniesłuszniéj ściągnęła na szczerego autora zarzut „czerwoności“, który dużo i długo mu przeszkadzał w życiu publicznéin.

Nareszcie wspomnieć jeszcze należy wydaną w r. 1849 w Chełmnie i „Książeczkę dla ludu Polskiego, zawierającą w sobie różne rzeczy dla nauki i zabawy.“ Jest to kompilacya różnych historycznych opowiadań i poezyi wyborowych poetów, przeplatanych własnemi utworami autora, między któremi na uwagę zasługuje „Pieśń o ojcach frankfurckich,“ w któréj autor płaci Niemcom wzgardą za to, że „zaprzedali wolność,“ i „z miana prawości naród swój wyzuli.“ Krytyka poznańska wtedy przyganiała ostro téj książeczce, na stosunki zachodnio pruskie owego czasu bardzo użytecznéj.

Że człowiek tak rozległego horyzontu, jako był Łyskowski, czuł potrzebę wywnętrzania się w prasie, jest rzeczą naturalną. Uznawał on wielkie znaczenie rozumnéj prasy i od początku działalności swéj marzył o tém, żeby prasę taką stworzyć w Prusach. Przykłada tedy rękę czynną do założenia i prowadzenia „Nadwiślanina“ w Chełmnie, popierał „Przyjaciela Ludu,“ zakładał wspólnie z innymi „Gazetę Toruńską“ a prawie we wszystkich pismach polskich znajdujemy liczne jego artykuły i komunikaty, najczęściéj podpisane pełném jego nazwiskiem, co za wielką cnotę publicystyczną uważać należy, zwłaszcza u nas, gdzie bezimienność publikacyi konieczna niestety lub téż obyczajowa, nieobliczone za sobą pociąga niekorzyści dla ogółu i dla jednostek.

Prowadził téż Ignacy Łyskowski bardzo obszerną korespondencyą z poważnemi osobistościami wszystkich części kraju. Gdyby się udało komu zebrać choćby część téj korespondencyi, znalazłaby się w niéj niewątpliwie wielka suma myśli i pomysłów godnych, aby je od zagłady zachować. Wspomnimy tu tylko, że np. z Wincentym Polem umawiał się listownie o krzywdę jaką poeta Prusom Zachodnim wyrządził, że o nich nie wspomniał w „Pieśni o Ziemi Naszéj.“

A nie tylko literackie i piśmiennicze sprawy i zajęcia interesowały Łyskowskiego. Przy kierunku swoim ekonomiczno-społecznym zachował żywy zmysł dla wszystkiego co piękne i nadobne. Lubił muzykę i śpiew, a ściany gościnnego domu w Mileszewach ozdobione były obrazami pędzla pierwszorzędnych artystów, na których zakupno obracał z zamiłowaniem oszczędności własne i oszczędności dzieci.

Otóż wszystko, co na razie, na zaszczytne dla mnie wezwanie wasze zebrać zdołałem dla charakterystyki męża niepośledniego, którego ubytek tak głęboko czujemy. Przedstawiliśmy jego dzieła i jego zapatrywania ile możności własnemi jego słowy, żeby nas nie posądzono o naciąganie. Niech łaskawy czytelnik z materyału, tu nagromadzonego, sam sobie wyciągnie ostateczne rezultaty sądu. My przekonani jesteśmy, że jeśli nie wszystko wszystkim podobać się będzie, co się z życia śp. Ignacego Łyskowskiego wedle autentycznych źródeł przywiodło, wszyscy przyznać będą musieli: był to mąż prawy, gorącego serca a zdrowego i wielkiego rozumu.

Dr. W. Łebiński z Poznania.





LISTY CZESKIE.

XIV.

Zależne stanowisko narodów w polityce europejskiéj — Stosunki dwóch narodowości w królestwie Czeskiém. — Projekt ustawy językowéj dla Austryi. — Walka o autentyczność poezyi staroczeskich. — Sprawy teatralne. Wyspa Zofii. — Pomnik Palackiego.

W ostatnim moim liście zastrzegłem, że będę zmuszony mówić o wielkiéj polityce państw europejskich, od jéj bowiem powodzeń albo niepowodzeń zależy niewątpliwie rozwój lub zastój naszego życia politycznego, słowem cała przyszłość narodu czeskiego. A rzeczy tak się mają nie dla tego, że jesteśmy małym narodem, nie mającym zgoła widoków stać się kiedyś państwem samoistném, — bo wielka polityka europejska miała już sposobność wywrzéć swój wpływ stanowczy, jeżeli nie zbawienny, i na losy większych narodów. Pod tym względem zdumiewający przykład przedstawia najnowsza historya Francyi, a służy jako interesujący argument na poparcie znanych słów kanclerza szwedzkiego Oxenstjerna: *Quam pusilla sapientia regitur mundus!* Ten przykład, który pozwalam sobie tu przytoczyć zanim przejdę do rozpatrzenia naszych stosunków, wykazuje nam bardzo wyraźnie, że nawet wielkie narody nie są panami swych losów, lecz losami temi kierują pracujące w ukryciu potęgi, które, jeśli do źródła ich dotrzemy, przedstawią się w końcu jako wyniki uchwał i postanowień wielkiéj polityki europejskiéj.

Mam tu na myśli wielką rewolucyą francuską i jéj sromotne niepowodzenie.

W 1789 r. powstaje cały lud francuski z inteligentną szlachtą na czele pod hasłem „odrodzenia politycznego." Wszystko ożywione jest idealném dążeniem usunięcia nadużyć przeszłości i utorowania narodowi francuskiemu nowego, lepszego jutra; początki ruchu politycznego usprawiedliwiają najśmielsze nadzieje, bo król Ludwik XVI jest człowiekiem honoru, gotowym do wszelkich ofiar i owładniętym

myślą, że dobro i szczęście narodu francuskiego powinno być najwyższym celem jego życia. Po tych początkach, pełnych nadziei, następuje dziewięć lat walk i szamotań się politycznych i społecznych, aż w końcu naród jęczący pod brzemieniem ruiny materyalnéj i finansowéj, widzi swoje zbawienie w tém, że szczęśliwy kapral korsykański przez despotyzm wojskowy przywraca oddawna nieistniejący a upragniony spokój i porządek w państwie. Więc rozpoczyna się ruch polityczny idealnemi westchnieniami do wolności, jako do jedynego celu, a kończy prozaicznem wytrzeźwieniem, właściwie zaś politycznemi po upojeniu mdłościami i despotyzmem żołnierskim. Wolno więc z niezaprzeczoném prawem mówić o zupełném i sromotném nieudaniu się wielkiéj rewolucyi francuskiéj, bo nie ma wątpliwości, że do tego, co Francuzi osiągnęli w 1799 r. po 10-letnich wysiłkach, nie myśleli oczywiście dążyć w 1789 r.

A na kimże ciąży wina tego haniebnego niepowodzenia? Bynajmniéj nie na narodzie francuskim, lecz na wielkiéj polityce europejskiéj, co poniżéj postaram się wykazać.

W miesiącu marcu 1789 r. kiedy już zwołano zgromadzenie stanów, a nawet po części członków do takowego wybrano, gdy zatém fale politycznego ruchu we Francyi dość już wysoko podnosić się zaczęły, udało się, dzięki niezmordowanym usiłowaniom dyplomacyi austryackiéj, a raczéj posłowi króla węgierskiego i czeskiego przy dworze francuskim, hr. Mercy-Argenteau doprowadzić do skutku potrójne przymierze między Francyą, Rosyą, a królem węgierskim i czeskim, które miało sparaliżować ambitne plany zaborcze Prus. Utrzymanie Polski miało być jednym z artykułów zamierzonego traktatu. Pod datą 18 marca pisze hr. Mercy-Argenteau następującą cyfrowaną depeszę do księcia Kaunitza w Wiedniu:

„Zdaje mi się, że p. Simolin (poseł rosyjski) zadowolony jest ze swojéj wczorajszéj konferencyi i z tego, co na niéj mówił hr. Montmorin (minister spraw zagranicznych na dworze wersalskim). Hrabia odczytał mu swoję depeszę przeznaczoną do Petersburga, jak niemniéj *gotowy projekt przymierza z Rosyą* i uzyskał jego aprobatę. *Jedno tylko wyprosiła sobie Francya, aby ze względu na obecne tutejsze położenie, podpisanie traktatu mogło być odroczone, aż się czynności tutejszego sejmu (t. j. Zgromadzenia Stanów) rozwiną.*"

„*Kuryer z odpowiedniemi instrukcyami ma być dziś do Petersburga wysłany.* Krótkość czasu i ważność przedmiotu nie pozwalają mi wchodzić w bliższe szczegóły i sądzę, że tembardziéj mogę tego zaniechać, iż niewątpliwie margrabia de Noailles (poseł francuski w Wiedniu) będzie miał zaleconém zdać o tém waszéj książęcéj mości obszerniejszą sprawę."

Powyższa depesza kończy się następującą zwykłem abecadłem udzieloną wiadomością, któréj ważność wystawię niebawem we właściwém świetle.

„Ks. Henryk pruski, jak uprzednio zamierzał, udał się stąd w ubiegły poniedziałek (a zatém 9 marca) do Raincy, majątku księcia orleańskiego, skąd po krótkim pobycie wyruszy w dalszą podróż do Berlina“ (1).

Ks. Henryk pruski, z powierzchowności niepozorny, prawie odrażający, ale bardzo bystry brat Fryderyka II-go, był w sprawach wielkiéj polityki niezmiennie wpływową osobistością na dworze pruskim. W rozmowie z posłem francuskim w Rosyi, hr. Ségurem przejeżdżającym w 1784 r. z Berlina do Petersburga, chełpił się, że jest sprawcą pierwszego podziału Polski (2).

W marcu 1789 r. był tedy już gotów traktat przymierza między Francyą i Rosyą; ostrze tego sojuszu, zawartego przez króla węgierskiego i czeskiego głównie w jego interesie własnym, zwracało się przeciwko Prusom sprzymierzonym podówczas z Anglią. Według życzenia Francyi, traktat miał być dopiero wtedy podpisany, kiedy sprawy tego kraju zostaną w odpowiedni sposób uporządkowane. Ludwik XVI nie chciał względem żadnego mocarstwa europejskiego przyjmować zobowiązania, które możliwie a nawet bardzo prawdopodobnie prowadziło do wojny, dopóki by jego państwo nie uregulowało przedewszystkiém swoich finansów i nie wybrnęło szczęśliwie z rozpoczętego widocznie przesilenia politycznego.

---

(1) C. k. tajne archiwum państwa.

(2) Hrabia Ségur w rozmowie z księciem przypisywał podział Polski cesarzowéj Katarzynie, łącznie z różnemi innemi wypadkami politycznemi, które za jéj dzieło uważał. „*Ah! pour le partage de la Pologne, repliqua le prince, l'impératrice n'en a pas l'honneur, car je puis dire qu'il est mon ouvrage.*“ I książe opowiadał hrabiemu jak się to stało, jak jego brat nie chciał się właściwie zgodzić na ten plan, jak potém on, książę Henryk, nakłonił ku temu najprzód ces. Katarzynę, następnie swego brata. Cesarz (t. j. król węgierski i czeski) musiał na to przystać, bo Francya nie mogła zdecydować się na opór. „*Ainsi*—konkluduje książę—*sans guerroyer, sans perdre de sang ni d'argent, grâce à moi, la Prusse s'agrandit et la Pologne fut partagée.*“ Nader interesujące są słowa, które ks. Henryk wydobył z hr. Ségura, gdy ten nie dawał się nakłonić do pochwalenia politycznéj działalności księcia. Zmuszony do wyrażenia zdania o tém, co usłyszał, hr. Ségur odrzekł: „*Eh bien, Monseigneur, vous voulez absolument savoir ce que je pense? Le voici: la Pologne était indépendante, inoffensive; vous n'aviez aucun grief contre elle; son seul tort a été sa faiblesse: ce demembrement est un grand et premier acte d'injustice dont les suites me semblent incalculables. Que ne doit-on pas craindre pour l'Europe et pour le bonheur de l'humanité si desormais les souverains, qui la gouvernent, remplacent le droit des gens par le droit de convenance*“ (Mem. du comte de Ségur. I, 297—299). Tak przemawiała szlachta francuska w 1784 r.

W czyimże interesie leżało, żeby to przesilenie nie zakończyło się szczęśliwie, żeby zatém Francya nie była zdolną do zawarcia przymierza? Oczywiście, w interesie Prus i Anglii. Cóż więc miał do czynienia w Raincy u księcia orleańskiego, wyprobowany dyplomata i agent polityczny, książę Henryk? Naturalnie nic innego tylko przygotować go do téj roli, którą książę orleański odegrał w dniach 5 i 6 października 1789 r. Te dni 5 i 6 października, kiedy motłoch paryski zawlókł Ludwika XVI z Wersalu do Paryża, zepsuły właściwie bieg rewolucyi francuskiéj. Pruscy i angielscy płatni agitatorowie wytworzyli ten cały ruch fatalny między tłumami paryskiemi za pieniądze pruskie i angielskie i pozostawali na żołdzie obu rządów w celu podtrzymania we Francyi stanu wzburzenia i przeszkodzenia zawarcia rosyjsko-francuskiego przymierza. Tym sposobem wielka polityka państwowa zgubiła rewolucyą francuską, dążąc krętemi ścieżkami do swoich celów, a ktoby jeszcze chciał o tém wątpić, niech przyjrzy się bliżéj wyższéj polityce, największego z nowoczesnych statystów, ks. Bismarcka. Czyż głównym celem jego tak zwanéj wielkiéj polityki względem Francyi nie jest to samo, do czego zmierzał dwór pruski w 1789 r. — mianowicie uczynienie jéj niezdolną do zawarcia przymierza? I czy środki, używane dziś do osiągnięcia tego celu, nie przypominają tych, jakich chwytały się Prusy w 1789 r.? Któżby mógł wątpić, że dziś jeszcze we wszystkich rewolucyjnych awanturach, w których chodzi o wytworzenie rządowi francuskiemu wewnętrznych kłopotów i o wplątanie skandalu całéj Francyi wobec Europy, pruskie pieniądze ważną odgrywają rolę?

Przytoczyłem ten jeden przykład, ażeby mieć możność jeszcze raz powtórzyć, że i wielkie narody nie zawsze mają we własnych ręku ster swojéj historyi, lecz zależne bywają pod tym względem od rzeczy i okoliczności, które wytwarza tak zwana wyższa polityka. A teraz wykażę treściwie, jaki wpływ wywiera praktycznie wielka polityka na losy naszego narodu i czego prawdopodobnie od niéj spodziewać się możemy.

Wyższa polityka europejska jest z natury swéj polityką państwową, czyli, mówiąc ściśléj, polityką dynastyczną; żywioł narodowy bywa przez nią przyzywany do pomocy, o ile jéj z tém dogodniéj. Charakterystyczną cechą wielkich mocarstw europejskich, wychodzącą również na jaw w wielkich miastach europejskich, jest żądza rozszerzania się. Wysoki cel uświęca niskie środki — oto panująca przytém ogólna zasada, a jak się to wszystko kiedyś skończy, nikt tego nie bierze na uwagę. Podstawy ogólnéj moralności ludzkiéj, to jest zasady i prawa, które duch ludzki w postępowym swoim rozwoju postawił na straży czynów człowieka, żądając aby były ro-

zumne i sprawiedliwe i aby tym sposobem odpowiadały dobru ogólnemu, nie mają żadnego zastosowania w polityce wyższéj. Dla niéj inne istnieją reguły. Jedną z nich jest w ostatnich czasach zasada, że tylko wielkie państwa mają rzeczywiste prawo do egzystencyi; druga, którą uważać można za pewne ustępstwo dążnościom narodowym nowszych czasów, głosi nowy dogmat państw rasowych.

My, Czesi, tworzymy niezbyt liczny, pięciomilionowy naród, zamieszkujący w środku Europy niezupełnie zamknięte terytoryum językowe. Trzy wielkie mocarstwa: Austro-Węgry, Niemcy i Rosya, znajdują się nas tak blisko, że ich wielka polityka musi miéć rozstrzygający wpływ na nasze losy. Należymy do Austryi, chcemy do niéj należyć i szukamy w związku z tém państwem zabezpieczenia przyszłości naszéj egzystencyi narodowéj. Możnaby mniemać, że kwestya istnienia narodowego jest już przez to załatwiona; takby było w istocie, gdybyśmy za sąsiadów nie mieli Niemiec i Rosyi.

Niemcy, albo raczéj cesarstwo niemieckie nie jest właściwie państwem czysto narodowém i dopiero dąży do tego, żeby niém zostać przez germanizacyą Francuzów, Duńczyków i Słowian w zajmowanych przez nich prowincyach pogranicznych. Cesarstwo niemieckie ma się stać, według planu swego założyciela potężném, o ile się da najpotężniejszém państwem w Europie. Taka jest zasadnicza idea wielkiéj polityki niemieckiéj. Czechy, ze względu na swoje położenie geograficzne, byłyby pożądaną warownią graniczną dla tego najpotężniejszego państwa, a gdyby te życzenia niemieckie mogły się spełnić, kwestya przyszłości naszego narodu byłaby, rozumie się, rozstrzygniętą ostatecznie. W téj chwili nie potrzebujemy lękać się niczego w tym kierunku, bo cesarstwo niemieckie obawia się ciągle jeszcze francuskich planów odwetowych, więc potrzebuje przyjaźni i przymierza Austro-Węgier, których terytoryum, w dotychczasowéj jeno rozciągłości zdaje się być przez to zabezpieczoném.

Rosya jest we wszystkich kwestyach wielkiéj polityki europejskiéj mocarstwem stanowczo zawsze rozstrzygającém; tylko za przyczynieniem się Rosyi Niemcy mogły zdobyć powodzenie w latach 1866 i 1870, i kto wié, czy dziś nie żałuje się już w Petersburgu, że się do tych powodzeń pomagało. Wielkiego żniwa wdzięczności Rosya za to nie zebrała, jak się to w r. 1878 okazało. Między Niemcami a Rosyą wytworzyło się pewne współzawodnictwo, które dla nas może być tylko korzystném, bo Rosya nie będzie sprzyjała dalszym zaborczym planom Niemiec. Niepraktyczni politycy, którzyby pragnęli cesarstwo niemieckie postawić na czele politycznego pangermanizmu, a Rosyą na czele politycznego panslawizmu, nie zdają so-

bie sprawy, szczególniéj jeżeli są pangermanistami, z koniecznych następstw podobnéj kombinacyi. Krwawy pojedynek o panowanie nad światem musiałby wtedy niewątpliwie nastąpić między Niemcami i Rosyą, a że Francya w takiéj walce stanęłaby po stronie Rosyi, to również nie może ulegać żadnéj wątpliwości.

Obecnie nie mamy najmniejszéj przyczyny obawiać się panslawizmu politycznego i żywimy silne przekonanie, że ze strony Rosyi nic nie zagraża zupełnemu bezpieczeństwu dzisiejszego terytoryum austryackiego. Jedyna rzeczywista groźba zawieszona nad naszym losem, a nawet nad całością Austryi, to roboty politycznych pangermanistów, którzy w téj chwili nierównie głośniéj dają znaki życia, aniżeli zgoła nieszkodliwi panslawiści polityczni, a jeżeli przypomnimy sobie rok 1789, kiedy potrójne przymierze między Austryą, Francyą i Rosyą postawić miało tamę planom zaborczym Prus, to niepodobna nie widzieć we wznowieniu takiego potrójnego przymierza najpewniejszéj rękojmi zabezpieczającéj od wszelkich niebezpieczeństw, które grożą ze strony cesarstwa niemieckiego całości Austryi, a zatém i naszemu istnieniu narodowemu. Że jednak własnemi usiłowaniami nie dojdziemy do tak pomyślnego rezultatu i że tu rozstrzygać muszą inne czynniki — o tém wiemy bardzo dobrze. Niemniéj przeto możemy, we własnym naszym interesie, przyczynić się, jeżeli nie do ułatwienia takiego pomyślnego rezultatu, to przynajmniéj do usunięcia przeszkód w jego osiągnięciu, mianowicie, jeżeli po pierwsze: naród nasz odpowiednio do zachowawczego ducha czasu okaże się, pod względem politycznym, wspierającym nie zaś niszczącym ustrój państwowy; powtóre, jeżeli poważną pracą na każdém polu ludzkiéj wiedzy i działalności zapewnimy sobie zaszczytne miejsce w rzędzie nowoczesnych narodów. Poważna i sumienna praca, nie zaś husyckie wspomnienia zabezpieczy przyszłość naszemu narodowi, a dodać tu jeszcze winienem, że ta praca musi być nieustanną, wytrwałą i pełną poświęceń, jeżeli nie chce chybić swego celu, bo nasi narodowi przeciwnicy zawsze jeszcze podają w wątpliwość przyszłość narodu czeskiego.

Jako najwymowniejszy dowód powyższego twierdzenia, przytoczę ustęp z reichenberskiéj „Deutsche Volkszeitung“, głównego organu stronnictwa niemiecko-narodowego. Pomieniony dziennik tak się odzywa we wstępnym artykule z 4 maja 1886 r.

„Tylko niemowlęta polityczne mogą jeszcze marzyć o pojednaniu i roić, że Czechowie uszanują prawa germanizmu i zrzekną się zachcianek przewodzenia w państwie, zanim nie uczują na własnéj skórze fizycznéj przewagi niemczyzny. *Wtedy dopiero, gdy 60 milionów Niemców stanie w zwartych szeregach przeciwko slawizmowi*, ugną

się oni ostatecznie i jedynie bagnet przekona ich o niezbitym fakcie, że Czesi są ludem stojącym na niższym stopniu kultury.

„To przeświadczenie określa też naszą pozycyą względem rozmaitych projektów do praw językowych. *Odrzucamy wszelkie próby zakończenia sporu między narodowościami prawem, któreby mowie czeskiéj przyznało coś więcéj prócz roli języka tolerowanego.* Prawo językowe, na które zgodzić byśmy się mogli, musiałoby wyraźnie postanowić, że język niemiecki jest wyłącznie językiem armii, wszystkich władz i całkowitéj oświaty, że zatém nikt nie może być zmuszonym oprócz niemieckiego języka uczyć się jeszcze tak zwanego drugiego języka krajowego i że nikt nie ma prawa piastować jakiegobądź urzędu publicznego, kto nie włada językiem niemieckim i że wskutek tego tylko wyłącznie szkoły niemieckie mogą być z publicznych funduszów utrzymywane. Austrya powstała jako państwo niemieckie, niemiecką jest cała jéj historya, niemieckiego pochodzenia są członkowie panującéj w państwie dynastyi, Czechia zaś specyalnie była więcéj niż pięćset lat częścią składową państwa germańskiego zanim Czesi tam przybyli, a i późniéj kraj czeski pozostawał z małemi przerwami, w stosunku lennym do cesarstwa niemieckiego i stanowił tym sposobem jego część składową. To też my Niemcy mamy tytuł żądać, ażeby uznane było nasze prawo posiadania tego kraju i żeby stwierdziło je prawodawstwo; na projekta zaś do praw językowych, faworyzujące slawizm kosztem germanizmu, mamy tylko jedną odpowiedź: precz z temi fatałaszkami!"

Brzmi to jasno i wyraźnie, wiemy przynajmniéj czego mamy się spodziewać, a raczéj czego się lękać ze strony krańcowéj partyi niemiecko-narodowéj. Fatałaszki, których absolutnego usunięcia domaga się ta partya tak bez ceremonii, — to przedewszystkiém wniesiony 8 lutego 1886 r. do austryackiéj rady państwa przez barona Scharschmida i 116 posłów z lewicy projekt do prawa, „na podstawie którego, przy utrzymaniu języka niemieckiego jako państwowego, wydają się przepisy w przedmiocie przeprowadzenia Art. XIX (1) zasadniczego prawa państwowego z 21 grudnia 1867 r. o ogólnych prawach obywateli w państwie (prawo o językach)."

---

(1) Art. XIX. Wszystkie ludy w państwie są równouprawnione, a każdy lud ma nienaruszalne prawo do zachowania, pielęgnowania swéj narodowości i swéj mowy.

Państwo uznaje równouprawnienie wszystkich języków krajowych w szkole, w urzędzie i w życiu publiczném.

W krajach, gdzie mieszka razem kilka narodowości, zakłady oświaty publicznéj mają być w ten sposób urządzone, ażeby bez wywierania przymusu do wyuczenia się drugiego języka krajowego, każda z tych narodowości otrzymała odpowiednie środki do kształcenia się w języku własnym.

Praktyczne przeprowadzenie art. XIX jest, jak wiadomo najgłówniejszym punktem spornym między obydwoma stronnictwami narodowemi w Czechach. Czesi żądają uczciwego i rzetelnego zastosowania prawa, Niemcy pragnęliby cały artykuł zupełnie wykreślić, albo przynajmniéj doniosłość jego ograniczyć przez najwygodniejszą dla nich ustawę przechodnią. Podobną próbą jest Scharschmidowski wniosek, którego § 1 brzmi jak następuje:

„Język niemiecki ma być wyłącznie jako język państwowy używany we wszystkich władzach, urzędach i sądach państwowych zarówno w służbie wewnętrznéj, jak w stosunkach tych władz między sobą.

„Wszelkie decyzye i ekspedycye władz centralnych i najwyższych trybunałów mają być wydawane tylko w języku niemieckim nawet wtedy, gdy podania wnoszone są w innym języku.

„Publiczne rozprawy ustne w najwyższych trybunałach prowadzone być winny w języku niemieckim, którym posługiwać się mają również przedstawiciele władz i stron. Strony działające osobiście same mogą, jeżeli nie władają językiem niemieckim, posługiwać się mową swego kraju. Obowiązane są jednak dla przetłómaczenia swoich słów albo przyprowadzić tłómacza przysięgłego, albo wyjednać przydanie sobie takowego z urzędu, drogą, która będzie przepisami prawnemi wskazaną.“

Obok niemieckiego języka państwowego uznaje ów projekt do prawa w publiczném życiu jeszcze niektóre „języki krajowe“, stara się jednak zdegradować je do znaczenia języków powiatowych w duchu znanéj już dążności stronnictwa niemieckiego, któraby chętnie „królestwa i kraje“ Austryi rozdrobniła na powiaty, na wzór departamentów francuskich. Odpowiedni § 7 brzmi jak następuje:

„Za języki krajowe, których używanie w szkole, urzędzie i w życiu publiczném uprawnione jest poniższemi przepisami *w okręgach, gdzie stanowią mowę ludności miejscowéj*, należy uważać:

„*niemiecki*, o ile mu już nie zostało określone stanowisko języka państwowego, w Austryi Górnéj i Dolnéj, w Styryi, Karyntyi, Krainie, Salcburgu, Tyrolu i Vorarlbergu, Tryeście, Czechach, Morawii, na Szląsku i w Bukowinie;

„*czeski* w Czechach, Morawii i na Szląsku;

„*polski* w Galicyi i na Szląsku;

„*rusiński* w Galicyi i na Bukowinie;

„*słoweński* w Styryi, Karyntyi, Krainie, Tryeście, Gorycyi i Istryi;

„*serbsko-kroacki* w Dalmacyi i Istryi;

„*włoski* w Tryeście, Gorycyi, Istryi, Tyrolu i Dalmacyi;

„*rumuński* na Bukowinie.“

Dalsze paragrafy określają użycie tych języków powiatowych, nazywanych jednak jeszcze „językami krajowemi“, które naturalnie w życiu publicznem obok języka niemieckiego, odgrywałyby według tego projektu do prawa nader skromną rolę.

Ostatni § 27, zmierzający widocznie do zjednania Polaków i Włochów z południowego Tyrolu, którzy zwykle głosują przeciwko lewicy, brzmi jak następuje:

„O ile rozporządzeniem ministeryalnem z 5-go czerwca 1869 r. N. 2354, na podstawie najwyższej decyzyi z d. 4 czerwca tegoż roku wydanem, wprowadzonym został język polski do służby wewnętrznej w wyszczególnionych w niem władzach; następnie, o ile język włoski używany jest w południowym Tyrolu, w Dalmacyi i w niektórych częściach Pobrzeża jako język urzędowy w sądach i władzach, niniejsze prawo nie zmienia nic w istniejących stosunkach.“

Dążność tego projektu do prawa jest tak jasną, że się nad nią rozwodzić nie potrzebuję. Język niemiecki, jako urzędowy, ma mieć w publicznem życiu całego kraju przeważające stanowisko, język zaś czeski, w królestwie czeskiem, więc we właściwej ojczyźnie Czechów, w dawnem państwie czeskiem będzie używany w życiu publicznem, obok niemieckiego języka państwowego, tylko w tych okręgach, gdzie większość mieszkańców należy do narodowości czeskiej; w częściach zaś kraju, gdzie Niemcy stanowią większość zaludnienia, wykluczony zostanie zupełnie z życia publicznego, to jest z urzędu i ze szkoły. My dążymy do zupełnego równouprawnienia obu języków krajowych, a ten projekt do prawa eskamotuje znaczenie języka krajowego i tworzy tolerowane języki powiatowe.

Czescy posłowie w radzie państwa projekt przy pierwszem czytaniu oddalili *a limine*, mimo to przesłano go do komisyi wbrew głosom Czechów, i nie załatwiono się z nim jeszcze *in pleno*, jakkolwiek miał powrócić przed komplet izby poselskiej w formie znacznie zmienionej. Ze stronnictwa środka w izbie panów wyszła podobno myśl, ażeby nienawistne dla wszystkich nie niemieckich narodów Austryi wyrażenie „język państwowy“ zastąpić określeniem „język służbowy władz centralnych.“ Na to wszystko nasza krańcowa niemiecko-narodowa partya ma tylko jedną odpowiedź: „precz z fatałaszkami!“

Przytoczony wyżej artykuł reichenberskiej „Volkszeitung“ wypowiada wyraźnie czego ta partya chce, a jeżeli się tam mówi, że prawo Niemcom do posiadania państwa austryackiego musi być przyznane, to należy dodać dla uniknienia nieporozumień, że to ma znaczyć, iż Niemcy nietylko muszą być w Austryi panującym narodem, lecz jeszcze, że Austrya stanowić winna część niemieckiego cesar-

stwa. To też niemiecka „Volkzeitung“ w Liberecu obchodziła 22 marca 90-tą rocznicę urodzin cesarza Wilhelma artykułem, w którym czytało się wyraźnie, że Niemcy w Czechach uważają cesarza Wilhelma, za swego właściwego cesarza i poważają go wysoce, a niedawno poseł do rady państwa Türk powiedział na publiczném zgromadzeniu w Liberecu, jak ważną jest rzeczą „że na wypadek gdyby zaświeciło nad nami od północy przyjaźniejsze słońce, znajdziemy się ako czynnik na stanowisku.“

Ci panowie głoszą sobie to wszystko, jak dowodzi przenośnia, bez ceremonii, a w działaniu mniéj się jeszcze krępują; możnaby powiedziéć, że posuwają się nieledwie do brutalstwa. Tak naprzykład, wiedeńska „Neue fraie Presse“ wyraziła się pewnego razu bardzo energicznie, o nieprzyjemnym dla siebie antysemityzmie naszych niemieckich narodowców, a to co wtedy powiedziała, stosować się może nietylko do żydożerstwa ale i do czechożerstwa owych narodowców.

„Jestto patryotyzm, zgoła różny od idealnéj w piersi każdego ukształconego człowieka żyjącéj miłości do swego narodu, do swego języka, lecz cofający się raczéj do pierwotnych odrębności krwi, skóry, rasy, instynkt wyłączny, przypominający początki cywilizacyi, do którego, jeżeli się tak daléj ma rozwijać, trzeba będzie wkrótce zastosować krwawy epigram Grillparzera: *droga nowéj cywilizacyi prowadzi od humanitaryzmu przez racyonalizm do bestyalizmu*“ (N. fr. Pr. 24 lut. 1886 r.).

I do rozbestwienia doszli już nasi niemieccy narodowcy, bo znajdowanie się ich względem czeskich mniejszości w miastach tak nazwanego niemieckiego zamkniętego terytoryum językowego, inaczéj nazwaném być nie może. Nie dość na tém że czeskie barwy narodowe (czerwona z białą) wzbraniane są przy wszelkich uroczystościach, że rozmowa w języku czeskim nie jest w publicznych miejscach cierpianą, ale nadto pracuje się bardzo systematycznie nad tém, żeby Czechów osiadłych w okolicach niemieckich przemocą stamtąd wyrugować. W tym celu zapadają w reprezentacyach miejskich formalne uchwały, jak np. w Hniewinie (Brüx), gdzie kolegium przedstawicieli miasta odbywa w tym przedmiocie tajemne posiedzenia lub w Jabloncu albo Liberecu (Reichenberg), które to miasta pod tym względem ton nadają. Do chwalonych a nawet tu i owdzie przeprowadzonych środków należy zerwanie stosunków we wszelkich interesach, wymawianie mieszkań, do czego każdy prawdziwy Niemiec czuje się zobowiązany a nawet odpowiednim teroryzmem bywa zmuszany. Takim sposobem wiele już rodzin czeskich zostało się w niemieckich okolicach własnéj ojczyzny bez dachu i bez chle-

ba, a władze rządowe przypatrują się temu haniebnemu postępowaniu obojętnie i bezczynnie. Niemieckie dzienniki prowincyonalne wyszydzają i lżą Czechów; władze rządowe rzadko miewają wobec tego cokolwiek do nadmienienia, jak gdyby obraza narodowości możliwą była tylko ze strony Czechów względem Niemców. Słowem rząd nasz patrzy na to szalone, wyraźną zdradą stanu nacechowane postępowanie narodowców niemieckich, jak gdyby nie śmiał przeciw niemu wystąpić.

Niektóre szczegóły przytaczam jako ilustracyą.

Poza Melnikiem na saméj granicy językowéj, stoi przy drodze krzyż na kamiennéj podstawie, w któréj wykute były słowa „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, w dwóch językach:

„Pochvalen bud Jezis Kristus"
„Gelobt, sei Jesus Christus"

Dzieci ze szkoły niemieckiéj zniszczyły napis czeski, a niemiecki pan nauczyciel, pochwalił je zapewne za to, bo ukarane nie były.

W Brunowie (Braunau, na granicy szlązkiéj) odbywała się w sierpniu uroczystość gimnastyczna, na którą naturalnie zaproszeni byli gimnaści z Szlązka pruskiego. Pozwolono wywieszać tylko czarno-czerwono-złote flagi i surowy wydano rozkaz, żeby przed każdym domem taka flaga powiewała. Stara chorowita kobieta nie zastosowała się do tego rozporządzenia, więc w nocy pomazano jéj cały dom dziegciem. Władza odpowiedziała na skargę: „No tak, właściwie trzeba było wywiesić żądaną flagę"—i na tém sprawa się skończyła.

Ludność czeska żyje w tak zwaném niemieckiem terytoryum językowém jak w kraju nieprzyjacielskim a opieka nad nią rządu jest żadną. Przytém winienem wyraźnie zaznaczyć, że o jakimbądź, choćby najlżejsze przedstawiającém podobieństwo prześladowania Niemców przez Czechów, w częściach kraju przeważnie przez Czechów zamieszkałych, mowy nawet być nie może, i że wszelkie w tym kierunku głoszone zarzuty i oskarżenia żadnéj nie mają podstawy. Podczas gdy w Liberecu niemiecka „Volkszeitung" zaraz na gwałt uderza, kiedy pewien pan Radon rozsyła na wieczorek tańcujący zaproszenia w językach niemieckim i czeskim, lub wielkie powstaje wzburzenie, kiedy ktoś w restauracyi albo w kawiarni odezwie się po czesku,—w Pradze spotyka się co krok ogłoszenia na rogach drukowane po niemiecku i po czesku, w publicznych miejscach nikt się o to nie troszczy, czy rozmowa prowadzona jest po niemiecku, czy też po czesku; a zaledwie kilka znajduje się restauracyi, zasekwestrowanych, że się tak wyrazimy, przez Niemców, gdzie język czeski

jest wyszydzany. Słowem, my Czesi pragniemy zgody narodowości, a Niemcy jéj nie chcą, lecz pracują systematycznie i to w porozumieniu z zagranicą nad anneksyą Czech do cesarstwa niemieckiego. Spór ten rozstrzygać będzie wyższa polityka europejska i dla tego życzymy sobie potrójnego przymierza między Austryą, Rosyą i Francyą.

Najnowszy spór o autentyczność rękopisu królodworskiego, nowoczesna Batrachomyomachia, do któréj w zupełności zastosować można starożytne dictum: *Difficile est satyram non scribere.*

Baron Józef Aleksander Helfert pisał w r. 1883: „Fakt autentyczności rękopisu Królodworskiego i Sądu Libuszy (rękopis zelenohorsky), to jest nieistnienie podrobienia tych manuskryptów w latach kiedy je publicznie ogłoszono, nie powinienby być podawany w wątpliwość dla saméj przyzwoitości. Powtarzam dla przyzwoitości, bo obstawać przy fałszerstwie wychodzi na to samo, co naznaczyć całe grono mężów o charakterze nieposzlakowanie prawym piętném łotrów, inne zaś grono ludzi, których długoletnia działalność dostarczała coraz nowych dowodów rozumu i wiedzy, wystrychnąć na głupców, lub udających naiwność wspólników w ukrywaniu wiadomego sobie oszustwa“ (1).

Oba wzmiankowane tu dawne rękopisy czeskie, Kralodvorsky Rukopis i Zelenohorsky Rukopis (Kralové Dvůr, miasto w północnych Czechach—Zelena hora, obecnie zamek księcia Auersperga w południowych Czechach) odnalezione zostały w 1817 r. O znalezieniu rękopisu królodworskiego posiadamy następujący, w 1867 r. sądownie spisany protokół.

Protokół spisany 29 września 1867 r. w c. k. sądzie okręgowym w Královédvoře.—*Treść.*

Pp. Franciszek Palacky, historyograf czeski i Antoni Jarosław Vrt'atko, bibliotekarz Muzeum królestwa czeskiego stawili się w sądzie w charakterze przedstawicieli tegoż muzeum, jako obecnego właściciela rękopisu królodworskiego i domagali się przesłuchania Jana Szafra mieszczanina w Kralovedvorze a zarazem sługi kościelnego w kościele miejskim św. Jana Chrzc. chcąc urzędownie stwierdzić fakt znalezienia rękopisu królodworskiego, przez p. Wacława Hankę i pozyskać na to zarazem pewny na wszystkie czasy dowód.

W skutku tego przywołano świadka Jana Szafra.

---

(1) Czecho-Słowianie. Wiedeń 1883. Artykuł Helferta „Najdawniejsze pomniki piśmiennictwa czeskiego.“

Obecni.

Od sądu:

Mathias Pokorny, c k. adjunkt.
Ernest Hnizdo, protokulista.

Od stron.

PP. Jan Szafr, Dr. Franciszek Palacky, Ant. Jarosław Vrt'atko, Dr. Fr. Rieger, Dr. Porák, Fryderyk Tinus, Burmistrz, Dr. Karol Sladkowsky, Ant. K. Viták.

Jan Szafr, lat 64, mieszczanin i sługa kościelny, upomniany o ważności składanéj przysięgi i o następstwach krzywoprzysięstwa, i w obecności wyżéj wymienionych świadków, zeznaje co następuje:

W 1817 r. p. Wacław Hanka odwiedził swego przyjaciela, b. kolegę Jana Sklenčkę, tutejszego radcę magistratu i razem poszli do ówczesnego kapelana, ojca Pankracego Borča. Przy téj sposobności, obu tych panów zaprosił na obiad ówczesny dziekan, Jan Puš, brat mojéj matki. Miałem wtedy lat 14, urodziłem się bowiem 18 października 1803 r., a wuj mój, dziekan przygotowywał mnie do szkół łacińskich; służyłem mu téż zwykle do mszy. Kiedy ci panowie siedzieli przy stole, wszczęła się rozmowa o tak zwanych strzałach „Žyžki," które miały się znajdować w sklepie w jednéj z wież kościelnych. Szczególniéj p. Wacław Hanka życzył sobie zobaczyć te strzały z czasów Žyžki, udali się więc popołudniu między 2 a 3 godziną do wieży pp. W. Hanka, Jan Sklenčka, ksiądz P. Borč i Franciszek Tinus; ja poszedłem z nimi z ciekawości. Prowadził panów ówczesny 50-letni sługa kościelny, Józef Trnka. Wzmiankowany wyżéj sklep znajduje się u dołu w wieży, a dochodzi się do niego z chóru kościelnego (kruchta, gdzie znajduje się organ). Sklep był wtedy, jak jest dziś jeszcze, zamknięty mocnemi drzwiami żelaznemi. Odemknąć tych drzwi nie mógł nikt inny, prócz sługi kościelnego Józefa Trnki, były bowiem przy nich trzy stare zamki, których również nikt nie potrafił otworzyć, tylko ów sługa kościelny, tak jak i dziś ten jedynie z niemi poradzić sobie może, kto zna ich mechanizm i wprawny jest w ich odmykanie. Dziś tylko ja i sługa kościelny Stanisław Vogl umiemy otwierać te stare zamki, a w 1866 r. Prusacy napróżno usiłowali je otworzyć. W sklepie wieżowym znaleziono oprócz szafy dwie skrzynie drewniane i trochę sprzętów kościelnych. Wzmiankowane strzały znajdowały się w szafie stojącéj wtedy na wprost wejścia przy ścianie. Szafa była tak wysoka, że dostać do niéj mógł zaledwie człowiek średniego wzrostu; pomalowana była podówczas na czarno. Leżało na niéj kilka starych kancyonałów i innych ksiąg kościelnych, których już nikt nie używał. Otworzywszy szafę p. W. Hanka i ks. Borč wyjęli strzały leżące razem w jednéj z przegród, oglądali je, rozprawiali a następnie oddali je p. Fr. Tinusowi, ówczesnemu kan-

celiście magistratu, który zabrał strzały pod pachę; kilka z nich pozostało w szafie. Po obejrzeniu strzał chcieli ci panowie zobaczyć i książki leżące na szafie. Ksiądz Borč, mężczyzna niezwykle wysokiego wzrostu, zdołał dosięgnąć do wierzchu szafy i zdjął stamtąd z trudnością jeden z kancyonałów, przy czém spadło z szafy mnie pod nogi kilka kart pargaminowych, które leżały pod kancyonałem lub obok niego i były całkiem zakurzone. Podniosłem je i podałem ks. Borčowi, który rzekł: „to muszą być łacińskie modlitwy.“ P. W. Hanka wziął je z rąk ks. Borča i mówił jeszcze w sklepie wieżowym, że to są prawdopodobnie modlitwy. Chcąc przejrzéć się bliżéj téj rzeczy, pp. W. Hanka, ks. Borč, Fr. Tinus i Sklenčka weszli na chór w kruchcie, gdzie jest więcéj światła. Karty które ja wręczyłem ks. Borčowi, a ten oddał p. W. Hance, niósł ten ostatni; obejrzał je na chórze i rzekł z ucieszoną miną: „Już teraz wiem, co to będzie.“ Potém rozeszli się wszyscy, to jest, ci panowie do dziekanii a ja do domu. Późniéj dowiedziałem się, że p. Hanka zostawił karty owe na dziekanii, a następnie oddano je magistratowi, skąd tenże p. Hanka wyprosił je sobie piśmienném podaniem. Ja przestałem się uczyć i zostałem rzemieślnikiem. Kiedy wróciłem z wędrówki do domu rzekł do mnie ks. dziekan, mój wuj: „Czy téż ty wiesz, coś wtedy podniósł?“ Zwracam wreszcie uwagę, że szafa stojąca dziś jeszcze w opisanym przezemnie sklepie wieżowym i na tém samém miejscu, jest tą samą szafą, na któréj wtedy leżał rękopis, z tą różnicą, że jest przerobioną, znacznie mniejszą i scheblowaną—okucia i rygle pozostały dawne. Muszę nadto nadmienić, że oprócz wymienionego wyżéj kancyonału, ci panowie oglądali jeszcze i inne leżące na szafie księgi, które, gdy się okazało, że nie zawierają w sobie nic godnego uwagi, napowrót na szafę położyli. Jedna z tych ksiąg, oprawna w czerwony aksamit zawierała niezapisany papier, który późniéj wyjęto, żeby oprawę do mszału zużytkować. Pargamin ze zdjętego najprzód wielkiego kancyonału użyty był późniéj do zaklejania miechów organowych.—Jestem w zupełności przekonany że karty podniesione przezemnie w sklepie wieżowym są te same, które p. Hanka na chórze przeglądał; jedna z tych kart była bardzo zapylona zapewne dla tego, że nie leżała pod kancyonałem. Grubość wszystkich kart razem wziętych równała się mniéj więcéj grubości mego małego palca.—Następnie protokół został odczytany, a świadek Jan Szafr uznał go za swoje zeznanie. Jednocześnie świadek, gdy mu treść przysięgi wyłożono, prosił, aby mu wolno było stwierdzić to, co powiedział, przysięgą, którą też złożył w obecności wymienionych świadków. Po złożeniu przysięgi odczytano protokół raz jeszcze, zamknięto i podpisano, z nadmienieniem, że kopia takowego dorę-

czona zostanie zarządowi Muzeum czeskiego, poczém protokół w dwóch egzemplarzach spisany i opatrzony podpisami wszystkich obecnych był doręczony petentom, dr. Fr. Palackiemu i Antoniemu Vrt'átko.—*Mat. Pokorny mp.—I. N. C. Hnizdo mp. Protokolista.—Jan Safr mp. jako świadek.—Dr. Fr. Palacky mp.—Ant. Jarosław Vrťátko mp. pierwszy bibliotekarz Muzeum królestwa Czeskiego.—Dr. Fr. Wład. Rieger mp.—Dr. Antoni Porák mp.—Dr. Karol Sladkowsky mp.—Fr. Tinus mp. Burmistrz.—Ant. K. Vitak mp.*

Powyższy protokół wyłącza zupełnie możliwość, aby Hanka najprzód położył falsyfikat na szafie w sklepie pod wieżą kościelną w Kralowedworze, poto żeby go tam następnie uroczyście znaleźć. Hanka był w 1817 r. poraz pierwszy w Kralowedworze i nie on dał pochop do udania się do sklepu wieży kościelnéj, gdzie zresztą chciano oglądać stare strzały, nie zaś stare rękopisy. Zbyteczném byłoby nadmieniać, że sługa kościelny Jan Szafr, dowiedziawszy się co podniósł w sklepie wieżowym w 1817 r., musiał opowiadać niezliczoną ilość razy rozmaitym ludziom wydarzone przytém szczegóły, tak że co do treści zeznania człowieka liczącego w 1867 r. 64 lata na chwilę wątpić niepodobna.

W roku 1823, słynny niemiecki badacz dziejowy Pertz był w Pradze i oglądał w Muzeum czeskiém w towarzystwie historyografa Palackiego, stare, pargaminowe karty, znalezione 6 lat przedtém w Kralowedworze. W ocenianiu starych rękopisów, Pertz jest bez wątpienia pierwszą powagą; uczony niemiecki po gruntownem obejrzeniu i zbadaniu przedstawionych sobie kart pargaminowych, nie wyraził najlżejszego powątpiewania co do ich autentyczności, ani co do dawności manuskryptu i wywiązał się między nim a Palackim spór jedynie co do jéj stopnia: jeden bowiem uważał rękopis za pochodzący z XIV wieku, według drugiego rękopis pochodził z XIII stulecia. Gdyby wprawnemu oku Pertza przedstawiono manuskrypt sfałszowany, niestarszy nad pięć sześć choćby dziesięć lat, byłby historyk niemiecki jakąkolwiek wyraził wątpliwość o jego autentyczności—co się bynajmniéj nie wydarzyło; jest też to najważniejszy argument przemawiający za autentycznością rękopisu królodworskiego.

W tym samym 1817 r. dokonano w innéj okolicy Czech niemniéj sensacyjnego odkrycia literackiego. Na parterze starego zamku Zelena Hora, nader malowniczo położonego na górze obrośniętéj lasem, w blizkości Nepomuka w południowych Czechach, i należącego podówczas od słynnego zwycięzcy pod Kulmem, Hieronima hr. Colloredo Mansfelda, znajduje się sklep, skąpo oświetlony małém wysoko umieszczoném okienkiem, gdzie chowane były różne w go-

spodarstwie potrzebne przedmioty, jak sól, powrozy, łańcuchy, wśród których w jednym z kątów leżały porzucone stare papiery i książki. Nadzór nad całym zamkiem miał w 1817 r. poborca dochodów hrabiowskich Józef Kovař. Ten oficyalista przeglądając w wolnych godzinach stare papiery, znalazł między niemi dwie pargaminowe karty *in octavo*, w środku zszyte a zatém stanowiące cztery karty czyli ośm stronnic pisma. Kovař nie był w stanie odczytać znalezionego rękopisu, udał się więc z nim do zaufanego przyjaciela, do dziekana, ks. Franciszka Boubla, mieszkającego w Nepomuku, zostawił u niego znalezione pargaminy i prosił, ażeby o pochodzeniu nikomu nic nie mówił, lękając się, aby wyniesienie rękopismu z zamku nie było mu poczytane za sprzeniewierzenie się w służbie. Dziekan Boubel nie mógł również odczytać starego rękopisu, równie jak „lokalist“ ojciec Józef Zeman w Pradze, któremu dziekan pokazał manuskrypt. I tak leżały stare pargaminy w dziekanii nepomuckiéj, gdzie je oglądały i inne także osoby—ale nikt nie potrafił powiedzieć, co w nich było napisane.

W dniu 15 kwietnia 1818 r. wielki burgrabia Czech Franciszek Antoni Liebsteinsky, hr. Kolowrat ogłosił wezwanie do ufundowania czeskiego Muzeum narodowego, przyjęte z najżywszą radością w całym kraju przez wszystkich już wtedy dość licznych patryotów czeskich. W. Hanka, któremu wkrótce potém polecono uporządkowanie zbiorów naukowych w nowéj instytucyi narodowéj, ofiarował do Muzeum, rękopis królodworski uzyskany przezeń na własność, jak to wyżéj powiedziano, od magistratu w Kralodworze. Teraz naturalnie wiedziano i w oddalonym Nepomuku, co należy zrobić z pargaminami znalezionemi przez Kovařa. Wprawdzie poborca dochodów hrabiowskich, dbając o to, ażeby wszystkie okoliczności znalezienia wzmiankowanych kart pargaminowych przedstawiły się odrazu w nieprzyćmioném świetle prawdy, i żeby pod tym względem nie mógł istnieć ani cień wątpliwości, powinien był panu swemu hr. Colloredo-Mansfeldowi, powiedzieć co w nich znalazł i zwrócić uwagę na wezwanie wielkiego Burgrabiego Czech, do ofiarowania podobnych pomników piśmiennych za rzecz nowo-zakładającego się Muzeum narodowego czeskiego i tym sposobem zapewnić sobie możność stwierdzenia zupełnéj autentyczności rękopisu. Ale Kovař uważał hr. Colloredo za „zabitego Niemca,“ któryby pozwolił raczéj zgnić staremu manuskryptowi czeskiemu, lub chętniéj widziałby go w płomieniach, aniżeli w czeskiém Muzeum narodowém. Dziekan Boubel był widocznie tego samego zdania, bo obaj przyjaciele postanowili, żeby Kovař korzystał z pierwszéj sposobności, kiedy go pańskie interesa do Pragi powołają, i oddał rękopis gdzie należy. Tak się też sta-

ło w listopadzie 1818 r. Kovař, obrawszy już raz względem swego pana drogę tajemnicy, nie mógł w Pradze wystąpić publicznie jako znalazca starego rękopisu, musiał więc bezimiennie w skrytości przesłać pargaminy Muzeum czeskiemu. Wystosował więc pismo do wielkiego Burgrabiego Czech, jako do założyciela Muzeum, nazwał w niém swego pana „zabitym Niemcem,“ itp. (jak już wyżéj powiedziano), chcąc umotywować bezimienność przesyłki i podpisał się: „prawdziwy patryota.“ O znalezionych kartach pargaminowych pisze: „Co w sobie zawierają, nie mogłem dociec, jakkolwiek nie szczędziłem ani czasu, ani mozołu—a jestem bardzo ciekawy. Spodziewam się, że profesor lub inny jaki uczony czeski, nie będzie miał z tém trudności. *Szkoda, że atrament, kiedy ściągałem z pargaminu pył wilgotną gąbką, zmienił się późniéj na zielony.*“

Z tym dopiskiem, wrzucił Kovař karty pargaminowe pod adresem hr. Kolowrata do skrzynki pocztowéj przy dyrekcyi poczty w dzielnicy Mała strona w Pradze. Hr. Kolowrat oddał otrzymaną w tak dziwny sposób przesyłkę swemu przyjacielowi, hr. Kacprowi Sternbergowi, wspaniałomyślnemu protektorowi na nowo wówczas odradzającéj się literatury czeskiéj. Hr. Sternberg powierzył odcyfrowanie starego manuskryptu swemu proboszczowi w Radnicy, Puchmajerowi. Puchmajer uchodził wtedy za najlepszego slawistę w Czechach po Dobrowskim, ale nie umiał wszystkiego odczytać, i nie był w stanie doszukać się wszędzie właściwego znaczenia i związku. 20 grudnia 1818 r. uwiadomił dokładnie ks. Dobrowskiego o zajmującym manuskrypcie i dołączył *fac-simile* rękopisu. Dobrowsky słyszał już o tém, co się zawiera w rękopisie znanym dziś powszechnie pod nazwą: „Libušin soud“, mianowicie było mu wiadomo, że jest w tym poemacie ustęp o „Hufcach Czecha“ (*pride s pleky Čechovymi*). Dobrowsky podawał już oddawna w wątpliwość osobę Czecha jako przywódcy Czechów, a kiedy się dowiedział, że w rękopiśmie, podawanym za starodawny, znajduje się wyżéj wzmiankowany ustęp, nie namyślał się nad wyrokiem, nazwał przysłany rękopis „nędznem podrobieniem“, „bazgraniną“, którą przysławszy, lękający się światła anonym, chciał mu tylko na złość zrobić (1).

Dopiero w 1822 r. opowiedziano kilku osobom w Pradze bliższe okoliczności, towarzyszące znalezieniu najstarszego pomnika literatury czeskiéj, znanego powszechnie pod nazwą Zelenohorskiego rękopisu, ale zupełne światło rzuciły na manuskrypt przedsięwzięte w 1859 r. pod tym względem badania.

---

(1) Czytamy „Hufce Czechów“—nie „Hufce Czecha.“

Z całości tych poszukiwań widać, że autentyczność Zelenohorskiego rękopisu natrafiła od początku wśród samych Czechów na silniejsze powątpiewanie aniżeli prawdziwość rękopisu królodworskiego. I tak uchodzący w tych rzeczach za powagę były minister oświaty Józef Jireček pisał 16 sierpnia 1882 r. do barona Helferta: „Według mego, głębokiego przekonania, rękopis królodworski jest autentyczny; spór może się tylko toczyć o to, czy pochodzi z XIII czy z XIV wieku. I dla mnie, jestto jeszcze kwestya nierozstrzygnięta, ale sądzę, że manuskrypt może być uważany za dawniejszy. Przestudyowałem sumiennie całą literatutę od roku 1800 do 1818 i jestem pewny, że ani jeden z ówczesnych pisarzy, nie wyjmując Jungmana, nie był w stanie czegoś nawet w przybliżeniu podobnego napisać. Jestto rzecz zgoła niemożliwa i co do tego niema się o co spierać. Wszystko co napisałem w 1861 r. (o autentyczności rękopisu królodworskiego) uważam i dziś, po dokładném zbadaniu za słuszne, a nawet twierdzę jeszcze bardziéj stanowczo niż wtedy. „Sąd Libuszy“ uważam téż zawsze za autentyczny, jakkolwiek nastręczają się tu pewne trudności do rozstrzygnięcia, które mnie jeszcze wiele pracy kosztować będą.“

Aż do 1848, autentyczność obu najstarszych pomników literatury czeskiéj uważana była w kołach patryotów czeskich nieledwie za święte *credo* patryotyczne, mimo niektórych w tym przedmiocie utarczek literackich, o których w ogóle powiedzieć można, że z nich zwycięzko wyszli obrońcy autentyczności. Z zewnątrz, tj. ze strony nie czeskiéj, mianowicie z kół najbliższych naszych sąsiadów, Niemców, nie przedsiębrano głośniejszych w tym kierunku napaści, bo nasi ziomkowie niemieccy śledzili przed 1848 rokiem ze szczerą sympatyą wzrost narodowych dążeń u Czechów i brali życzliwy udziła w naszéj radości z powodu znalezienia świadectw poezyi staroczeskiéj.

Po 1848 r. miało się to wszystko z gruntu odmienić, na miejsce dawnéj sympatyi wystąpiła narodowa antypatya a dawną przyjazną życzliwość zastąpiła niechęć i zła wola. Wkrótce stało się to politycznem *credo* Niemców, pragnących uchodzić za wyższą rasę, powołaną na mocy téj rzekoméj wyższości do hegemonii polityczněj nad niższemi Słowianami: że wszelka kultura umysłowa w Czechach od Niemców pochodzić musi, a jako naturalne następstwo takich pretensyi narodowych wynikła konieczność zaprzeczenia rzeczywistemu istnieniu poezyi staroczeskiéj. Według twierdzenia Czechów rękopis królodworski pochodził z XIII stulecia, więc spisane w nim poezye czeskie musiały sięgać końca XII albo nawet XI wieku. Gdyby chciano zgodzić się na to w obozie niemieckim, trzebaby przy-

znać, że Czesi w XII albo XI wieku stali co najmniéj na równym szczeblu rozwoju umysłowego z Niemcami, a może jeszcze wyżéj, i mniemana wyższość Niemców, jako naturalnych pionierów cywilizacyi upadłaby zupełnie, a w końcu Czesi gotowi by jeszcze wystąpić z twierdzeniem, że przeciwnie, Niemcy XII albo XI wieku mogli byli nauczyć się od Czechów wielu pięknych i dobrych rzeczy. Trzeba więc było zaprzeczyć autentyczności rękopisów królodworskiego i zelenohorskiego: wymagał tego interes narodowy Niemców.

W ten sposób wszczął się w 1857 r. pierwszy wielki spór o autentyczność najstarszych pomników literatury czeskiéj, a prowadził go głównie stypendysta i stronnik ówczesnego rządu niemiecko-narodowego w Austryi. Ruch narodowy, t. j. słowiański w Czechach i Morawii nie był po myśli niemieckich panów w Wiedniu; ci panowie należeli do partyi wielko-austryackiej i wielko-niemieckiéj; polityczny ich program polegał na przewadze niemieckiéj Austryi w Rzeszy niemieckiéj, albo raczéj Wielkiéj Austryi w Wielkich Niemczech. Słowiańskie poczucie narodowe w Czechach i na Morawie nie przypadło do smaku tym niemiecko-wiedeńskim ichmościom, a w Wiedniu uważano formalnie za rzecz leżącą w interesie rządu austryackiego, osłabiać i hamować rozwój słowiańskiego poczucia w Czechach i na Morawie.

Spór rozpoczęty w 1857 r. przez Fejfalika, prowadzony był przez kilka lat z wielką z obu stron gwałtownością; decydująca obrona braci Jirečków (Autentyczność rękopisu królodworskiego krytycznie udowodniona przez Józefa i Hermenegilda Jirečków. Praga 1862 r.) ukazała się w 1862 roku. Józef Jireček miał zupełne prawo powiedziéć późniéj, że można z nieopisaném zadowoleniem rzucić po za siebie okiem na te walki i na ich owoce, bo „autentyczność rękopisu królodworskiego wytrzymała próbę, napaści zaś niemało przyczyniły się do gruntownego zbadania manuskryptu nietylko jako całości, ale i w pojedynczych jego częściach.“

W przeświadczeniu zupełnego bezpieczeństwa co do prawdziwości najstarszych pomników swéj literatury, żył naród czeski aż do roku 1886.

Rok 1886 przyniósł nam — właściwie mówiąc — niespodziankę. Nowa skombinowana napaść dokonaną została na autentyczność rękopismu królodworskiego; znowu zaczęły się dowodzenia, że naród czeski niepotrzebnie i bez żadnego do tego prawa chełpi się posiadaniem już w XII stuleciu artystycznéj poezyi narodowéj, że zatém Niemcy zupełną mieli słuszność, ogłaszając między 1850 a 1860 r. tak zwane najstarsze pomniki literatury czeskiéj za podrobione. Istotną przytém niespodzianką była okoliczność, że nowa napaść na skarby

naszéj literatury wyszła nie od jawnych bądź co-bądź przeciwników naszych, Niemców, ale od profesorów naszego własnego uniwersytetu czeskiego w Pradze.

Niemam zamiaru wchodzić tu w bliższe szczegóły walki literackiéj prowadzonéj z wielkiém ożywieniem po obu stronach od lutego 1886 i dotychczas jeszcze nie rozstrzygniętéj; pragnąłbym bowiem co innego przedstawić w świetle nieuprzedzonéj, nie oglądającéj się na nic przedmiotowości, a mianowicie właściwe znaczenie i rzeczywistą doniosłość tego sporu literackiego, wywołanego bez usprawiedliwionéj przyczyny. W tym celu podam treściwe przedstawienie znanego już dostatecznie początku, jak niemniéj dotychczasowego przebiegu sporu, a następnie wypowiem moje własne wnioski.

Już przy końcu r. 1885 p. Gebauer, profesor slawistyki na uniwersytecie czeskim w Pradze oświadczył ówczesnemu rektorowi téj wszechnicy, zaszczytnie znanemu badaczowi dziejów W. W. Tomkowi, jak również byłemu ministrowi oświaty Józefowi Jirečkowi, uznanym w tych rzeczach powagom, pierwszemu ustnie, drugiemu piśmiennie podczas pobytu jego w Wiedniu w charakterze posła do rady państwa, że zamierza wystąpić publicznie z pewnemi wątpliwościami co do autentyczności rękopisów królodworskiego i zelenohorskiego i prosił obu tych panów, aby w zaufaniu zdanie swoje w tym przedmiocie wypowiedzieli. Obaj radzili ostrożność i powściągliwość, najprzód dlatego, że spór o autentyczność tych najdawniejszych pomników literackich uważany już jest za rozstrzygnięty, a powtóre, ponieważ pora nie jest do tego stosowna, ażeby podczas walki narodowéj tak namiętnie, między Czechami a Niemcami prowadzonéj, wywoływać jeszcze wojnę domową pośród samych Czechów.

Atoli ta rozważna przestroga starszych patryotów nie mogła dla tego poskutkować, że Gebauer robiąc ten krok, który możnaby uważać za wynik patryotycznego uczucia, rozpoczął był już faktycznie napaść na autentyczność dawnych rękopisów. Napisany przez niego w tym kierunku artykuł ukazał się w niemieckiéj encyklopedyi Erscha i Grubera w tymże samym czasie, kiedy p. Gebauer zapytywał poufnie Tomka i Jirečka, czy może i powinien publicznie występować ze swém powątpiewaniem co do autentyczności pomienionych rękopisów.

Tomek i Jireček nakłaniali do ostrożności, pierwszy ustnie, drugi z Wiednia piśmiennie; ale 21 stycznia 1886 r. odbyła się narada trzech profesorów uniwersytetu czeskiego (Gebauera, Masaryka, profesora filozofii i Kvičali, profesora filologii klasycznéj) w mieszkaniu profesora Kvičali, a przedmiotem jéj było nie to, czy należy rozpocząć napaść na autentyczność dawnych rękopisów, lecz jaki

ma być *modus* takowéj, mianowicie *gdzie* i *jak* się do tego wziąć? Prof. Kvičala utrzymuje, że doradzał, ażeby cały spór przedstawić ludziom fachowym narodowości czeskiéj i załatwić go poniekąd *en famille*, ale był jakoby przez swoich towarzyszy przegłosowany i dobréj jego rady nie usłuchano. Jako organ polemiczny nowych przeciwników dawnych czeskich rękopisów wybrane zostało redagowane przez prof. Masaryka czasopismo „Athenaeum, listy pro literaturu a kritiku vědeckou“, wskutek czego ukazał się 15 lutego 1886 roku pierwszy artykuł Gebauera w „Athenaeum“, a trzej profesorowie czeskiego uniwersytetu narodowego mogli sobie powiedzieć (nie wiem, czy z zupełném zadowoleniem, czy téż z pewnemi niepokojącemi w duszy wątpliwościami): *Alea jacta est!* Kości rzucone i grę rozpoczętą trzeba było do końca doprowadzić.

Rozpoczęła się więc bardzo ożywiona, że tak powiem, na wszystkie strony prowadzona polemika literacka, w któréj brali udział z wielką gorliwością powołani i nie powołani. Możnaby mniemać, że żaden organ publicystyki nie chciał pozostać w tyle i obciążyć się winą, iż zdania swego nie wypowiedział. Cały naród czeski podzielił się na dwa nieprzyjacielskie obozy, zacząwszy od czeskiego uniwersytetu, w którym profesorowie i studenci utworzyli dwa wrogie obozy przeciwników i obrońców dawnych rękopisów czeskich. Za głównodowodzącego przeciwnikami uchodził niewątpliwie wśród profesorów czeskich p. Garryk Masaryk, który też przedstawił się wobec całéj publiczności jako właściwy twórca i przewódca walki w liście wystosowanym w „Athenaeum“ z 15 lutego 1886 r. do prof. Gebauera i dającym się streścić w nowym okrzyku bojowym: „Daléj do walki przeciwko autentyczności rękopisów królodworskiego i zelenohorskiego!“

Masaryk nie jest fachowym w rzeczach słowiańskich; wykłada, jak już powiedziano, filozofią, i nawet na własne oczy nie widział dawnych rękopisów, przeciw autentyczności których tak nagle wystąpił. Z pośród profesorów uniwersytetu czeskiego w Pradze, wszyscy starsi, z zasłużonym rektorem Tomkiem na czele, należą do obrońców dawnych rękopisów, młodzi zaś profesorowie gromadzą się pod sztandarem Masaryka. Ci młodzi panowie współdziałali swemi artykułami w „Athenaeum“ w ten sposób, że każdy usiłował ze swego specyalnego stanowiska jakąś łatkę rękopismom przypiąć. I tak: prof. Goll, jako badacz dziejów, starał się dowieść, że treść starodawnego poematu nie zgadza się ze stwierdzoną dokumentami historyą; estetyk Hostinský, krytykował stare poemata ze stanowiska nowożytnéj estetyki naukowéj; astronom i matematyk Seydler nadużył nawet formuł wyższéj matematyki do pastwienia się nad staro-

czeską poezyą, zakończonego prozaicznèm *quod erat demonstrandum.* Niektórzy *dii minorum gentium* musieli nadto dokonać pod komendą Masaryka mozolnéj pracy przedstawienia dowodów ze wszystkich możliwych utworów nowszéj literatury czeskiéj, że cały materyał językowy, zawarty w „tak zwanych“ dawnych poematach czeskich, więc zarówno pojedyncze wyrazy jak i całe zdania, właściwie zapożyczone są z tych nowszych dzieł poezyi czeskiéj. Dokąd zaprowadzić musiała taka praca, łatwo pojmie każdy bezstronny sędzia, nie zadziwię więc zapewne czytelników nadmieniając, że w ten sposób nawet „zielona łąka“ i tym podobne rzeczy uznane zostały za nowoczesny falsyfikat, ponieważ takie połączenie wyrazów znajduje się w nowszych poezyach.

Studenci uniwersytetu czeskiego brali bardzo żywy udział w sporach swoich profesorów, choć i tu sympatye i antypatye dla osób ważniejszą odgrywały rolę, aniżeli faktyczne dowody. Ale walka była rozpoczęta i przeniosła się naturalnie z kolegiów do restauracyi i kawiarni, gdzie w dodatku zetknęła się z publicznością czeską, również żywo zainteresowaną temi literackiemi utarczkami. W tém miejscu winienem zauważyć, że cała prasa polityczna czeskiego stronnictwa narodowego, jak niemniéj wszystkie znaczniejsze publikacye beletrystyczne były stanowczo po stronie obrońców autentyczności dawnych rękopisów i że wiele z pomiędzy tych pism z wielką energią, z niemniejszą zręcznością wystąpiło przeciwko napastnikom. Do nich należały przedewszystkiém „Narodni listy“, których właściciel d-r Juliusz Gregr namiętnie potępił początkowanie panów Masaryka i Gebauera; redagowany przez p. Vlčka miesięcznik „Osvěta“, umieścił najwięcéj i to najgruntowniéj napisanych artykułów, poświęconych obronie dawnych rękopisów. Nic więc dziwnego, że znakomita większość publiczności czeskiéj stanęła po stronie obrońców autentyczności dawnych rękopisów, a całą przez pp. Masaryka i Gebauera prowadzoną opozycyą napiętnowała stanowczo jako czyn niepatryotyczny. Głosy odzywające się wśród szerszéj publiczności, powinny tu być zanotowane, bo mówiło się nierównie więcéj i ważniejszych rzeczy aniżeli pisano w gazetach i czasopismach. Należy tu zaznaczyć, że patryotyczne oburzenie w kołach prawdziwych czeskich patryotów, jest o wiele większém aniżeli o tém donoszą dzienniki. Publiczność ukształcona potępia tak stanowczo i wyraźnie postępowanie panów profesorów uniwersytetu czeskiego, że pod tym względem potępieni nie mogą miéć żadnéj wątpliwości.

Uważano dotychczas utworzenie uniwersytetu czeskiego w Pradze za jedną z najważniejszych zdobyczy narodowych; ale w opinii ogółu była przytém dokładna świadomość, że nową instytucyą prze-

niknąć musi duch prawdziwie patryotyczny, jeżeli to ma być istotnie zdobycz wyższéj doniosłości narodowéj. Wszyscy żywili to przekonanie, że rozsadnik najwyższéj oświaty naukowéj powinien być również rozsadnikiem prawdziwych uczuć patryotycznych, jeżeli ma w zupełności odpowiedzieć swemu wysokiemu przeznaczeniu. Miała więc publiczność własne poglądy na stanowisko i zadania życiowe profesorów téj nowéj wszechnicy narodowéj: mniemała, że wszyscy powinni być wzorami prawdziwego patryotyzmu. I na cóż ogół musiał patrzéć, co usłyszał w 1886 r. po trzyletniém zaledwie istnieniu wszechnicy narodowéj? Oto cały zastęp owych wyglądanych patryotów usiłował w pocie czoła, wśród okrzyków radości naszych przeciwników narodowych, jąć się znów tego samego dzieła, które przed 30 laty rozpoczęli nasi wrogowie w celu podkopania narodowéj egzystencyi Czech. Przed 30 laty odparliśmy szczęśliwie te napaści, a teraz wystąpił nieprzyjaciel w naszym własnym obozie pod pozorem, że walczy za cześć i dobrą sławę narodu czeskiego.

Nie jestem bezwarunkowym rzecznikiem klasycznego przysłowia: *Vox populi vox Dei!* ale tym razem ów *vox populi* miał u nas doniosłość nie do pogardzenia i pp. profesorowie uniwersytetu czeskiego ugięli się też pod naciskiem publicznego oburzenia, jak się to poniżéj okaże. Masaryk, którego powszechnie uważano za właściwego inicyatora sporu i Gebauer, znany jako posłuszne narzędzie pierwszego, byli głównemi przedmiotami objawiającego się wszędzie otwartego rozgoryczenia. Ci dwaj towarzysze niedoli nie chcieli znosić swego niepowodzenia bez podziału, ale uważali za stosowne część brzemienia zrzucić na barki tych, którzy, jak im się zdawało, mieli obowiązek dzielić nieprzyjemności niechęci publicznéj. Ze sporu o autentyczność rękopismów wyrodziła się w lipcu 1886 roku kwestya, kto właściwie był pierwszym inicyatorem tego sporu, przyjętego przez szerszą publiczność z tak silném oburzeniem. I oto wyszły na jaw opłakane szczegóły o wzmiankowanych wyżéj naradach między profesorami Gebauerem, Kvičalą i Masarykiem. Nastąpiła nowa polemika; Gebauer i Masaryk z jednéj strony utrzymywali: My obaj nie bylibyśmy nic wszczynali, gdyby nam nie był doradzał Kvičala, albo ściśléj mówiąc, gdyby Kvičala był odradził; ale Kvičala namawiał, więc on jest właściwym inicyatorem całego nieprzyjemnego sporu. Kvičala z drugiéj strony stanowczo przeczy temu twierdzeniu i utrzymuje, że jedynie proponował, ażeby wybrano ściślejszy komitet z ludzi fachowych w celu załatwienia całéj sprawy poufnie, zanimby cokolwiek wyszło przed *forum* publiczne. Tę propozycyą odrzucili jakoby obaj towarzysze Kvičali, który też umywa ręce od odpowiedzialności za wszystko, cokolwiek się późniéj stało i nic nie

chce mieć z tém wspólnego. *Notabene* polemika między trzema panami profesorami jeszcze nie jest zamkniętą, a szczególne ma w niéj znaczenie okoliczność, że w czerwcu 1886 r. z inicyatywy rady zarządzającéj muzeum czeskiego dokonane zostało chemiczne i mikroskopijne badanie rękopisu królodworskiego, przez dwóch profesorów chemii, uznanych pod tym względem za powagi, Šafařika i Lercha. Wynikiem tego badania, przeprowadzonego z największą ścisłością, było orzeczenie: *że rękopis królodworski nie jest żadnym w XIX wieku sfabrykowanym falsyfikatem, lecz dawnym manuskryptem.* Protokół spisany o tém badaniu nie został wprawdzie jeszcze ogłoszony, ale rezultat jest powszechnie wiadomym i zdaje się, że był właśnie powodem téj nieprzepartéj skłonności pp. Masaryka i Gebauera do podziału z innemi sławy początkowania w sprawie napaści na autentyczność rękopisów.

Nie mam bynajmniéj zamiaru mieszania się w prywatny spór trzech profesorów czeskich, ale muszę tu jeszcze nadmienić, że prof. Gebauer jest autorem staroczeskiéj gramatyki i że jego napaści na autentyczność starych rękopisów oparte są głównie na wykazaniu zboczeń od zasad, postawionych przez profesora w jego gramatyce staroczeskiéj. Bądź-co-bądź w tym szturmie na przeznaczoną do zdobycia warownię Gebauer operuje ciężką artyleryą oblężniczą, gdy tymczasem Masaryk ze swemi socyologicznemi wątpliwościami, Goll ze swemi historycznemi zarzutami i Hostinsky z krytyką estetyczną, strzelają przy nim, jakby dla zabawki z lekkiéj broni ręcznéj, a matematyk Seydler puszcza im po za plecami swoje rakiety, które przyjaciela raczéj aniżeli wroga zastraszyć by mogły. Gebauer jest jedynym przeciwnikiem, którego trzeba brać na seryo i którego natarcia stanowczo powinny być odparte przez obrońców autentyczności, jeżeli ten nowy spór o dawne rękopismy ma się równie zwycięsko skończyć, jak się zakończył w 1862 r. I zdaje się, że przeznaczoném jest ówczesnemu zwycięzcy wyrzec ostatnie decydujące słowo: były minister oświaty, Józef Jireček, pracuje znowu nad obroną autentyczności rękopisu królodworskiego i spodziewamy się, że potrafi gruntownie wyświecić wszystkie postawione przez Gebauera wątpliwości gramatyczne, co zapewne ostatecznie zakończy i ten drugi spór o autentyczność najstarszego pomnika literatury czeskiéj.

A teraz, niech mi wolno będzie wyprowadzić wnioski tak z tego przykrego epizodu naszego narodowego rozwoju.

Przedewszystkiém muszę nadmienić, że nie należę bynajmniéj do tych, którzy autentyczność rękopisów królodworskiego i zelenohorskiego uważają za zasadniczy warunek istnienia narodowego i pomyślnego rozwoju narodowego życia. Sądzę, że naród czeski

stałby na tym samym punkcie, na którym dziś stoi, choćby oba stare rękopisy nie były znalezione w 1817 r. Ale znaleziono je szczęśliwie i doniosłość ich dla cywilizacyjnego rozwoju naszego narodu nie ulega wątpliwości. Nasi narodowi przeciwnicy podali w powątpiewanie autentyczność rękopisów, chcąc tym sposobem podkopać cywilizacyjne znaczenie naszego narodu. Autentyczność została świetnie wykazaną i naród czeski z nabożeństwem czcił swoje prastare poematy jak narodową świętość. Przypuściwszy teraz, że uczeni pp. profesorowie wszechnicy czeskiéj znaleźli, dzięki swéj erudycyi, niezbite na to dowody, iż owa czczona dotychczas świętość narodowa jest tylko ułudą, mamidłem, to mieli by niewątpliwie obowiązek powiedziéć to otwarcie narodowi i wyższy swój rozum, lepsze rzeczy pojęcie uczynić wspólném jego dobrem. Ale jeżeli ci uczeni panowie tak postępują, że wprawdzie każdy musi wyraźnie dostrzedz ich naprzód powziętą intencyą zniszczenia uroku narodowéj świętości, nie widząc równie wyraźnie powodów, dla których to zniszczenie uważają za potrzebne i nieuniknione, to rzecz nabiera zupełnie innego charakteru (1).

Nasz teatr narodowy należy niewątpliwie do najlepiéj urządzonych w Europie, jakkolwiek nie ma pretensyi liczyć się do pierwszych teatrów wielkich miast i rezydencyi. Kiedy się pomyśli, że przed 50 laty uważano Czechów za naród martwy, to taki teatr czeski jest bądź co bądź pełnym znaczenia objawem życiowym tego narodu, tém bardziéj, że Czesi dźwignęli ten pomnik własnemi środkami ze składek dobrowolnych. Zbytkownie urządzony i równie zbytkownie utrzymywany teatr, ma jeszcze w rozwoju naszego narodowego życia inne znaczenie, którego lekceważyć nie należy. Dowodzi on, że od lat 50 podnieśliśmy się pod względem społecznym o jeden szczebel wyżéj i że dziś już nie można utrzymywać, jakoby Czesi byli tylko *plebsem*, gminem w swoim kraju. Przed 50 laty istniał również w Pradze teatr czeki, tj. w niedziele i święta grywano popołudniu w niemieckim teatrze po czesku, a elegancka publiczność niemiecka kręciła w wieczór nosem i prawiła o zatrutéj atmosferze. Obecnie musi owa niemiecka publiczność przyznać, że czeski teatr narodowy jest pod każdym względem wytworniejszym i piękniejszym od niemieckiego, a jasna i wygodna sala, wspaniałe *foyer* i wybornie urządzone miejsca wabią do teatru czeskiego, niemiecką publiczność, że już nie będę rozwodzić się nad wystawą granych w nim sztuk,

(1) Korespondent nasz, jako obrońca autentyczności rękopismów, przedstawił sprawę tę z jednéj tylko strony; redakcya pomieści niebawem artykuł, który ją z drugiéj, pod względem naukowym oświetli. (*Przyp. Red.*)

o wiele piękniejszą aniżeli w teatrze niemieckim. Czesi posiadający taki teatr nie są już *plebsem*, gminem w oczach Niemców, bo teatr ich ma stanowczo arystokratyczne formy, słowem przedstawia najwymowniejszy dowód, że naród czeski dźwignął sie z głębokiego poniżenia, w które go niegdyś wielkie niepowodzenia wtrąciły i że szczęśliwie ominął niebezpieczną skałę, o którą rozbić się mogła jego narodowa nawa przed dopłynięciem do portu bezpiecznéj narodowéj egzystencyi.

Naród czeski był bardzo skłonny do hołdowania krańcowo-demokratycznym dążnościom nowszych czasów i do uznawania w tych dążnościach celu swego politycznego rozwoju. Dwa momenty miały pod tym względem szczególne znaczenie: po pierwsze, husyckie wspomnienia, powtóre, społeczne stanowisko w obecnéj chwili. Zredukowano naród czeski do rzeczywistego *plebsu*, nic więc naturalniejszego nad to, że chciał on jako *plebs* dojść do politycznego znaczenia, co w zupełnéj było zgodzie z nowoczesnemi demokratycznemi teoryami i dążnościami, które mu do tego celu wskazywały drogi i środki. W tym samym zupełnie duchu wysławiano czasy Hussa jako najświetniejszą epokę życia narodowego Czechów i jego politycznego znaczenia w Europie; naród bowiem czeski miał swoję demokratyczną rewolucyą na 400 lat przed Francuzami, a przy ówczesnym zasobie swoich sił materyalnych, był postrachem całéj Europy środkowéj. Krańcowo-demokratyczny program nowych czasów wydawał się więc bardzo wielu szczerym patryotom, prawdziwym politycznym programatem narodu czeskiego. Otóż nie podlega najmniejszéj wątpliwości, że naród czeski trzymając się konsekwentnie tego programatu byłby na szwank naraził, lub zgoła uniemożliwił główny cel, swoich narodowych dążności, mianowicie zabezpieczenie sobie narodowego bytu, bo w takim razie stanęły by przeciwko narodowi czeskiemu, jako zasadnicze przeciwniczki, dwie potęgi, których skojarzonemu działaniu, Czesi z konieczności uledzby musieli i które w ostatnich czasach zdobyły sobie wpływ decydujący na ukształtowanie stosunków publicznych w Europie środkowéj—potęgi te to konserwatyzm polityczny i polityczno-państwowe stanowisko narodu niemieckiego. Wystawmy sobie tylko te dwie potęgi występujące przeciw małemu narodkowi czeskiemu jako reprezentantowi nowożytnego demokratycznego husytyzmu, a nie oprzemy się przekonaniu, że ostateczne zwycięstwo nie mogłoby być po stronie narodu czeskiego. W takim razie, naturalną koleją rzeczy żywioł niemiecko-narodowy, z którym i tak prowadzić musimy ciężką walkę o narodowe i polityczne równouprawnienie, stanąłby przeciwko nam w dobrze zrozumianym własnym interesie, jako element zachowawczy

w państwie i w społeczeństwie, a nasze istnienie narodowe wydałoby się nietylko groźbą dla austryackiéj monarchii, ale pożądanym do pochłonięcia objektem dla niemieckiego państwa narodowego. Tu szukać trzeba powodu, dlaczego tak dla nas wroga, niemiecka partya narodowa w Austryi żywi wyraźne sympatye dla naszych demokratów i marzycieli husyckich, którzy nieświadomie i bez intencyi prowadzą wodę na młyn niemiecki. I gdyby nasze polityczne przymierze z zachowawczemi Niemcami w Austryi potrzebowało jeszcze usprawiedliwienia, to szukaćby go należało w przytoczonych wyżéj spostrzeżeniach, które również popierają twierdzenie, że nasz arystokratycznie-zbytkowny teatr narodowy ma niezaprzeczone polityczne znaczenie.

Idzie teraz tylko o to, ażeby się ów teatr na téj wyżynie utrzymał, na którym stanął w ciągu krótkiego czasu swego istnienia. Ekonomiczny zarząd teatru sprawuje nie prywatny przedsiębiorca, lecz konsorcyum patryotycznie usposobionych miłośników sztuki. Z natury swojéj takie konsorcyum pracuje i działa nie z zamiarem osiągnięcia zysku pieniężnego, ale raczéj dąży z poświęceniem czasu i pieniędzy do postawienia teatru czeskiego na stopie wzorowéj instytucyi artystycznéj. Teatr czeski, jako druga scena krajowa, otrzymuje z funduszów krajowych 25.000 fl. rocznéj subwencyi, rząd austryacki ani gmina prazka w niczém się do tego nie przykładają. Znajdują się wprawdzie w Niemczech miasta podtrzymujące swoje miejskie teatry znacznemi pieniężnemi subwencyami (Wrocław 80.000 marek, Frankfurt n. M. 120.000 marek, Magdeburg 40.000 marek, woda i gaz; Norymberga, Augsburg, Lipsk, Kolonia od 40.000 do 100.000 marek); niektóre miasta w Austryi mają w swoich teatrach własny zarząd, jak np. Berno, Teplice, Liberec, Karolowe-wary. W Pradze oba teatry są teatrami krajowymi, ale nie w ten sposób, żeby kraj miał je prowadzić pod swoim zarządem, lecz oddają się poniekąd w dzierżawę; dzierżawcą teatru niemieckiego bywa zwykle prywatny przedsiębierca: czeskim teatrem zarządza, jak wyżéj powiedziano, konsorcyum. Gmina miejska w Pradze nie przyczynia się żadną pomocą do utrzymania teatru, tak że w ostatnich czasach na wniesione przez konsorcyum teatru narodowego podanie do prazkiéj rady miejskiéj o bezpłatne dostarczanie wody i gazu, miasto odmówną dało odpowiedź. Nie jestto zapewne ostatnie słowo prazkiéj reprezentacyi municypalnéj w téj sprawie; konsorcyum teatralne zrobiło już potrzebne kroki w celu wyjednania zmiany téj uchwały rady miejskiéj. I tak zresztą będzie musiało w tym razie rozstrzygać całe kolegium reprezentantów miasta, bezpłatne bowiem udzielenie teatrowi gazu i wody zmniejszy dochody gminy

o kilka tysięcy guldenów, a rada miejska może w kwestyach pieniężnych decydować samodzielnie tylko do wysokości 400 guldenów.

Utrzymanie czeskiego teatru narodowego kosztuje teraz dziennie, licząc w okrągłéj sumie 1000 fl. Ponieważ w roku przypada pewna ilość dni, w których przedstawienia odbywać się nie mogą, przeto potrzeba dochodu dziennego przecięciowo nieco więcej nad 1000 fl. dziennie, ażeby zarząd utrzymał się w aktywach. Prócz tego konsorcyum ma jeszcze do pokrycia passywa w wysokości mniéj więcéj 30.000 fl. z czasów budowy teatru. Wpływają wprawdzie jeszcze na ten cel dobrowolne składki dodatkowe, ale nie wystarczają do zupełnego pokrycia długu. Widzimy z powyższego, że zarząd teatralny musi myśléć o jaknajwiększych dochodach, co znów da się osięgnąć tylko przez pełną codzień salę. Wiadomo, że salę napełniają tylko tak zwane kasowe sztuki i na takich téż utworach musi opierać się nasz teatr narodowy, chcąc koniec z końcem związać. Nazywa się to słusznie „równią pochyłą,“ po któréj stoczyć się można tam, gdzieby się właściwie znaleźć nie chciało. Ale potrzeba nie zna prawa; to téż tak zwane wystawowe sztuki odgrywają teraz w naszym teatrze pierwszorzędną rolę. Balety „Excelsior,“ „Flik i Flok“, które pod względem przepychu wystawy zostawiają po za sobą wszystko, co się dotychczas w Pradze widziało, zapełniają widownię; pierwszy z nich grany był w ciągu roku 80 razy,—drugi, od 1 sierpnia 15 razy. Wszystkie opery przedstawiane są w czeskim teatrze z takim nakładem kostiumów, dekoracyi i komparseryi, że teatr niemiecki, nie może z nim współzawodniczyć; nawet w dramacie, wystawa stała się, że tak powiem, pierwszorzędnym warunkiem. Jestto bądź co bądź niebezpieczna pochyłość, bo wymagania publiczności rosną w miarę tego, co widzi, i właściwa artystyczna wartość przedstawienia dramatycznego, że już zamilczę o wewnętrznych pięknościach samego dzieła poetyckiego, musi przez to spadać w cenie. Zbytniéj surowości nie można tu jednak okazywać, bo dopóki widownia bywa zapełniona, właściwy cel jest osiągnięty, i dopóki szeroka publiczność wyraża swoje zadowolenie w brzęczącéj monecie, lub choćby tylko w papierowych banknotach, musi wszelka krytyka skromne zachowywać milczenie. Reżyserya jest ruchliwą—to rzecz główna,—a jeżeli w ten sposób zawsze będzie ruchliwą, trudno mieć coś przeciw temu do nadmienienia. W rezultacie większość widzów uczęszczających dziś do teatru, chce się tam rozerwać, a wzajemne oddziaływanie na siebie reżyseryi i publiczności teatralnéj w zakresie tego, co surowe umysły nazywają zepsuciem smaku, jest faktem nieustającym. Optymiści, a tych na szczę-

ście jest sporo, nie dręczą sobie zresztą głowy podobnemi rozmyślaniami, i tylko mniejszość pesymistów przewiduje fatalną reakcyą. Oryginalna twórczość dramatyczna może, naturalnie, tylko wegetować i musi pocieszać się starożytnym wykrzyknikiem: *Hoc saeculum vocatur*! Mimo to wszystko nowy teatr narodowy czeski stał się, w ostatnich czasach miejscem, gdzie niemiecka i czeska publiczności rozdzielona nawet pod względem towarzyskim politycznemi namiętnościami, sięgającemi aż do miejsc rozrywek, wieczorem przynajmniej razem spokojnie się gromadzi, nie zwracając uwagi na zakazy kilkakrotnie ogłaszane przez stronnicze dzienniki niemieckie, a jeżeli się u nas zdarza w dzisiejszych czasach, że Niemcy i Czechy siedząc przy sobie spokojnie w jedném miejscu, wspólnie dobréj rozrywki używają, to w naszych stosunkach jestto fakt, którego lekceważyć nie należy, a znaczenie jego staje się jeszcze doniośléjszém, gdy to miejsce wspólnéj rozrywki jest instytucyą, którą Czesi sami stworzyli i za swoje własne dzieło uważać mogą.

Z tego samego powodu nie weźmie mi zapewne za złe czytelnik tych listów, jeżeli kilka słów powiem o inném miejscu rozrywki w Pradze, o tak zwanéj „wyspie Zofii.“ Z małych przyczyn wynikają częstokroć wielkie skutki—sprawdza się to może i w tym razie. Wyspa Zofii leżąca w środku miasta, przedzielonego na dwie połowy rzeką Wełtawą, jest od początku bieżącego stulecia miejscem zabawy mieszkańców Pragi. Pierwiastkowo była tu skromna piwiarnia, a dopływało się do wyspy nader pierwotném czólnem. Późniejszy właściciel wybudował tu ładny lokal restauracyjny, urządził kąpiele, a wyspę przekształcił na mały park, do którego przez most wygodnie dojść można. W pewne dni grywała tu orkiestra wojskowa, i wyspa była wtedy licznie nawiedzana bez różnicy narodowości. Tak było aż do końca r. 1884, kiedy po śmierci właściciela kupiła wyspę gmina miasta Pragi. Municypalność prazka jest od kilku lat wyłącznie czeską, z powodu że Niemy dobrowolnie się od niéj odsunęli, straciwszy w kolegium miejskiém większość. Praga liczy przeszło $^4/_5$ czeskiéj, a zaledwie $^1/_5$ niemieckiéj ludności. Otóż studenci niemieccy urządzali na wyspie należącéj już do gminy miejskiéj niemiecko-narodowy festyn, a rada miejska nie pozwoliła na przyozdobienie wyspy niemieckiemi flagami trójkolorowemi. Stąd wielkie między Niemcami oburzenie, choć może nie między wszystkimi, a następnie wydane przez wszystkie niemieckie stronnicze organa surowe wezwanie do mężów i niewiast prawdziwie niemieckim ożywionych duchem, ażeby na wyspę Zofii nie chodzili. Rada miejska nie czuła się zbytecznie zaniepokojoną, tą klątwą, rzuconą przez Niemców na wyspę, zamierzała bowiem przedsięwziąć na niéj przebudowy i upię-

kszenia, tak że wyspa przez kilka miesięcy była wogóle zamknięta dla publiczności. Przeróbki zaczęły się w r. 1885 r. a skończyły dopiero w czerwcu 1886. Pod względem upiększeń, wiele istotnie zrobiono. Budynek restauracyjny został rozszerzony i o wiele lepiéj, wytworniéj urządzony. Mieści się w nim obecnie na pierwszém piętrze sala do tańca tak wielka i gustownie przybrana, że o podobną trudno nawet w Wiedniu. Szpalery w parku zupełnie zostały przekształcone; nareszcie, pewien prywatny przedsiębierca, naturalnie Czech, zaspokoił żywione oddawna przez mieszkańców środkowego miasta pragnienie, utworzywszy dostępny od strony wyspy zakład pływacki dla mężczyzn i kobiet. Pod koniec czerwca wszystko było gotowe i dostęp do wyspy otwarto dla publiczności. W niemieckich dziennikach stronniczych ukazały się natychmiast wznowione wezwania do dobrze myślących Niemców, żeby na wyspę Zofii, ogłoszoną jako wyłącznie czeską, nie chodzili. Z początku wpływ tego zakazu był widoczny, Niemcy trzymali się zdaleka; ale wygodne położenie nowéj szkoły pływackiéj zbyt było nęcące i niebawem można było czytać w niemieckich prowincyonalnych dziennikach korespondencye z Pragi, w których denuncyowano, tę lub ową osobistość, znaną w publiczném życiu jako należącą do partyi niemieckiéj, że mimo wyraźnego zakazu bywała w czeskiéj szkole pływania, a więc i na wyklętéj wyspie. Zdarzały się z tego powodu rzeczy wprost śmieszne; niemieckie rodziny przychodziły na wyspę w rannych godzinach, ażeby przez innych nie być widzianemi, niemieccy dziennikarze ukazywali się w dnie kiedy grywała muzyka, w celu zlustrowania przechadzającéj się publiczności. Nareszcie zwyciężyła, niechcę powiedzieć ciekawość, ale po prostu zdrowa logika; od wielu już tygodni na piękną wyspę Zofii i do tamtejszéj dobréj restauracyi, jak niemniéj do czeskiéj szkoły pływania uczęszczają bez różnicy Czesi i Niemcy, nie wywoławszy dotąd w niemieckich dziennikach żadnego wznowionego zakazu, zgłosiła się nawet do restauratora liczna deputacya od niemieckiego chóru męzkiego, w celu obejrzenia sali i wypróbowania jéj akustyki i wypowiedziała bez ogródek, że nie omieszka spożytkować do swoich muzycznych produkcyi téj nietylko wspaniałéj, ale akustycznie dobrze urządzonéj sali. Lody więc przełamane i wyspa Zofii przez samych Niemców uznana za czeską, staje się miejscem wspólnego spotkania, a w przyszłości może wspólnéj rozrywki Niemców i Czechów. Wszystkie te rzeczy mogą się wydać drobiazgami, ale w naszych stosunkach nabierają niewątpliwego znaczenia, bo u nas chodzi przedewszystkiém o to, żeby rozdział między niemiecką i czeską ludnością, który agitatorowie niemieccy ciągle powiększać pragną, zmniejszał się o ile możności, a w końcu

znikł zupełnie, ustępując miejsca spokojnemu i przyjaznemu obok siebie pożyciu, tak w Pradze jak i w całych Czechach. Obecnie wprawdzie jesteśmy jeszcze dość daleko od tego celu, ale właśnie dla tego notujemy z radością najmniejsze objawy zbliżenia, i dla tego dokonane przez czeską municypalność w Pradze przekształcanie i upiększanie wyspy Zofii znalazło miejsce w tych listach, pisanych w celu obznajmienia czytelników ze wszystkiemi fazami, jakie jeszcze przechodzić będzie opłakana rosterka narodowa zanim, co daj Boże, skończy się nareszcie. Wszakże i największy, najbardziéj imponujący obraz składa się z pojedynczych, małych często sztrychów pędzla, i jak sądzę, podobnie się rzeczy mają z naszą rosterką narodowości; drobne malarskie szczegóły dają dopiero wielkiéj całości pożądaną dla widza jasność i plastykę.

W dniu 8 września 1886 r. odsłonięto uroczyście w mieście Pisek pierwszy pomnik naszego powszechnie cenionego historyka, pierwszego politycznego przywódcy, Franciszka Palackiego. Pomnik modelowany przez Wenzla i wykończony w pracowni snycerskiéj braci Duchačków w Pradze, przedstawia nam Palackiego w siedzącéj postawie, w rozmiarach 3 razy większych od naturalnych; wyrzeźbiony jest z Hořyckiego piaskowca (1).

Odsłonięcie było narodową uroczystością dla południowo-zachodnich Czech; z szlachty naszéj brali w niéj udział: marszałek krajowy, książę Jerzy Lobkowic, ks. Karol Schwarzenberg ze swoim synem, doktorem prawa, ks. Fryderykiem Schwarzenbergiem i baron Hildprandt. Wyliczenie nazwisk innych obecnych znakomitości, jak również szczegółowy opis festynu pomijam, sądzę jednak, że następujące wyjątki z mowy d-ra Riegera, obudzą w czytelniku zajęcie.

D-r Rieger powitany na trybunie burzą oklasków przez całe tłumne zgromadzenie, rozpoczął swoję mowę wśród niczém niezamąconéj ciszy.

„Przyjaciele, ziomkowie! Wśród historycznych wypadków, które się w téj naszéj prastaréj ojczyźnie spełniły, na téj arenie zaciekłych walk i wielkich czynów, w dziejach naszego niewielkiego wpraw-

(1) Franciszek Palacky urodził się 14 czerwca 1798 r. w Hodsławicach, w Morawii, umarł w Pradze 26-go maja 1876 r. wkrótce po ukończeniu swego wielkiego dzieła historycznego „Dejiny naroda českého". Palacky zwykł był mawiać: z pochodzenia jestem Morawianinem, z narodowości Czechem. Był w tym narodzie, do którego odrodzenia umysłowego i politycznego, położył, że tak rzekę, kamień węgielny, pierwszym uczonym z europejską sławą. Był też pierwszym politycznym przywódcą tego narodu od r. 1848, a wdzięczny naród czeski nadał mu charakterystyczne miano „Otec naroda."

dzie, ale losami swemi wsławionego i ciężką dolą nawiedzanego narodu, występuje w ostatnich czasach fakt szczególnego znaczenia, fakt godny podziwu, który zwykliśmy nazywać odrodzeniem naszego narodu. Jest-to w istocie wypadek wielki, zdumiewający, niespodziewany w Europie i trudny do wyjaśnienia. Wojna 30-letnia ze swemi smutnemi następstwami wytępiła nasz lud do czwartéj części jego pierwotnéj liczby, zubożyła go zupełnie, wydarła mu wszystkie swobody i instytucye historyczne. Najzamożniejsze klasy narodu zostały z kraju wypędzone, a kraj sam dostał się obcym jako zdobycz, awanturnicy zbiegli się ze wszystkich okolic świata, miejscowa inteligencya musiała wywędrować na wygnanie, a lud został bez duszy, bez woli, niby kadłub pozbawiony rąk, głowy i ducha. Nic dziwnego, że wrogowie a nawet przyjaciele narodu czeskiego uważali go za martwy i że nieprzyjaciel nie uważał nawet za potrzebne krępować się względem niego obowiązkami ludzkości, gotowéj zawsze elegią wyśpiewać i łzę uronić na grobem tego, co niegdyś było wielkiém i sławném, nawet nad grobem wroga, który już szkodzić nie może.

„Naród nasz był wtedy bezwątpienia wszędzie za martwy uważany, gdy nagle powstał z nowemi siłami, z nowém życiem i z zupełném przeświadczeniem o swojéj żywotności, podniósł śmiało sztandar swoich praw dziejowych i narodowych i zażądał tego samego stanowiska, które posiadał niegdyś, które miał prawo utrzymać. Wtedy zmienił się niespodzianie obraz, jak gdyby mniemany nieboszczyk, leżący w śmiertelnéj koszuli, wstał nagle i ukazał się wśród tych, którzy go za umarłego uważali i wszystko już przygotowali do podzielenia między siebie tego, co po nim zostało.

„Nie możemy się dziwić, że dla domniemanych spadkobierców takie zmartwychstanie bardzo jest nieprzyjemném — i tak téż było u nas, kiedy naród uchodzący za nieżywy, po długiéj niemocy odzywa się znów o swoje prawa do życia, o które tak długo nie mógł i nie śmiał się upominać. Cóż dziwnego, jeżeli takiemu narodowi odmawiają żywotności ci, którzy znajdują się już w posiadaniu tego, co doń z prawa należy? Ale nie tylko wrogowie, lecz i ci, co nie mają żadnego powodu źle nam życzyć, lub prześladować nasz naród niechęcią i zawiścią, nie chcieli wierzyć w jego niespodziane odrodzenie. Cała Europa wątpiła o zmartwychwstaniu czeskiego ludu, a nasi przyjaciele, radujący się tym wypadkiem, nie mogli tego pojąć. Niejednokrotnie słyszałem z ust ukształconych Polaków i Rosyan słowa zdumienia nad nadzwyczajnością tego wszystkiego, co naród nasz zdziałał w ciągu 50 lat na polu narodowego rozwoju, życia kulturowego i politycznego i co po prostu wydaje się jak cud niepojętém.

„Panowie! nie jest-to cud, bo cudem nazywamy wypadek wywołany nadnaturalnemi przyczynami; nie mniéj jednak możemy powiedzieć, że to, co się u nas stało, do cudu jest podobném i że tylko dzielni mężowie, obdarzeni sercem pełném miłości dla swego narodu, mężowie silnéj woli i żelaznego wytrwania mogli dokonać dzieła, które—według ogólnego zdania—stoi na równi z cudem.“

Rieger wykazuje, że Palacky był takim cudotwórcą, i to jednym z najpierwszych i najlepszych, i wymownemi słowy wylicza wielkie, nieśmiertelne zasługi jego, położone około politycznego i duchowego odrodzenia narodu czeskiego.

O politycznéj działalności słynnego historyka mówił Rieger jak następuje:

„Przed r. 1848 obcował Palacky wiele ze szlachtą czeską, która przy swojém ówczesném opozycyjném dążeniu przeciwko biurokratycznemu i centralistycznemu rządowi w Wiedniu, prosiła go często o rady w kwestyach prawa historycznego i dziejów Czech. Przedstawiał w tych kołach swoje idee, które też w zmienionéj formie występowały w ówczesnym sejmie stanowym. Czeskiéj arystokratycznéj opozycyi chodziło o to, żeby na podstawach dziejowych przekształciło się przedstawicielstwo krajowe, żeby mieszczaństwo i stan włościański otrzymał również odpowiednią reprezentacyą.

„Przyszedł rok 1848, a z nim przewrót w publicznych stosunkach. Palacky uchodził wówczas powszechnie za narodowego przywódcę Czechów, za przedstawiciela ich żądań, a kiedy we Frankfurcie utworzył się tak zwany komitet pięćdziesięciu w celu zwołania niemieckiego parlamentu narodowego, zwrócono się przedewszystkiém piśmiennie do Palackiego i proszono go, żeby swoim wpływem nakłonił Czechów do obesłania parlamentu frankfurckiego. Wtedy—i jest to może najznakomitszy czyn polityczny Palackiego — odpowiedział on stanowczo odmownie frankfurckiemu komitetowi pięćdziesięciu w piśmie, które pozostanie wiekopomném i w którém wykazał konieczność istnienia państwa austryackiego dla wszystkich ludów austryackich. W tym memoryale na podstawie dowodów historycznych wykazywał, że państwo austryackie nie było i nie może być nigdy przydatkiem do Niemiec, satelitą niemieckiego państwa,—lecz że dla dobra wszystkich swoich ludów musi zostać państwem samoistném.

„Tym sposobem Palacky pierwszy sformułował program narodowo-czeski i austryacko-polityczny, przy którym dotąd wiernie i silnie stoimy i którego bronimy od trwających dotąd jeszcze napaści. Palacky wskazał nam drogę, którą iść mamy, określił, że tak powiem, samoistność królestwa czeskiego i samoistność monarchii au-

stryackiéj. Ten jego czyn nigdy nie będzie zapomniany. Teki ministeryalnéj, ofiarowanéj sobie późniéj, nie przyjął, nie przestawał jednak pracować dla swego narodu na polu politycznem. We wszelkich sprawach politycznych i narodowych był Palacky uznanym przez wszystkich przywódcą narodu czeskiego, naszym sternikiem, u którego zawsze szukaliśmy rady i pomocy, na którego silnym, nieustraszonym charakterze mogliśmy oprzéć się zawsze z zupełną ufnością. Był dla nas ojcem i ojcem nazywał go cały naród, a zasłużył na tę nazwę, bo całe życie swoje poświęcił narodowi i nie ustawał w działalności dla jego dobra, w walce za święte prawa Czechów.

„Kiedy zbliżyła się godzina zgonu, stałem przy jego łożu, a w chwili rozpoczęcia ostatnich ze śmiercią zapasów ścisnął mi silnie rękę i ostatnie jego słowa były: „*Riegerze, pomóż do zwycięstwa!*“ Te słowa są dla mnie świętym testamentem, który i wam, wierni synowie, wierne córy naszego narodu obwieszczam. I wy pamiętajcie o ostatnich słowach Palackiego i pomóżcie do zwycięztwa. Połączonemi siłami cel nasz osiągniemy!“

Słowa Riegera, przyjęte 8 września w Pisku ogólnym pełnym zapału poklaskiem, znalazły téż niewątpliwie odpowiedni oddźwięk w sercach całego narodu czeskiego. Jeżeli usuniemy nasze drobiazgowe osobiste niesnaski i zaprzestaniemy zwad dziennikarskich, prowadzonych wprawdzie tylko dla interesu zawodowego, ale niemniéj szkodliwych dla narodowéj, tyle pożądanéj solidarności, jeżeli natomiast siłami istotnie połączonemi zdążać będziemy do wspólnego celu, do zdobycia poszanowania dla naszych praw narodowych,— zwyciężymy niezawodnie, może nie w tym zakresie i duchu, jak o tém myślał, jak tego pragnął nasz niezapomniany przywódca, ojciec Palacky, ale bądź co-bądź zwyciężymy!

Praga 10 września 1886 r.

Dr. Gabler.





SZKOŁY HISTORYCZNE W POLSCE.

(Główne kierunki poglądów na przeszłość).

V.

Nowe uogólnienia, podjęte przez Szujskiego i Bobrzyńskiego.

Nagromadzony w licznych monografiach, a niedostępny dla powszechności materyał, wywołał potrzebę nowego przedstawienia całości dziejów, o co od czasu ukazania się dzieła Morawskiego w przeciągu lat ośmiu nikt się nie kusił. Zadośćuczynić potrzebie zamierzył młody uczeń Helcla, profesor historyi prawa polskiego w uniwersytecie jagiellońskim, Michał Bobrzyński; jednocześnie jął się pracy i starszy od niego Szujski. Bobrzyński wytłoczył w r. 1879 *Dzieje Polski w zarysie*, które się rychło powtórnéj, znacznie zwiększonéj doczekały edycyi; Szujski w r. 1880 ogłosił *Historyi polskiéj treściwie opowiedzianéj ksiąg dwanaście*. Gdyby autorowie poprzestali na zsumowaniu rezultatów ostatnich badań i podaniu ich publiczności w kształcie dostępnym, jednoczesne prawie ukazanie się nawet dwóch książek podręcznych, oprócz doniosłości informacyjnéj, innegoby znaczenia nie miało; że względy pedagogiczne usunęli na plan podrzędny i formy elementarza szkolnego użyli do wypowiedzenia osobistych na przeszłość poglądów,—prace ich obudziły śród fachowców zajęcie, historyograficznym stały się faktem. Dzieła obu autorów sformułowały poglądy dziejopisów, grupujących się około Akademii umiejętności, pierwszy raz zamanifestowały dobitnie tak zwaną szkołę historyczną krakowską.

Nim Szujski, dosiadujący kolejno—według własnego wyznania—„wszystkich biegunów z wspaniałéj naszéj masztarni rycersko-poetycznéj,“ skrystalizował w sobie ostateczny pogląd na dzieje, doś-

wiadczył w materyi religijnych i społecznych przekonań fazy przejściowéj. W r. 1860 hołdował poglądom Wróblewsekigo, był demokratą szlachcicem. „Jeżeli mamy, pisał (1), wiernie stanąć na przeszłości, to tylko na szlacheckiéj stanąć możemy, bo szlachecka przeszłość jest jedynie i wyłącznie przeszłością narodu. Wiele w niéj było grzechu, ale w niéj tylko było sumienie, prowadzące do poprawy i przetworzenia się, w niéj duch niesamolubnego poświęcenia się, w niéj patryotyzm nie kasty, lecz narodu. Ale silniejszym dowodem, niż wszelkie historyczne dedukcye, jest sama natura szlachty dzisiejsza. Szlachta jest alfą i omegą narodu, bo ona jedna posiada tajemnicę przypodobniania sobie nieszlacheckich, a nawet obcych żywiołów; bo ona sama jedna daje rękojmią przyszłości, garnąc do siebie i podnosząc do swojéj sfery nieszlachecką inteligencyę; bo jéj idea jest ideą podniesienia wszystkich żywiołów krajowych do godności i uczestnictwa w obywatelskiém życiu.“ Wróg, tak arystokratycznéj starowierczości, jak i ultraliberalnego racyonalizmu, — „starowierczość, wołał i racyonalizm postępowy zarówno zgubne wydały owoce, zarówno sprzeciwiają się najszczytniejszéj idei narodu: idei szlachectwa.“ Wierzył Szujski na równi z Lelewelem w odwieczność polskiego demokratyzmu, który wywodził z pierwocin słowiańskich; poniewieraniu w rzeczypospolitéj żywiołów plebejskich przypisywał upadek. Z takimi poglądami przystąpił do kreślenia *Dziejów Polski* (1862—66), które optymistycznem ozdobił godłem: „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!“

Jako dziejopis wiernym pozostał Szujski zaznaczonéj przez Wróblewskiego misyi Polski zaszczepiania śród innych ludów znamion słowiańskiéj zacności. „Polska miała dwojaką misyę, widocznie od Boga zakreśloną: miała bronić chrześcijaństwa od nawały wschodu i apostołować wschodowi; miała rozwijać słowiańskie ludy... strzegąc ich narodowéj właściwości przeciw zaborczéj idei pangermanizmu. Téj dwojakiéj misyi odpowiedziała Polska piastowska w ciągu pięciu wieków. Wywalczywszy sobie wielkość w czasach Bolesławów, wytknąwszy w tradycyi narodu kierunki działania swego, odparłszy Niemców, przyłączywszy bratnią Ruś a Pomorze i część Prus shołdowawszy, zdobyła sobie stanowisko olbrzymie... Wypełniła pod Jagiellonami tęż samę misyą, którą miała od początku. Nawróceniem Litwy, zaprowadzeniem unii, bojem z Tatarami, stanowiskiem obronném przeciw Turcyi, odpieraniem moskiewskiéj szyzmatyckiéj nawały służyła chrześcijaństwu katolickiemu, zachodniéj oświacie“ (I, 292. II, 339). Widzi Szujski niezrównaną pod każdym

---

(1) Portrety przez Nie-Van-Dyka. Lwów, 1861, str. 17.

względem wyższość Polski nad państwa zachodu; podziela mniemania poetów, którym się podobało przezwać ją apostołem ludzkości. Nie sterawszy sił młodych w walkach duchowych zachodu, nienarażona na deziluzye podczas krucyat i schyzm papieskich; zachowała Polska dłużéj, niż Europa, silną wiarę i dłużéj była krzyżowym chrześcijaństwa rycerzem. Gdy cesarstwo niemieckie rozminęło się ze swoją misyą i upadło moralnie, Polska wzniosła się, jako przyszłe *antemurale christianitatis* (I, 52. II, 292). Wniosła w świat chrześcijański obfitość myśli wyższych nad wiek... W XVI stuleciu wskazała światu przykład wolnych instytucyi, niepraktykowanych naówczas nigdzie; wydała świetny owoc liberalizmu i cywilizacyi—tolerancyę religijną, poszanowanie każdéj właściwości narodowéj i wszelkich tradycyi. „Polityka Jagiellonów sumienna, chrześcijańsko-moralna, odbijająca tak świetnie przy przewrotności sąsiadów, błyszczy, jak światło przyszłości“ (II, 5, 339). Lecz odgrywanie roli podniosłéj narażało Polskę i na klęski straszliwe. Prace Bolesławów „przypłaciła dwuwiekowym upadkiem (1139—1296), który nie był czém inném, jak wewnętrzną walką z żywiołami pokonanymi fizycznie, ale nie moralnie... Wtedy pada co chwila ofiarą Tatarów, Rusinów, Litwy, Prusów i gorszych od nich Krzyżaków i Brandeburczyków.. Służy chrześcijaństwu jako ofiara, jako męczennica, rzucająca się pod stopy nawałowi wschodu, aby w krwi jéj nasycił swoje dzikie pragnienie“ (I, 292). Na ruchach szlacheckich za Ludwika i Jagiellonów zyskiwał naród, ale przyszłość państwa traciła. „Zakreśloném widać było od Opatrzności, aby się u nas naród rozwijał na niekorzyść państwa, praktykował idee wolności, o wiele wiek uprzedzające, a pod wpływem ich życiodajnego fermentu rozwijał w sobie siły indywidualne w nieskończoność“ (I, 294). Niepotrafiła się rzeczpospolita przekształcić w dobie reformacyi, obumarłą została dla postępu europejskiego i to ją przyprawiło o zgubę. „Katolickie myśli unii, podbicia Moskwy, walki z Turkami pozostały w głowie szlacheckiéj w spokojném sąsiedztwie z całym szlacheckim kodeksem wolności, na który się papieże i cesarze, a z drugiéj strony monarchiści i politycy nowéj Europy z wstrętem i podziwem, jak na raroga patrzyli. Stąd Europa nowa, tak racyonalna, jak katolicka, nie mogła się nigdy porozumiéć z tym dziwotworem państwa, które wolnomyślnością swych instytucyi wyprzedziło najśmielszych liberalistów, a zaśniedziałością średniowiecznych dążeń uchodziło za Chiny. Stąd nareszcie jeden i drugi obóz europejski, zeszedłszy się z sobą na śliskim i płytkim gruncie ośmnastowiecznéj niemoralności, gdzie absolutyzm podawał rękę cynicznéj filozofii rewolucyjnéj, przyszedł do przekonania, że Polska jest zawadzającą na świecie mumią“ (III, 6). Długo

Szujski zdaje się wahać, czemu winę upadku przypisać: niemoralności gabinetów ówczesnych, czy życiu Polski odśrodkowemu i decyduje się w końcu na czynnik ostatni. Oczywiście zrywał ze szkołą Lelewelowską, gdy następujące z przeszłości wysnuwał prawdy: „Każdy naród i każde społeczeństwo ludzkie zależnemi są od pewnych warunków ładu, sprawiedliwości na wewnątrz a potęgi na zewnątrz, których nie wypełniwszy, tracą siłę rozwoju, niezawisłość i niepodległość. Nie uwalnia ich od tych warunków żadna idea wyższa, choćby najszczytniejsza, bo dla téj idei trzeba wynaleść formę wystarczającą. Nie uwalnia wzgląd na czas i wiek, bo własnością idei twórczéj jest przerastanie wieku i czasu. Czyniła to Polska za Jagiellonów i pierwszych królów elekcyjnych dzielnością szlacheckiego narodu. Powstawała z pieluch lub dźwigała się z upadku dzielnością Chrobrych i Łokietków, a w chwilach obumierania nawet objawiała tęsknotę do zorganizowania się i zestrzelenia sił dyktaturą konfederacyi z jednéj, dążeniami monarchicznemi z drugiéj strony, które się zeszły w jéj testamencie politycznym dnia 3 maja 1791... Upadek rzeczypospolitéj spowodowała własna nasza kilkowiekowa wina... (IV, 723).

Zarzucała Szujskiemu krytyka republikańska naciąganie przeszłości na korzyść teoryi monarchicznéj, słuszności jednak całkowitéj nie miała. Zdarzają się w dziele—w ogóle dość chaotyczném i deklamatorskiém—pretensye do reformacyi, że „nie zbudowała rozsądnéj i karnéj konstytucyi;“ do katolicyzmu, że nie stworzył nieograniczonéj monarchii (II, 327); lecz trafiają się również i utyskiwania na tron, że służył reakcyi religijnéj i absolutyzmowi jezuickiemu, a zachowywał się nieprzyjaźnie względem narodu, wyznającego tolerancyę i wolność (III, 106). Trzydziestoletni naówczas dziejopis nie owładnął należycie materyałem, nie sformułował dokładnie poglądów. Naturę jego poetyczną porywała idea misyi, liberalizmu i wolności; z drugiéj strony uderzały go czynniki dezorganizacyjne, na które w silnym rządzie radby szukać lekarstwa. Słowem, lawirował Szujski pomiędzy szkołą Lelewelowską a monarchiczną Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, zajął pomiędzy niemi stanowisko pośrednie.

Do zdecydowanych ostatecznie poglądów doszedł w chwili zorganizowania się politycznego w Krakowie stronnictwa, które zamanifestowało dążności swoje w ogłoszonéj w r. 1869 *Tece Stańczyka*. Zasady tego stronnictwa: katolicyzm i lojalność najdokładniéj sformułował urzędnik austryacki, Antoni Walewski (1); wprowadził je

(1) *Dumanie Polaka* drukował organ Stańczyków. Znać redakcya podzielała poglądy Walewskiego, skoro im w przypisku następującą dała rekomendacyę: „Szanowny

do badań swoich, lubo nie tak jaskrawo, jak tamten, i Szujski. Wprawdzie przy otwarciu kursu historyi polskiéj w uniwersytecie jagiellońskim potępiał tendencyę, którą nazwał przykrawywaniem dziejów do celów politycznych lub moralnéj propagandy; w istocie jednak z katedry zrobił trybunę, w formie rozpraw naukowych ogłaszał pamflety. I nie mogło być inaczéj, skoro uważał historyę za mistrzynię życia, skoro w niéj poszukiwał „nauk praktycznych.“

W *Historyi polskiéj treściwie opowiedzianéj* nie admiruje, jak dawniéj, gminowładztwa słowiańskiego i spólnot, uważa owszem ostatnie za skutek „długiego trwania na najniższym szczeblu, spowodowanego niezmiennością ekonomicznych stosunków“ (str. 10). Nie uwielbia owéj wyższości moralnéj Polski od państw zachodnich, zaznacza przeciwnie młodszość naszą, ciągłe opóźnianie cywilizacyjnego pochodu. „Wychodzi Polska, powiada (1), na widownię dziejów ostatnia z rzędu zachodnich narodów, późniéj od Czech i późniéj od Węgier, którzy walką z Niemcami uprzedzili nasze wystąpienie. Wiąże się państwo w leśnym ostępie między Wartą i Wisłą, niedotkniętym żadną poprzednią cywilizacyą, chyba dróg po bursztyn na baltyckie brzegi. Formy najdawniejsze jéj bytu naśladują pierwotne formy drużyny u Franków i Germanów. Kościół, przyzwany na pomoc przeciwko eksterminacyi niemieckiéj, gra w społeczeństwie rolę ograniczoną, od książąt zależną. Reforma wielka Grzegorza VII dokonywa się u nas późno, w XIII wieku. Wojny krzyżowe prawie wcale nas nie wciągają. Wykształcenie, które niesie kościół i duchowieństwo, ograniczone w skutkach swoich cudzoziemszczyzną licznego zakonnego i świeckiego duchowieństwa. Do XIV wieku, z wyjątkiem budynków klasztornych i niektórych kościelnych, Polska jest krajem drewnianego budownictwa i ziemnéj fortyfikacyi. Cywilizacya, która jako usamowolniony i wszechwładny kościół, jako emancypacya rycerstwa, jako wolne osadnictwo na prawie niemieckiém ją przenika, przyprowadza polityczny byt Polski nad brzeg przepaści, część jéj terytoryum odrywa do Niemiec, część do Czech. Widocznie władza polityczna pozbawiona była wszelkiéj wiedzy kierowania ruchem społeczeństwa.“ Dopiero dzięki organizacyjnéj działalności Kazimie-

autor... zwraca się w *Dumaniach* ku chwilom obecnym, a czyni to z takim zasobem głębokich myśli i spostrzeżeń politycznych i społecznych, że liczymy sobie za prawdziwy zaszczyt umieszczenie ich w piśmie naszém. Czasy nasze obfitują w taką powódź obtartych myśli i poglądów przestarzałych, bezpłodnych, krótkowidzących, że prawdziwem użyciem umysłowém i podniesieniem ducha musi stać się praca, z spokojnego a żywego badania przeszłości świeże i szeroką przestrzeń wypadków obejmująca spostrzeżenia“ (*Przegląd Polski* z r. 1872, t. IV, str. 346). — (1) O młodszości naszego cywilizacyjnego rozwoju.

rza W. Polska dogania Europę raptownie od murowania miast, aż do założenia uniwersytetu; lecz śmierć króla naturalnemu rozwojowi kładzie tamę; przywilej koszycki, a zwłaszcza przyłączenie Litwy i Rusi wstecz cofa zadania wewnętrzne, zwraca bowiem do boju z germanizmem i do pokonania politycznego anneksów. „Społeczeństwo, które zaledwie do europejskich zaczęło przychodzić porządków, ma przed sobą zadanie pokonania ogromnéj, pół-pogańskiéj, pół-wschodnio-katolickiéj przestrzeni... Unia narodów, wobec zewnętrznych niebezpieczeństw pożądana, staje się momentem, gdzie się państwo z konieczności roztapia w olbrzymiéj przestrzeni; gdzie w miejsce utworzenia uporządkowanego organizmu, powstaje zadanie podbicia go cywilizacyą jednego obyczaju i wiary... Ostatecznie przestrzeń pokonała ów niewielki, ale jędrny zawiązek polityczny, jakim była Polska.“ Szlachta, t. j. przestrzeń rolnicza zniszczyła rękodzieła i przemysł—złamała mieszczaństwo; śród ziemian, szukających bytu w oddalonych osadach, wszelka zaciętość stronnicza od lada powiewu musiała stygnąć; a więc w przestrzeni szukać należy przyczyny łagodności naszych walk politycznych i religijnych; w przestrzeni leżała luźność, decentralizacya, słowem bunt przeciwko państwu; w przestrzeni typ szlachecki w wędrówce na kresy wschodnie stał się otyłym, kontemplacyjnym, wygodnym, powolnym, despotyzm pański z indolencyą łączącym (1).

Żałuje Szujski, że ze wzorów Kazimierzowych nie umiała Polska wynieść „monarchicznéj myśli“; że za Jagiellonów oddzieliła swój interes od sprawy króla (str. 73); entuzyastyczny niegdyś rzecznik wolnych instytucyi zżyma się na „przedwczesność“ parlamentaryzmu i opłakane przypisuje jéj skutki. „Na ustanowionym przedwcześnie parlamentaryzmie poszukiwać trzeba w pierwszéj linii niepowodzeń politycznych Polski w wieku złotym: szkodliwego załatwienia sprawy pruskiéj, upadku polityki dynastycznéj w sprawach węgiersko-czeskich, dalszych utrat przy wschodniéj państwa granicy; jak w powolném jego dojrzewaniu, przedewszystkiém zaś w splątaniu sprawy politycznego przeobrażenia z kwestyą religijną szukać przyczyny, dla czego do skutecznéj organizacyi jednolitego państwa doprowadzić nie mógł“ (str. 194). Humanizm i reformacyę poczytuje za pierwiastki rozkładowe, nie chce w nich uznać czynników postępu. „Zachowując pozory wspaniałego kultu religijnego na zewnątrz, humanizm szedł bardzo daleko w emancypacyi swojéj od ducha religijnego średnich wieków, niósł w życie kościelne świeckość i zachodnią wiarę, w życie polityczne utylitaryzm i prywatę“ (str. 199). Żądania w r. 1555 przez szlachtę utrakwizmu, języka na-

(1) O młodszości naszego cywilizacyjnego rozwoju.

rodowego w kościele, małżeństwa księży „były retrogresyą, były cofnięciem się do Rusi! były odrzuceniem aspiracyi zachodu religijno-moralnych, jego wyższego, duchowego pojęcia religii; były abdykacyą wobec tych, nad którymi się miało w imię wyższości cywilizacyjnéj panować“ (1). Czasy reformacyi nazywa wiekiem mężobójstwa, bezkarności zbrodni, miękkości i rozwiązłości obyczajów, niewojenności (str. 202). Ubolewa nad tolerancyą naszą, bo nie dopuściła silniejszéj władzy, gdy prześladowania przeprowadziły na zachodzie rządy nowożytne: katolickie we Francyi, akatolickie w Anglii i Szwecyi (str. 198). Autor, zarzucający w r. 1862 (2) papizmowi skostniałość i niemoralność, nazywający go archiwaryuszem dogmatu, — w 1880 zbawienie widzi tylko w związku z kościołem; pogromca jezuitów za hipokryzyę, intrygi, egoizm i wsteczność (3),— uwielbia w kilka lat późniéj ich miłosierdzie, dbałość o światło i mądrość (str. 258). Zakończył Szujski karyerę naukową najskrajniejszém wstecznictwem, które jaskrawiéj, niż ktokolwiek inny, jezuityzmem zaprawił. Zabiegom Zygmunta III w sprawie unifikacyi religijnéj przyznaje w zasadzie racyę; lecz „aby to dążenie nie było stronniczém i nielegalném w kraju, który pokój z dysydentami wpisał w fundamentalne prawa, trzeba było naprzód dokonać wywrotu istniejącéj formy rządu i wzmocnienia władzy królewskiéj.“ Pozbycie się prawie zupełne akatolików z senatu było, według Szujskiego, potężnym środkiem legalnym, którego użycia „ani sumieniu, ani polityce królewskiéj za złe brać nie można.“

Bobrzyński trzy w życiu Polski wewnętrzném, w stosunkach zewnętrznych, w literaturze, obyczajach i nauce spostrzega przełomy i na tyleż dzieje dzieli okresów. W pierwszym grupa ludów słowiańskich z nad Odry i Wisły skupiła się w naród i dała początek państwu. Panujący w charakterze ojca złączonych węzłami pokrewieństwa ludów nieograniczenie rozkazywał i rządził, wychowywał społeczeństwo małoletnie, które dopiero w połowie wieku XIII do dojrzałości dochodzi. W okresie tym walczy naród o Elbę i Odrę, pod względem obyczajów jest wyłącznie niemal wieśniaczym, przyswaja sobie styl romański. Od natury władzy rządzącéj nazywa autor państwo polskie w téj dobie patryarchalném. W okresie drugim naród wyzwala się z pod władzy ojcowskiéj książąt i do samodzielnéj porywa się pracy. Z powodu napływu kolonistów z zachodu rozbija się jednolite dawniéj społeczeństwo na dwa odłamy: polski i niemiecki, a każdy na podstawie praw i przywilejów życie swoje wewnętrzne urządza odrębnie. Obok dwóch grup powyższych staje

(1) Odrodzenie i reformacya w Polsce. Kraków, 1881, str. 97. — (2) Dzieje Polski. II, 162. — (3) Tamże, II, 242; III, 247.

jednocześnie duchowieństwo, które również o samoistną organizacyę się stara. Sytuacyę każdego pierwiastku określa umowa, zawarta z księciem, który, nie mogąc z tego powodu mieszać się w stosunki wewnętrzne narodu, poprzestać musiał na utrzymywaniu pomiędzy stanami harmonii i czuwaniu nad bezpieczeństwem zewnętrzném. W okresie tym toczy się walka o Wisłę, w obyczajach odbija się uczoność kościelna, zamożność miast i ogłada rycerska; w sztuce panuje gotyk. Państwo polskie w téj dobie, przeciągającéj się od połowy XIII do końca XV stulecia, nazywa Bobrzyński patrymonialném. Pod koniec wieku XV żywioł polski zyskał nad innymi przewagę bezwzględnie i nowy uwydatnił kierunek. Doszedłszy do znacznéj zamożności i oświaty, dla pozyskania skutecznego w dalszéj pracy poparcia zapragnęło społeczeństwo wzmocnienia władzy rządowéj; z drugiéj strony rząd z powodu komplikacyi zadań polityki zewnętrznéj i potrzeby utrzymywania stałéj armii wymagać musiał od mieszkańców kraju ciężarów publicznych i ofiar. Złamano więc przywileje średniowieczne, a urządzono państwo nowożytne, tak zwane prawne. Na zewnątrz toczy się walka o wpływ na Baltyku, obyczaj w XVI wieku panuje włoski, w XVII francuski, w sztuce kwitnie renesans.

Zmarniała Polska, bo się budowa państwa nowożytnego nie dała u nas w zupełności wykończyć. „Wydobyły się żywioły nierządu i swawoli już w XVI wieku, złamały i ubezwładniły wszelkie usiłowania dalszéj reformy i postępu i popchnęły naród w najstraszniejszy upadek, który się w r. 1773 pierwszym, częściowym rozbiorem kraju zakończył“ (I, 39). Bobrzyński nie szczędzi przeszłości wskazówek, w jakim się powinna była rozwijać kierunku; nie tai, że jedynie monarchia nieograniczona przynieść mogła ratunek.

Już w dołączonéj do pierwszego wydania, skreślonéj na podstawie Mohl'a „Krótkiéj nauce o państwie i społeczeństwie“, tendencyjnie formę rządu republikańską dyskredytuje, a rehabilituje monarchię. „Mylném jest—powiada—zdanie, jakoby republika oznaczała wolność i szczęście narodu, zaś monarchia absolutna jego niewolę i ucisk. Owszem w monarchii absolutnéj, rozumnie rządzonéj, lud może się czuć swobodnym i szczęśliwym, zaś w republice, jeśli na jéj czele staną ludzie gwałtowni lub zepsuci, może panować najsroższa niedola i ucisk.“ Gani Słowian, że nie wyrobili w sobie „poszanowania prawa i despotycznéj władzy, nie mieli poczucia siły, jaką daje wewnętrzna karność i zgoda“ (I, 67); podnosi natomiast zdolności organizacyjne ludów mongolskich i normandzkich. Rusinom i Bułgarom zazdrości przymieszki krwi obcéj, „pochopniejszéj do życia politycznego, do którego Słowianie wskutek tradycyjnéj swojéj nie-

zgody i przesadnego zamiłowania wolności nie byli jeszcze dojrzeli“ (I, 69). Dodatnie tylko widzi rezultaty wpływu na Słowiańszczyznę południową i wschodnią instytucyi bizantyjskich. „Absolutyzm cesarzów wschodnich zgadzał się zupełnie z dążeniem jedynowładców bułgarskich i ruskich i gotowe poddawał im formy. Kościół wschodni... służąc we wszystkiém państwu i stanowiąc polityczną instytucyę, nie przedstawiał téż, jak na zachodzie, idei wolności, nie budził do samoistności społeczeństwa i, zamiast z absolutyzmem monarszym walczyć, najsilniejszéj mu dostarczał podpory. Nic więc dziwnego, że cesarstwo bizantyjskie, jego kościół i prawo działały zgodnie w obec Bułgarów i Rusi, a w urządzeniach ich społecznych i politycznych wystąpiły jako czynnik wszystkie inne słowiańskie, a nawet skandynawskie przeważający“ (I, 71). Skutkiem propagandy religijnéj Cyryla i Metodego „cywilizacya wschodnia zapuściła, zdaniem autora, w ludach słowiańskich zachodnich głębsze, niezatarte jeszcze po kilku wiekach korzenie i zbawienne wydała owoce.“ Nieszczęściem było, że „dzikie hordy węgierskie... przecięły zbawienne związki Słowian morawskich i czeskich z Carogrodem i oddały ludy te wyłącznemu wpływowi Niemiec“ (I, 75).

Pochwala Bobrzyński patryarchalną organizacyę Polski pierwotnéj, lecz nie może swych upodobań bizantyjskich pogodzić z emancypacyjnym ruchem społeczeństwa w stuleciu XII. Chociaż przyznaje, że zasada bezwzględnéj, patryarchalnéj władzy książęcéj już się w narodzie przeżyła, trudno mu jednak na bezskuteczne ku utrzymaniu dawnego porządku wysiłki Mieszka Starego „patrzéć bez głębokiego współczucia.“ Upadali książęta, a pod przewodnictwem hierarchii kościelnéj budziło się społeczeństwo do samoistności: „czy nie zanadto, — zapytuje autor — czy nie zawcześnie?“ (I, 147). Chwali Wacława, że poosadzał po grodach gubernatorów wojennych, starostów, — bo to były „rządy silne...“; admiruje za to i Kazimierza W-go, starostowie bowiem „stanowili najsilniejszą, nigdy niezawodzącą podporę władzy królewskiéj i byli największą rękojmą jedności państwa“ (I, 185, 210).

Bobrzyński jest równie jak Szujski doktrynerem, tylko innego stylu. Szujski pragnąłby zawrzéć w monarchii absolutnéj katolicką wyłączność ze średniowiecznym scholastycyzmem i ascetyzmem,— Bobrzyński wyklucza z polityki moralne i religijne zasady, na wszelkie gotów pisać się środki, byleby samodzielność narodu ujarzmić i wedle wzorów bizantyjskich zbudować rząd silny. Szujskiemu oprócz bytu pod osłoną monarchii jedynowładnéj chodzi o cywilizacyą, któréj urzeczywistnienie widzi w kościele; Bobrzyński uznaje kulturę akatolicką, chociaż o tyle tylko, o ile służy idei państwa.

Pochwala więc wbrew Szujskiemu humanizm, bo dopomagał „przedewszystkiém do nowożytnéj politycznéj organizacyi“, bo szerzył zasadę wyższości panującego po nad prawo. „Pierwsi nasi humaniści świeccy byli to — powiada — politycy-prawnicy, którzy z długich a mozolnych studyów uwielbianego prawa rzymskiego wynosili nową ideę państwa starożytnego, podniesionego do najwyższéj harmonii i potęgi kosztem swobody społecznéj; wynosili przedewszystkiém poczucie silnéj władzy panującego, bezwzględnego rozkazu i stanowczéj konsekwencyi w postępowaniu.“ Wyznawali zasadę, że „przywileje tam, gdzie idzie o dobro publiczne, o ratunek ojczyzny, nie mają żadnego znaczenia; że król w razie niebezpieczeństwa ma prawo podatki nakładać i egzekwować, ma prawo każdéj jednostce jéj mienie odebrać, ma prawo nawet skarby, vota i naczynia kościelne zabierać i na pieniądze przetapiać.“ Była to, zdaniem autora, zasada poświęcenia się jednostki dla publicznego dobra, zasada miłości ojczyzny (I, 287—290). Wbrew Szujskiemu chwali Bobrzyński, że Kazimierz Jagiellończyk złamał przywileje duchowieństwa i pozyskał prawo obsadzania beneficyów (I, 292); ubolewa z drugiéj strony, że ogół szlachty polskiéj z czasów późniejszych „nie wnikał dość głęboko w naukę, ażeby dojść do przekonania, że siła rządu była zasadniczą prawa i państwa starożytnego podstawą“ (II, 51); że już na początku XVI stulecia wytworzył parlamentaryzm. „Czy nie był, pyta, przedwczesnym w chwili, w któréj wszystkim narodom średniowiecznym potrzebną była twarda szkoła absolutnych rządów?“ i odpowiada: „niewątpliwie.“ Pociesza się przecież, że wprowadzająca parlamentaryzm ustawa z r. 1505 nasuwała monarsze punkt oparcia w szlachcie przeciwko możnym, że jako „lakoniczna i niejasno sformułowana dawała królowi sposobność do nagięcia jéj na swoją korzyść... Dla dzielnych królów wobec antagonizmu szlachty, duchowieństwa i możnowładztwa nie była wcale nie do usunięcia zaporą, jeśli o absolutnych rządach rzeczywiście myśleli“ (II, 21). Zawiódł autora Aleksander, nie odpowiada wymaganiom i jego następca, nie stworzył bowiem w Polsce sprężystéj a jednolitéj maszyny urzędniczéj—biurokracyi, „bez któréj żadne państwo nowożytne nie może się utrzymać, a bez któréj najzbawienniejsze prawa i reformy, uchwalone na sejmach, musiały martwą literą pozostać“ (II, 32). Najżywszą jednak rości pretensyę do szlachty, że w niéj „nigdy do tego stopnia nie zaostrzyły się przekonania, nie zakipiały namiętności, aby w imię swych zasad porwać się do gwałtownych występów“; nie może wybaczyć Zygmuntowi Augustowi, że nie postąpił jak inni królowie, którzy „dochodzili do głównego celu, do zbudowania silnego rządu i poskromienia anarchii także drogą stanowczego, wy-

trwałego wobec protestantyzmu oporu." Przyznaje Bobrzyński, że bez walki, może nawet krwawéj, nie byłoby się zapewne obeszło, tak jak nie obeszło się w żadnym narodzie „rozwijającym się zdrowo"; trzeba było przecież z reformacyi tak albo inaczéj wyciągnąć korzyść dla dobra narodu i państwa (II, 79, 80). Tolerancyę naszą w XVI stuleciu uważa za objaw rozstroju, szła bowiem z dołu, z narodu, który ją państwu narzucał (II, 101). Mądrze czynił Batory, że do odrodzenia w narodzie karności, do przywrócenia w Polsce silnéj władzy królewskiéj użył katolicyzmu; wielkie kładli zasługi jezuici, dopóki do szerzenia pojęć monarchicznych i poszanowania rządu zmierzali. „Dla czegoż—pyta autor—w tym kierunku nie wytrwali, dla czego przy pierwszéj próbie, przy rokoszu Zebrzydowskiego, odbieżeli od swéj chorągwi?" (II, 132, 172). Zginęliśmy, zdaniem Bobrzyńskiego, dlatego, bośmy nie chcieli dla rządu silnego poświęcić „na długie lata" drugiego pierwiastku szczęścia ludzkiego na ziemi—wolności obywatelskiéj (II, 334); bo najwybitniejsze osobistości nowożytnych dziejów nietylko w dobrém, ale i w złém nie zdołały się wznieść do rozmiarów potężnych, do prawdziwéj dramatyczności (II, 339); bo taki np. Zamojski nie miał odwagi zrzucić z tronu Zygmunta III-go (II, 158), bo nikt się nie pokusił o zamach stanu (II, 240). Ocalić mógł państwo jeden człowiek takiego pokroju, jak Franciszek I, Henryk IV, Ludwik XIV, Henryk VIII, Karol V, Filip II lub Iwan (II, 340). „Zagłada nasza—powiada autor—nastąpić mogła tylko po całym szeregu błędów, po długiém gwałceniu tych wyższych praw, które Bóg narodom dla ich życia i rozwoju przepisał" (II, 343)... Z powyższéj mozajki łatwo jest odkryte przez Bobrzyńskiego „wyższe prawa, które Bóg narodom dla ich życia i rozwoju przepisał", odgadnąć.

VI.

Stosunek szkoły historycznéj krakowskiéj do Naruszewiczowskiéj i stanowisko jéj w dziejopisarstwie.

W przeciągu stulecia nauka historyi olbrzymi pod względem nagromadzenia materyału, udoskonalenia metody i wyświetlenia różnych stron życia narodu zrobiła postęp. To, co przed laty rysowało się w konturach zamglonych i dawało pole do najsprzeczniejszych domysłów, w czasach ostatnich stało się bardziéj zdecydowaném lub przybrało charakter pewnika; na jaw wydobyto wiele rzeczy nieznanych, sprostowano mnóstwo tłómaczonych opacznie. Po ostatnich nauki historycznéj zdobyczach nikomu, nawet w kwestyach tak problematycznych, jak ustrój Polski pierwotnéj, niewolno puszczać wodzów nieskrępowanéj wiedzą fantazyi; nikt np. nie może

czasom średniowiecznym narzucać skończonego parlamentaryzmu, jak to przed stuleciem czynił Wielhorski. Czy jednak obok niezaprzeczonych rezultatów, dotyczących pytań szczegółowych, znalazły rozstrzygnięcie zasadnicze, przez wszystkie szkoły poruszane pytania historyozoficzne? czy przynajmniéj, przeprowadzone przez probierz z różnego stanowiska podejmowanych dociekań, w nowém dzisiaj ukazują się świetle? czy uległo modyfikacyi pojmowanie dziejopisarstwa i jego celów? Bardzo stanowczą na te pytania dają odpowiedź uczeni krakowscy, najdobitniéj ją wypowiada Bobrzyński przy ocenie szkół historycznych dawniejszych.

Według Bobrzyńskiego, Naruszewicz 1) chwyta fakta dziejowe nie tyle w ich wewnętrznym, przyczynowym związku, ile z ich strony obrazowéj, zewnętrznéj; 2) opisem wielkich zdarzeń i czynów przeszłości, wspomnieniem minionéj chwały chce zbudzić szlachetniejsze uczucia w narodzie, który upadł prywatą; 3) nie rozróżnia epok dziejowego rozwoju, lecz wszystkie wypadki we współczesném mu świetle ocenia i kreśli. Ujemne strony badań Naruszewicza wybujały, według Bobrzyńskiego, w jego następcach i naśladowcach. 1) Nie zdawali sobie sprawy z wielkich przewrotów społecznych i politycznych, jakie przechodził naród; całe jego dzieje podzielili mechanicznie na trzy okresy: Polski piastowskiéj, jagiellońskiéj i elekcyjnéj. 2) Pisząc pod wrażeniem świeżych klęsk, nie mieli już serca ukazywać złego, gdzie ono leżało — w przywarach naszych; chcieli raczéj hymn pochwalny na cześć przeszłości wyśpiewać... Całą winę nieszczęścia i upadku składali na barki pewnych kozłów ofiarnych..., a wszelkie głębsze pojęcie rzeczy, wykrywanie ogólnych wad narodowych uważali za kalanie własnego gniazda i świętokradztwo. 3) Cel dydaktyczny, stojący na dalszym planie u Naruszewicza, występował na pierwszy plan u jego następców i sprowadzał czczą deklamacyę i frazeologię. Lelewelowi zarzuca Bobrzyński doktryneryzm — wtłoczenie całéj przeszłości w formułkę republikańską. Dziwi się, jak można było „upuścić z oka drugi warunek zdrowego rozwoju każdego narodu, mianowicie siłę i sprężystość jego władzy rządowéj"; oburza się, że szkoła Naruszewiczowska „patrząc na upadek własnemi oczyma, pokrywała go tylko milczeniem"; Lelewelowska zaś uniewinniała go, całe nieszczęście zwalając na obcych.

Dzisiejsza szkoła zmieniła, według autora, „kierunek i ducha historycznéj pracy" i następujące wyznaje zasady: 1) Niewolno posługiwać się historyą dla uzasadniania jakiegokolwiek z góry ułożonego systemu. 2) Niewolno dla żadnych względów prawdy dziejowéj przekręcać. 3) Podstawą sądu historycznego musi być gruntowna znajomość umiejętności społecznych i politycznych.

O ile krytyka poglądów szkoły Lelewelowskiéj odpowiada do pewnego stopnia słuszności, o tyle charakterystyka Naruszewiczowskiéj jest błahą i wszelkiéj pozbawioną podstawy. Najhaniebniéj zawiodła autora intuicya, oprócz niéj bowiem, żadnych zgoła danych pozytywnych do sformułowania sądu o Naruszewiczu i epigonach jego nie użył. Jest racya, że w dziełach zaprawionego na wzorach rzymskich Naruszewicza przeważa strona dekoracyjna; nie ulega wątpliwości, że oceniał przeszłość przez szkła wyobrażeń swego stulecia; nieprawda jednak, żeby nie odróżniał epok dziejowego rozwoju i żeby za główne pracy swojéj zadanie uważał budzenie w narodzie uczuć szlachetnych przez opis wielkich zdarzeń i czynów. Epoki rozwoju wewnętrznego Naruszewicz znał, lecz nie uwydatnił ich dokładnie najprzód dlatego, że dzieło swoje posunął zaledwie do Władysława Jagiełły; że, powtóre, obrazu stosunków wewnętrznych państwa nie wcielił w organizm wykładu, lecz go zepchnął do suteryn przypisków; po trzecie, nie rozumiał, jak Bobrzyński, że „jednym z najważniejszych wyników sądu historycznego i koniecznym warunkiem zrozumienia dziejów narodu jest podział ich na okresy.“ Wyjąwszy zapożyczony ze stosunków zachodu feudalizm, Naruszewicz miał w gruncie rzeczy taki sam w najogólniejszych zarysach pogląd na dzieje wewnętrzne Polski do końca wieku XIV, jak szkoła krakowska i też same, co ona, w obrębie badanych czasów spostrzegł przełomy. Utylitaryzm Naruszewicza w traktowaniu dziejów nie ulega wątpliwości; nie tyle mu jednak chodziło o budzenie w czytelnikach poczuć, ile o kształcenie pojęć politycznych, dla osiągnięcia zaś tego nie potrzebował opisywać wielkich jedynie zdarzeń i czynów. Nikt też Naruszewiczowi nie dowiedzie, żeby fakta ujemne pomijał lub idealizował,—cnotę staropolską, o któréj pisał w przedmowie do *Żywota J. K. Chodkiewicza* stosował do osobistości reprezentującego przeszłość bohatera, którego przecie za dobry przykład uważać wolno.

Na intuicyi również oparł Bobrzyński zarzuty, wymierzone przeciwko naśladowcom biskupa. Czyż naprawdę następcy Naruszewicza „nie zdawali sobie sprawy z wielkich przewrotów społecznych i politycznych?“; czy istotnie mechanicznie dzielili dzieje na okresy: piastowski, jagielloński i elekcyjny? Zaprowadził tego rodzaju podział Teodor Waga w ogłoszonéj w r. 1767 i wielekroć razy przedrukowanéj *Historyi książąt i królów polskich*; praktykowali go w XIX wieku autorowie książeczek dla młodzieży i dzieci; lecz żaden z tych naśladowców Naruszewicza, którzy mieli zamiar kontynuować mistrza, trzech okresów owych nie przyjął. Ogłoszony przez Towarzystwo przyjaciół nauk *Prospekt historyi narodu polskiego* zna, pominąwszy

dobę przedchrześcijańską i porozbiorową, okresów pięć; za zasadę zaś podziału przyjął zmiany w ustroju władzy rządzącéj, a więc w życiu społeczném i polityczném narodu. Wyższą więc, niż sądzi Bobrzyński, ludzie tych czasów posiadać musieli znajomość umiejętności społecznych i politycznych, skoro ją stosowali skutecznie do dziejów; niewolno ich poczytywać za ignorantów, że wynaleźli pięć okresów, a nie jak idący za Mohl'em autor *Dziejów Polski w zarysie* trzy tylko, nieuznane zresztą dotychczas nawet przez kolegów szkoły krakowskiéj. A prawdaż, że szkoła Naruszewiczowska nuciła hymny na cześć przeszłości? że wskazywanie ogólnych wad narodowych poczytywała za kalanie własnego gniazda i świętokradztwo. W odpowiedzi przypominamy znów *Prospekt historyi*, według którego przyczyn wzrostu, potęgi i upadku szukać należy w charakterze narodowym tj. w nałogach, przywarach i wadach, w stosunkach wyznaniowych, układzie społecznym i władzy rządzącéj,—słowem we wszystkiém, tylko nie w wymyślonych przez Bobrzyńskiego kozłach ofiarnych: Kmicie, Zebrzydowskim, Radziejowskim, jezuitach, Targowicy itp. Nie wiedząc o ignorancyi Bobrzyńskiego, możnaby sądzić, że cały jego pogląd na przyczyny upadku jest parafrazą pięciu ostatnich kartek *Śpiewów historycznych* (wyd. z r. 1816), mianowicie *Uwag nad upadkiem i charakterem narodu polskiego*, ze zdumiewającą kreślonych śmiałością i mocą. Dydaktykami naśladowcy Naruszewicza byli; jeżeli jednak potrafili na racyonalny pogląd na dzieje się zdobyć; jeżeli dobrze wiedzieli gdzie szukać przyczyn upadku, a odkryte z całą otwartością wygłaszali w przemówieniach publicznych, jak Staszyc lub w objaśnieniach do poematów, jak Niemcewicz, zarzutu „czczéj deklamacyi i frazeologii“ ściągać na siebie chyba nie mogą. Prawda, co skonstatował Bobrzyński, że „dekoracya i moralizowanie, zajmując miejsce sądu historycznego i prawdy dziejowéj, wystąpiły... w owém mnóstwie dramatów i epopei, pozostawionych nam przez poezyę naszą pseudoklasyczną;—lecz zapytać się godzi, czy słuszném jest żądać od dzieł tego rodzaju „sądu historycznego i prawdy dziejowéj“? czy zresztą wypada grzechy poetów zwalać na barki dziejopisów, zadośćczyniących wymaganym warunkom.

Z powierzchownéj krytyki, jaką Bobrzyński dotknął dziejopisów XVIII i pierwszéj ćwierci XIX wieku wypadałoby sądzić, że pomiędzy szkołą Naruszewiczowską a krakowską pokrewieństwa nie ma żadnego; rzetelniejsze zbadanie rzeczy prowadzi do wniosku, że historyozoficzne poglądy uczonych podwawelskich są echem głosów dawno przebrzmiałych. O rząd silny, karność, armię i skarb w dziełach szkoły Naruszewiczowskiéj potrąca czytelnik na każdéj niemal stronicy, tak samo jak w pismach autorów, grupujących się około

Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, jak w czasach najnowszych w rozprawach Kalinki, Szujskiego i Bobrzyńskiego. Wtajemniczeni w twórczość dziejopisarską wiedzą, jak różny z jednéj i téj saméj sumy faktów dwaj historycy, rozporządzający jednakową metodą i równą znajomością nauk polityczno-społecznych, zrobić mogą użytek. Uczeni wieku XVIII, korzystając z jednych i tych samych źródeł, czerpiący znajomość nauk polityczno-społecznych z Mably'ego i Russa, rozbili się w pracy dziejopisarskiéj na republikantów i monarchistów; badacze z doby Lelewelowskiéj na demokratów w ścisłém tego słowa znaczeniu, demokratów-szlachciców, ultramontanów i monarchistów; pomiędzy Szujskim i Kalinką z jednéj, a Bobrzyńskim z drugiéj strony, pomimo punktów stycznych, w poglądzie na takie fakta, jak humanizm, reformacya, różnice zachodzą krzyczące. Jeżeli uczeni jednéj miary i jednakowych zasobów dochodzili w badaniach do rezultatów najzupełniéj przeciwnych,—czemuż przypisać, że na wspólnéj podstawie historyozoficznéj spotkała się szkoła krakowska z Naruszewiczowską, pomimo tego, że biskup smoleński czerpał fakta przeważnie z Długosza, a umiejętność polityczno-społeczną z Russa, Bobrzyński zaś korzystał z najnowszych monografii krytycznych, a wiedzę prawną zapożyczył od antytezy filozofa genewskiego, od Mohl'a? Przypisać to wypada doktrynie, wspólnemu kultowi monarchizmu, w którym reformatorzy wieku XVIII szukali ratunku, a uczeni krakowscy prawdopodobnie szukają—także ratunku. Że ostatni za podstawę uogólnień przyjęli doktrynę i to konserwatywną, nie jestto, zdaniem naszém, rzeczą wypadku, Kraków bowiem stanowi siedlisko dogmatów w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu. Odziedziczywszy po przeszłości katolicyzm; stawszy się, zbiegiem warunków historycznych, siedliskiem arystokracyi i konserwatorem pamiątek; pogrążył się w dogmatyzmie zachowawczym, kołysanym prądami politycznymi, wiejącymi od Wiednia. Warunki historyczne niezależność poglądów w Krakowie tamują; położenie na drogach pomiędzy Lwowem, Warszawą i Wiedniem zmusza do ruchu, niewypierającego przecież myśli po za ściśle oznaczoną orbitę doktryn.

Zapatrywanie się na przeszłość ze stanowiska wspólnéj doktryny doprowadziło uczonych, na przeciwległych krańcach wiedzy stojących, do identycznych wniosków, że Polskę zgubił brak rządu. Obie szkoły protegują rząd silny monarchiczny, chociaż skalę natężenia jego krakowska doprowadza do despotyzmu, gdy Naruszewiczowska w ramy konstytucyi władzę króla chce ująć. Daleką jest od biurokratyzmu, unifikacyi religijnéj i wszystkich protegowanych przez szkołę krakowską plag państwa policyjnego; poszanowanie ma

dla najdroższego cywilizacyi dorobku—wolności obywatelskiéj i tolerancyi; nie wyrzuca przeszłości, że nie porodziła potworów takich, jak Filip II i Iwan.

Nic w zasadzie pod względem historyozoficznym uczeni krakowscy nie wymyślili nowego (1), nie różnią się też od szkoły Naruszewiczowskiéj w pojmowaniu dziejopisarstwa i jego celów.

Pomysły Buckle'a, że zadaniem historyi powinno być poszukiwanie praw niezmiennych, rządzących ludzkością, zarówno jak i ogłoszone przez tegoż uczonego tak zwane prawdy zasadnicze nie znalazły śród historyków naszych uznania. Przeciwko prawom w znaczeniu przyrodniczém oświadczył się konserwatywny Plebański; przeciwko prawdom myśliciela angielskiego Pawiński, Korzon i inni (2). Jeżeli jednak Pawiński i Korzon kwestyonują jedynie zasadność prawd samych, jeden z przedstawicieli szkoły krakowskiéj, bezwzględny przeciwnik Buckle'a, Smolka (3), nie zgadza się na definicyę historyi, jako nauki, mającéj na celu badanie praw, rządzących ludzkością. „Jeszcze, powiada autor, bynajmniéj nie stwierdzono, jakoby takie prawa niezłomne i niewzruszone istotnie rządziły życiem i rozwojem ludzkości; nie podniesiono tego zapatrywania do wysokości pewnika naukowego i wskutek tego mamy zupełną swobodę zgadzać się z nim lub nie zgadzać.... Nie przeczymy, ciągnie daléj, tych praw stanowczo, ale przyznajemy, że jeżeli są, my ich nie znamy"... Zna nawet Smolka niektóre prawa w dziedzinie stosunków ekonomicznych, ale „nikt jednak, powiada, wymagać od nas nie może, żebyśmy się przekonali, że takie prawa rządzą wszelkimi objawami życia i rozwoju ludzkości; iż wszystko, co czynimy, wszystko, co się wśród nas dzieje, jest naturalnym i nieodmiennym tych praw wynikiem, tak jak wszelkie zjawiska w świecie przyrody z odkrytych i nieodgadnionych praw natury z niezłomną wynikają koniecznością."

---

(1) Bobrzyński, nie znając literatury wieku XVIII, zdaje się być najmocniéj przekonanym o oryginalności swoich poglądów; za to świadom rzeczy Szujski pokrewieństwa swego ze szkołą Naruszewiczowską nie taił. „W traktowaniu dziejów od Naruszewicza czasów wchodzimy dzisiaj w epokę różną od téj, która czas od r. 1825 do 1861 wypełniała; różną też, acz poniekąd bardziéj pokrewną téj, którą reprezentował Naruszewicz i jego epigonowie. Cokolwiekbądź pozostawiał do życzenia biskup łucki i jego następcy, oddać im trzeba słuszność, że sam fakt zapamiętania lub czynnego przebycia ostatnich zapasów upadającego państwa wpłynął korzystnie na ich sposób pojmowania dziejów, na sąd, który o nich wydawali, a który był zarazem ugruntowanym sądem poważniejszéj i dojrzalszéj części narodu. Wadom rzeczypospolitéj zbyt byli bliskiemi, aby ich nie znali; doświadczenia zbyt naocznemi, aby się mylić mogli w wskazywaniu obłędów politycznych, jakie spotykali w dziejach" (*Historyi* str. II). — (2) Plebański. O historyczném znaczeniu Juliusza Cezara (*Biblioteka warszawska* z r. 1865, t. III i IV). Pawiński. H. T. Buckle (tamże, r. 1868, t. IV). Korzon. Historycy pozytywiści: Buckle, Draper, Kolb (tamże, r. 1870, t. III). — (3) Słowo o historyi.

Argumentacya Smolki jest dość zabawną. Trzeba się zgodzić z autorem, że niewolno jest *a priori* twierdzić, *jakie* prawa ludzkością rządzą: lecz niemożna zasadnie (choćby tylko na podstawie analogii, której i Smolka używa chętnie) zbiorowego człowieka z pod prawidłowości rozwoju usuwać. Przy dzisiejszym stanie wiedzy ogólnéj nie chodzi już o to, *czy* prawa ludzkością rządzą; lecz idzie o zbadanie ich natury i jakości. Sam Smolka powiada, że nie śmie istnienia praw zaprzeczać stanowczo, ale ich niezna... W takim razie potrzebę ich poznania musi chyba uznawać, a jakąż drogą do poznania owego dojdzie, jeżeli nie przez zbadanie zjawisk, dotyczących całego procesu życia ludzkości.? Pomiędzy Bucklem a Smolką ta pod omawianym względem zachodzi różnica, że pierwszy powiada: prawa ludzkością rządzą i znam je; gdy drugi: prawa ludzkością zapewne rządzą, lecz nie znam ich. Buckle wrzekome prawa swoje opiera na współczesnéj wiedzy ogólnéj i zbadaniu przeszłości; Smolka dla tego, że praw nie zna, odmawia nauce historyi kompetencyi do ich szukania. Jakaż więc nauka szukać ich będzie?

Bojując z Bucklem, podaje Smolka definicyę historyi własną. „Cóż jest zatém historya? Jestto suma ogólna wszystkich wydarzeń, odnoszących się do pewnego danego przedmiotu od pierwszych pojawów jego istnienia aż do chwili, w któréj istnienie jego się kończy.“ Historya taka, jaką pojmuje autor, nie może rościć pretensyi do wysnuwania z materyału praw ogólnych i układania ich w system. Jeżeli przez naukę rozumiemy badanie zjawisk i wyprowadzanie odnośnych wniosków, Smolka zaś kompetencyi podobnéj historyi odmawia,—dziejopisarstwo opowiadaniem jest tylko o przedmiocie jakimś od początku do końca...

Według Bobrzyńskiego, praca dziejopisa jest niczém inném, jak zebraniem faktów i zastosowaniem do nich wyników nauk społecznych i politycznych; zadanie historyi polega na stwierdzeniu i sprawdzeniu prawd ogólnych, znanych skądinąd (1). Jest więc według Bobrzyńskiego historya umiejętnością pomocniczą nauk społecznych i politycznych: ostatnie torują drogę, stanowią podstawę i punkt wyjścia dla pierwszéj, gromadzącéj dla tamtych materyały, udzielającéj nowych spostrzeżeń. Oprócz naukowego, ma, zdaniem autora, historya, jako *magistra vitae* i zadanie społeczne: stosując ogólne prawdy do przeszłości narodu, powinna przedstawić jego charakter, warunki i zasoby, wybitne kierunki i dążenia, uwydatnić zasady umiejętne, które największą odgrywają rolę w jego rozwoju i życiu.

Pod wpływem krytyk: Szujskiego i Smolki, Bobrzyński od definicyi swojéj odstąpił znacznie. Przyznaje, że jako prawnik, nie

---

(1) W imię prawdy dziejowéj. Warszawa, 1879, str. 10 i 15.

może nie wierzyć, że wszystkie objawy życia społecznego i politycznego narodów pewnym podlegają zasadom; ponieważ jednak nieskończona ilość zjawisk dziejowych jest jeszcze niewyjaśnioną i niezrozumiałą, przeto na prostém ich zanotowaniu ograniczyć się radzi. Nie poczytuje już historyi za sprawdzian praw społecznych i politycznych, lecz za umiejętność samoistną, mającą przedstawić obraz życia narodu w całym jego przebiegu i we wszystkich objawach dziejowych. Zgadza się z Szujskim i Smolką, że znajomość nauk społecznych i politycznych daje historykowi jedynie możność i zdolność do oceniania faktów dziejowych, które przedstawione być powinny w związku przyczynowym, tym samym, jaki je niegdyś łączył w rzeczywistości.

Nie zapewniało Towarzystwo przyjaciół nauk o wierze swojéj w istnienie praw, rządzących ludzkością; wiedziało jednak o przyczynowym związku faktów i zalecało uwydatniać go wszędzie. Nic przeto szkoła krakowska w pojmowaniu dziejopisarstwa nie wymyśliła nowego; daleką jest nawet od wypełnienia programu, nakreślonego w r. 1809 przez Towarzystwo przyjaciół nauk. To, co głosi Bobrzyński o dokonanéj wrzekomo przez szkołę krakowską zmianie „kierunku i ducha historycznéj pracy“ poczytujemy za przechwałki; ogłoszony przez tegoż autora trzyparagrafowy kodeks dla dziejopisów niczego nie uczy, a żadną nie jest nowością. Nie znamy historyka, któryby wyznawał zasadę nakręcania faktów dla poparcia jakich bądź celów; nie było chyba takiego, któryby ignorował znajomość umiejętności społecznych i politycznych.

Tak samo jak Naruszewiczowska poczytuje szkoła krakowska historyę za mistrzynię życia, szuka w niéj „nauk praktycznych.“ Takie pojmowanie celów dziejopisarstwa zmusza do mierzenia przeszłości skalą potrzeb chwili bieżącéj, do krytykowania jéj i oceniania ze stanowiska kultu. Jak przed wiekiem, służy historya szkole krakowskiéj za przewodnika w polityce i trybunał. Zamiast możliwie objektywnego konstatowania zdarzeń, szkoła krakowska nagina je ku poparciu celów praktycznych; zamiast umiejętnego przedstawienia loiki faktów, — z wyżyn doktryny swojéj sądzi przeszłość, rzucając za nią potępienia i klątwy. Metodę taką doprowadzili uczeni krakowscy *ad absurdum*. Ileż w dziełach hołdującego doktrynie panslawistycznéj Kalinki zżymań, że stronnictwo patryotyczne na sejmie czteroletnim przechyliło się nie ku Rosyi, lecz Prusom; ileż w książce Bobrzyńskiego niezadowolnienia, że np. Polska nie popierała waśni religijnych podczas wojny trzydziestoletniéj; że Zygmunt III nie przyciągnął ku sobie ludzi ze szkoły Batorego i t. p. Podobne zachowanie się wobec faktów dziejowych w żaden sposób

umiejętném zwać się nie może, robi zaś wrażenie takie, jak utyskiwanie na ciążenie ku sobie ciał, na obrót księżyca lub inne prawa przyrody.

Na potrzebę przeciwdziałania zapatrywaniom mierzącéj przeszłość piędzią nowożytnego liberalizmu szkoły Lelewelowskiéj zgodzić się można; nie usprawiedliwia to przecież poglądów uczonych krakowskich, skoro w miejsce jednéj doktryny stawiają inną, skoro wpadają w skrajny, również wymagający hamulca reakcyi pesymizm. Bojowanie przeciwko doktrynie orężem innéj, i to po wielekroć stosowanéj, pożytku nauce nie przynosi żadnego, nie nasuwa bowiem nawet nowego ku obserwowaniu przeszłości punktu widzenia.

* * *

Doktrynerya, która w poglądach szkół wszystkich tak jaskrawo uderza, a fałszywe światło rzuca na dzieje, z dwóch, zdaniem naszém, pochodzi źródeł: 1) historycy, zająwszy rolę polityków, usiłowali współczesnemu sobie społeczeństwu dostarczyć wysnutych z doświadczenia przeszłości wskazówek praktycznych; 2) całą uwagę zwrócili ku wyjaśnieniu zasadniczego, według nich, fenomenu — upadku państwa. Oba motywa w ścisłym z sobą są związku, chociaż charakter rdzennego przyznać wypada pierwszemu: wprzód skrystalizować musieli w sobie pisarze widzenia polityczne, nim się do uprawy historyozofii zwrócili. Że w motywach ostatnich czasów rzeczypospolitéj spodziewali się najmocniejsze znaleść stwierdzenie swoich teoryi politycznych, na upadek przeto, jako na fenomen, wrzekomo ogniskujący w sobie treść przeszłości, całą w badaniach historycznych zwrócili baczność.

Kwestyę, czy do historyi należy służba względom praktycznym, rozstrzygają ogólne pojęcia o nauce, która niema innego zadania nad konstatowanie i objaśnianie zjawisk. Dla botanika obojętną jest rzeczą, czy odkryta przez niego własność danéj rośliny znajdzie zastosowanie w medycynie lub kuchni; nie należy również do historyka wyciąganie z przeszłości nauk praktycznych. Z badań botanicznych ciągnie pożytek kucharz, z dociekań dziejowych mąż stanu; praktyczne jednak z nauk korzyści nie koniecznem następstwem, lecz są jedynie przypadkiem. Botanik, któryby nieobiecujące praktycznego zastosowania strony badanych przez siebie zjawisk pomijał, do wniosków by doszedł ułomnych; historyk, poszukujący w przeszłości pożytecznych dla chwili obecnéj wskazówek, nie stwarza dziejów, lecz pamflet. Ignorowanie korzyści praktycznych, jakich przypadkowo nauka może dostarczyć, stanowi jądro obiektywizmu, niezbędnego do wszechstronnego zgłębienia zjawisk. W zawodzie historyka, który namiętnościom podlega, wyznaje zasady i żywi sym-

patye, obiektywizm bezwzględny do osiągnięcia jest trudny; pożądany jest przecież w stopniu możliwie najwyższym. Rezygnuje z niego dobrowolnie dziejopis-polityk, wyzyskujący materyał historyczny ku usłudze chwili bieżącéj, jak to czynili: Naruszewicz z epigonami, Lelewel, Hoffman, Dzieduszycki, Walewski, a w czasach ostatnich Szujski, Kalinka, Bobrzyński, poczytujący przeszłość za zbiornik eksperymentów ku pożytkowi przyszłości. Dla utrzymania względnego obiektywizmu wypadałoby przedewszystkiém zerwać z cyceronowską definicyą historyi i uznać, że nauka dziejów, jak każda inna, nie ma innego zadania nad konstatowanie i badanie natury zjawisk w celu odkrycia praw, rządzących światem. Nie trzeba chyba dowodzić, że dzieje saméj Polski praw owych odsłonić nie mogą, że naukowego istotnie znaczenia nabierają dopiero w związku z historyą powszechną. Dziejopis pojedynczego narodu jest monografistą, dostarczającym materyału do historyozoficznych badań ogólnych. Szczegółowi, zwanemu dziejami Polski, naukową wartość nadaje przestrzegana w badaniu jego bezinteresowność i ścisłość.

Historyozofowie nasi całą baczność zwrócili na fenomen upadku państwa; ku wyjaśnieniu jego całą zużyli dyalektykę i wszystką swą wiedzę. Przyczyn upadku poszukując w czasach zamierzchłych, cały proces przeszłości nawłóczą na jedną nić czarną, ginącą w olbrzymiéj ruinie. Stosownie do wyznawanéj doktryny politycznéj, na któréj fundują budowę świetniejszéj przyszłości, jedni przypisują upadek słabości rządu monarchicznego, drudzy sprzeniewierzeniu się prawowierności katolickiej, inni społecznemu konserwatyzmowi. Zależnie od owéj doktryny, na podstawie motywów ostatnich chwil rzeczypospolitéj jedni w danéni zjawisku upatrują rozkład, drudzy objawy zdrowia, troskliwie zaś wszyscy fenomeny różne nanizają na nić dostrzeganego w przeszłości upadku, by ją nawiązać z katastrofą rozbiorów. W taki sposób katastrofa upadku spożytkowaną została do oświetlenia wypadków wstecznych, stała się kryteryum potępiania zdarzeń i ludzi, nieodpowiadających doktrynie, a uwielbień tych faktów i osobistości, które czynią jéj zadość.

Branie katastrofy upadku za punkt wyjścia w poglądzie na przeszłość jest z gruntu rzeczą fałszywą, dla dziejów szkodliwą. Fakt upadku państwa, ważny dla historyi w stuleciu bieżącém, bezzasadnie wzięty został za motyw zasadniczy przy uprawie dziejów przedrozbiorowych. Fakt upadku musi być punktem wyjścia do historyi porozbiorowéj, zmienił bowiem warunki dalszego rozwoju tak samo, jak w XIII stuleciu najazdy tatarskie i kolonizacya Niemców, jak w XIV wieku zjednoczenie z Koroną obszarów Litwy i Rusi; nie widzimy jednak racyi naukowéj do przyjmowania go za główny wątek

przy badaniu całéj przeszłości. Czyż przeszłość gromadziła jedynie materyał dla sprowadzenia upadku? czyż obok wadliwéj organizacyi państwowéj nie rozwijała motywów innych? Upadek państwa nie doprowadził bytu naszego do kresu, lecz stworzył jedynie przełom; nie unicestwił narodu, lecz tylko zmienił warunki jego rozwoju. Ów byt nasz i rozwój w stuleciu bieżącém ważniejszym jest przecież rezultatem pracy przeszłości, niż ruina państwa, bez którego możemy—bo musimy—się obejść. Rdzenniejszym przeto, niż stracenie bytu politycznego, jest motyw gromadzenia dorobku moralnego, który zagwarantował byt dalszy i rozwój; racyonalniéj by było przyjąć za punkt wyjścia do dziejów genezę i formacyę rzeczonego dorobku, niż ogrywanie wszystkich strun przeszłości na temat upadku. Zrozumiałą by była wyłączność motywu upadku w dziejach *państwa*, lecz nie *narodu*, który stanowi główny przedmiot badania historycznego i który po zaniku bytu politycznego istniéć nie przestał. Historyk państwa musi ciągle miéć na uwadze upadek, w nim bowiem znajduje kres badań; dla dziejopisa w rozległém tego słowa znaczeniu zniszczenie warunków bytu politycznego wagę powinno miéć względną. Instytucya, zwana państwem, nie ogniskuje w sobie wszystkich życia promieni; dzieje jéj nie są kwintesencyą przeszłości. Obok urabiania form życia państwowego naród polski snuł wątek cywilizacyjnego dorobku, który przetrwał upadek i główny dziejów naszych stanowi motyw. Upadek państwa w związku z zasobami moralnymi społeczeństwa z końca wieku XVIII musi być punktem wyjścia do historyi w stuleciu bieżącém, lecz nie powinien służyć za normę do oceniania wypadków wstecznych, nie powinien być zasadniczym całych dziejów motywem.

Wyzwolenie badań dziejowych z więzów polityki praktycznéj i zaniechanie naciągania przeszłości do motywów upadku starłoby z historyi panujące w niéj od wieku piętno dydaktyzmu, niemającego żadnego z nauką związku. Praktykowany przez doktrynerów system karcenia lub uwielbiania zdarzeń i ludzi ustąpić by musiał badaniu obiektywnemu; utyskiwania, że tok przeszłości nie zwrócił się w kierunku monarchicznym, ultramontańskim lub rewolucyi socyalnéj, zamilknąćby musiały przed loiką faktów, przed koniecznością dziejową, któréj wobec rezultatów nauki ogólnéj za chimerę poczytywać niewolno. Konsekwencye oceniania przeszłości przez szkła interesów stronnictw politycznych, poszukiwania w niéj wskazówek praktycznych zaciążyły na dziejopisarstwie naszém fatalnie i dotykać je będą dopóty, dopóki rozszerzenie w społeczeństwie gruntowniejszych o nauce pojęć nie powstrzyma od nadużywania imienia historyi.

Władysław Smoleński.



ZMIENNOŚĆ MORSKIEGO POZIOMU.

Badając zamierzchłą przeszłość naszéj planety, przekonywamy się, że stosunek powierzchni lądów i mórz ulegał ciągłym zmianom. Warstwy, spiętrzone dzisiaj w szczyty najwyższych gór, pogrążone były niegdyś w szumiących falach oceanu. Brak niektórych numerów w szeregu formacyi osadowych wskazuje, że w odnośnym geologicznym peryodzie dane obszary wynurzyły się z łona wód, by późniéj znów się pogrążyć a dziś nakoniec znów objawić przed oczami badacza.

Lecz nietylko w odległéj przeszłości geologicznéj ziemia nasza przechodziła takie zmiany; i obecnie, w epoce historycznéj jesteśmy ich świadkami, choć w ciągu krótkiego życia ludzkiego zmiany te są drobne w porównaniu do tych; jakie poznać możemy pośrednio z badania odległych epok geologicznych. Mimo to wiemy, iż w wielu miejscach rolnik uprawia dziś te obszary, na których ojcowie jego zarzucali sieci, że wiele kwitnących niegdyś miast portowych leży dziś zdala od brzegu lub że, chcąc utrzymać swe stanowisko portowe, musi wędrować za ustępującém morzem. Że daléj zatoki morskie zmieniły się w nadbrzeżne jeziora, głębie w mielizny, mielizny w wyspy, że te ostatnie zrosły się z lądem i zamieniły w haczykowate półwyspy lub całkiem posunęły we wnętrze lądu, tworząc lesiste wyniosłości śród obszernych łąk (Szwecya) i t. d. i t. d. Że odwrotnie na wyspach nadbrzeżnych żyją stworzenia, któreby się tam przez wody dostać nie mogły, jak szakal na wyspach Dalmacyi (1), apteryx (kiwi), ptak bezlotny na nadbrzeżnéj wysepce koło Nowéj Zelandyi (2); że na dnie morza dają się spostrzegać pnie dawnych

(1) Ob. Unser Wissen von der Erde 1886, II, str. 21.

(2) Ob. G. Hahn. Untersuchungen über das Aufsteigen und Sinken der Küsten. 1879, str. 67.

lasów, torfowiska (1), przedłużenia dolin rzecznych (rz. Hudson (2)) szczątki budowli ludzkich i t. d. i t. d.

Wszystko to dowodzi, że stosunek lądu i morza, że linia brzegowa ulega i w naszych czasach ciągłym choć powolnym zmianom.

Rodzi się więc pytanie: jaka jest istota i przyczyna tych zmian? Czy są one rezultatem zmian poziomu lądów, czy też poziomu mórz i jakie siły wywołują zmiany jednych lub drugich?

Pierwsze wrażenie, jakie zmiany te wywierają na mieszkańców morskiego wybrzeża jest, iż morze ustępuje, „wysycha“, lub téż, że wzbiera, zalewa brzegi. Człowiek naturalnie bardziéj skłonnym jest przypisać zmianę tak ruchliwemu żywiołowi jak woda, aniżeli lądowi, który przyzwyczailiśmy się uważać za żywioł „stały“ i którego najlżejsze wstrząśnienie przejmuje nas najwyższym podziwem i zgrozą. To pierwotne surowe objaśnienie podzielali i pierwsi naukowi jego obserwatorowie: Celsiusz na wybrzeżach Szwecyi i Carsten Niebuhr na przesmyku Sueskim. Ale to surowe objaśnienie przyrostu lądu przez ustępowanie morza łatwo było obalić zarzutem, iż morze powinno w takim razie wszędzie ustępować, tymczasem na innych wybrzeżach wzbiera ono, oraz że znaki dawnéj linii brzegowéj nie są równoległe do obecnego poziomu morza. To téż wkrótce nad zjawiskami temi zapanowała wszechwładnie buchowska teorya wulkanistyczna: zmiany te przypisała ona wyłącznie lądowi, a jako przyczynę uznała oddziaływanie wewnętrznego ognisto-płynnego jądra na twardą skorupę ziemi. Dopiero w ostatnich dziesiątkach lat, gdy i innym siłom, jak sile wody i procesom chemicznym przyznano przynależną im część w procesie ukształtowania i przekształcania powierzchni ziemi, okazało się, iż wyżéj wspomnione zmiany są zjawiskiem bardziéj skomplikowaném, nawet w takim razie, gdyby istota ich leżała w samych lądach. Mianowicie procesy chemiczne pod niewielkiem ciśnieniem mogą wywoływać zmiany w objętości znacznych obszarów lądu, a stąd wzniesienie; znaczne obszary pulchnych napływów mogą pod własnym ciężarem osiadać, stąd obniżanie brzegu. Daléj grube warstwy napływów osadzone na dnie morza odziewają ziemię niby nową szatą, utrudniają jéj ochładzanie, podnoszą w danéin miejscu geoizotermy, t. j. podnoszą temperaturę warstw ziemskich; każde zaś wzniesienie temperatury musi wywołać powiększenie objętości, a więc fałdowanie, podno-

---

(1) Ob. C. Königl. Moor und Torf. (Zeitschrift für Wissenschaftliche Geogr. 1885. V, str. 273 — 289.

(2) Ob. Petermann's. Mitteilungen. 1885, str. 363.

szenie warstw (1). Nie wspominamy już o tém, że naturalnie niszcząca lub budownicza praca wody musi też wpływać na ubywanie (Helgoland) lub przyrost wybrzeży (posuwanie delt w morze). Nawet wiatr, nanosząc piasek na płytkie morze lub kierując ruch morskich fal na strome wybrzeża, może bezpośrednio lub pośrednio wywoływać zmiany; przesmyk Sueski np. powstał prawdopodobnie przez nawianie piasku na płytką cieśninę (2).

Nakoniec w ostatnich latach przyznano i morzu na drodze naukowéj czynny udział w tych zmianach, przyznano „zmienność poziomu morza.“ Stąd dla zmian linii brzegowéj przyjęto nazwy niezależne od wszelkiéj hypotezy, od wszelkiéj przyczyny; mianowicie zamiast „podnoszenia i opadania wybrzeży“ — „pozytywne i negatywne zmiany linii brzegowéj“ (zalew i ustępowanie morza). Z prac w tym przedmiocie szczególniéj zasługuje na uwagę praca młodego i niezmiernie utalentowanego geografa A. Pencka, z którą mamy właśnie zamiar zaznajomić czytelnika (3).

I.

Wspomniana wyżéj widoczna na pozór prawda, że zmiany poziomu morza musiałyby się odbywać wszędzie w jednakowym sensie, okazała się wobec najnowszych badań złudzeniem. Albowiem powierzchnia morza nie przedstawia bynajmniéj idealnéj powierzchni sferoidu, jak to dawniéj sądzono, lecz odstępuje od niéj znacznie i tworzy właściwą sobie matematyczną powierzchnię, którą Listing nazwał geoidem. Powierzchnia morza wznosi się mianowicie znacznie ku wybrzeżom lądów i to nie wszędzie jednakowo; stąd wynika, że jeżeli powierzchnia morza ulegnie zmianom, to zmiany te nie wszędzie jednakowo występować będą.

Z praw równowagi ciał płynnych wynika, że ich powierzchnia musi być prostopadłą do kierunku pionu, to téż już oddawna wyprowadzono wniosek, że zboczenie pionu w pobliżu gór musi wywoływać téż w pobliżu zboczenie powierzchni morza od sferoidu, ale zboczenie to uważano początkowo za zbyt drobne. W 1842 Saigey posunął naprzód tę kwestyą, przyjmując prócz lokalnéj atrakcyi gór także wogóle atrakcyą całych kontynentów na otaczający je ocean. Ale badania Saigeya pozostały prawie nieznane; tymczasem Ph. Fischer (1868) zbadał tę kwestyą daleko gruntowniéj.

---

(1) Ob. Jentsch. Das Schwanken des festen Landes. 1875.

(2) Ob. Peschel-Krümmel. Europäische Staatenkunde. 1880, str. 12.

(3) Ob. A. Penck. Schwankungen des Meersesspiegels. 1882.

Według Fischera zboczenie pionu u wybrzeży lądów wynosi średnio 70″—80″, a więc przeszło 1′; wzniesienie zaś morskiego poziomu otrzymamy w metrach, mnożąc zboczenie pionu w sekundach przez 8. Z tego wynika, iż ocean wznosi się ku lądom średnio na 560—640 m., w niektórych zaś razach nawet przeszło 850 m., t. j. o tyle poziom morza u wybrzeży lądów jest bardziéj oddalony od środka ziemi, aniżeli pod tą samą szerokością pośród oceanu.

Fischer znalazł potwierdzenie tego rezultatu, rozważając obserwacye nad ruchami wahadła w różnych miejscowościach. Obserwacye te wykazały mianowicie zbyt wielką ciężkość (przyśpieszenie ruchu wahadła) na wyspach oceanicznych, a zbyt mały na kontynentalnych. Fischer objaśnia to zjawisko tą okolicznością, że morze u wybrzeży lądów stoi wyżéj niż pośród oceanu, t. j. że jego powierzchnia u wybrzeży jest bardziéj oddalona od środka ziemi, aniżeli pod tą samą szerokością na otwartém morzu. Na téj nowéj podstawie oblicza téż Fischer różnice poziomu morza w rozmaitych punktach. Jeżeli porównamy obserwowaną ilość wahnień wahadła sekundowego (sprowadzoną do poziomu morza) z obrachowaną na podstawie pewnego przyjętego spłaszczenia ziemi, to według Fischera różnica jednego wahnienia na dzień odpowiada różnicy wzniesienia po nad powierzchnię przyjętego sferoidu na 62,5 toazów = 122 m. (według Hanna zaś tylko 119 m.). Według tego łatwo obrachować zboczenie powierzchni morza od powierzchni sferoidu. Według Fischera, różnica ciężkości na wyspach oceanicznych i kontynentach wyraża się wogóle przez 9,3 wahnień wahadła, co według powyższego odpowiada wzniesieniu morza ku kontynentom na przeszło 1000 m.

Obliczenia Fischera były téż przez innych powtarzane: Listing np. obliczył, że morze Karaibskie i część oceanu Atlantyckiego oblewająca półn.-wsch. wybrzeża Ameryki południowéj wznosi się na 500 m. nad normalną powierzchnię sferoidu, podczas gdy oc. Atlantycki w pobliżu St. Heleny leży na 847 m., a oc. Spokojny około wysp Bonin na 1309 m. poniżéj téj powierzchni. Stąd różnica morskiego poziomu wynosiłaby przeszło 1500 m., co jest tymbardziéj uderzające, że Listing przy mnożeniu różnicy wahnień za stały czynnik przyjmuje nie 122 jak Fischer, lub 119 jak Hann, lecz tylko 110 (*). Do podobnego rezultatu doszedł téż Bruns na zasadzie matematycznéj teoryi.

(*) Z drugiéj jednak strony Penck nie zwraca na to uwagi, że niezwykłe powiększenie liczby wahnień na wyspach Bonin może téż pochodzić od cięższych mas, które być może składają w tém miejscu skorupę ziemską.

Z tego wszystkiego widocznie wynika, że powierzchnia morza nie jest bynajmniéj normalną powierzchnią sferoidu, to jest pod tymże samym równoleżnikiem nie jest we wszystkich punktach jednakowo odległa od środka ziemi; przedstawia owszem bardzo znaczne zboczenia od téj powierzchni, wznosi się ku kontynentom. Wielkość tego wzniesienia jest rozmaita, jak to wynika z natury rzeczy i z obserwacyi nad wahadłem. Teoretycznie wielkość wzniesienia morza musi zależeć od wysokości i wielkości kontynentu, od rodzaju jego wznoszenia się ku wnętrzu i od zarysu linii brzegowéj. Na wyskakujących półwyspach zboczenie pionu a stąd i wzniesienie morza będzie mniejsze aniżeli na wrzynających się zatokach.

Nie potrzeba zdaje się dowodzić, że te *nierówności* morskiego poziomu nie dają jeszcze żadnego powodu do jego *zmian*; albowiem te nierówności reprezentują właśnie równowagę, która wskutek niejednakowéj ciężkości lądu i wody musi się ustanowić i musi pozostać dopóki jakieś zewnętrzne wpływy jéj nie naruszą. Dla rozstrzygnięcia więc pytania o zmienności morskiego poziomu trzeba zbadać te czynniki, które mogą naruszyć wyżéj wspomnianą równowagę.

Zanim jednak zajmiemy się tém, musimy rozstrzygnąć poprzednio inne pytanie, mianowicie: czy *stosunek mas wody i lądu jest stały*, t. j. czy ilość wody w stanie płynnym na powierzchni ziemi ulega zmianom? Każde powiększenie lub zmniejszenie téj ilości wody musi się naturalnie ujawnić w zmianie morskiego poziomu. W kwestyi téj posiadamy mniéj materyału obserwacyjnego aniżeli zwykle przypuszczają. Wprawdzie hypoteza, że kostniejący nasz glob pochłania z biegiem czasu pokrywającą go płynną powłokę, jest bardzo prawdopodobna, tak, iż ziemia w ostatecznéj fazie swego rozwoju stanie się ciałem pozbawionem atmosfery na podobieństwo księżyca; jednakże, jeżeli na podstawie téj hypotezy musimy przypuścić z biegiem czasu zmniejszanie się ilości wody, a stąd i *zniżanie się powierzchni morza*, to z drugiéj strony jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy w zakresie czasu podlegającym geologicznéj chronologii zniżanie to dało się czémkolwiek uczuć. Penck nie znajduje żadnego dowodu na to, że od okresu Syluryjskiego ilość wody na ziemi zmniejszyła się. Nawet najstarsze warstwy, zawierające skamieniałości, pokazują, że za czasów ich tworzenia się już lądy i morza istniały obok siebie na ziemi i jeżeli ze szczątków organizmów możemy wnioskować o odpowiadających im warunkach życiowych, to musimy przypuścić, że już najstarsze morza miały skład odpowiadający dzisiejszym. Gdyby zaś z biegiem czasu masa morza zmniejszyła się znacznie, to słonność jego powinna się zwiększyć, a na to nie mamy żadnego dowodu. Penck zbija tedy dowodnie hypotezę Trautscholda,

który chciał zmiany linii brzegowej objaśnić ubywaniem morza wskutek przenikania wody w ziemską skorupę, i przychodzi do następującego wniosku: *najprawdopodobniejszą jest rzeczą, że jak od czasu wystąpienia organizmów na ziemi ogólny stan fizyczny naszéj planety nie uległ istotnéj zmianie tak też od téj chwili i ilość wody nie zmniejszyła się.* Wprawdzie w obu razach wskutek ciągłego rozwoju naszego globu odbywają się nieznaczne zmiany jego stanu, nieznaczne ubywania płynnéj ilości wody. Ale te ubywania są tak nieznaczne, iż zupełnie wymykają się od obserwacyi.

II.

Gdyśmy się upewnili, że ilość płynnéj wody, a więc i morskiéj możemy przyjąć za stałą, zajmiemy się teraz temi zjawiskami, które mogą mieć wpływ na stan równowagi między lądem i morzem.

Jedynie zmiany w grawitacyi mogą naruszyć tę równowagę, Z powyższego zaś łatwo wywnioskować, że każdy ruch lądu stałego wywołuje zmianę w grawitacyi i stąd narusza równowagę między lądem i wodą. Z drugiéj jednak strony ogólne kosmiczne warunki, jak rozmaite stanowisko ziemi względem sąsiednich ciał niebieskich, oraz zmiana w szybkości ruchu wirowego, mogą téż wywołać zmiany w natężeniu siły ciężkości. Ale zmiany te stosują się do całéj kuli ziemskiéj, i wtedy tylko mogłyby wywrzéć wpływ na rozkład lądów i wód, gdyby stała skorupa była do tego stopnia stwardniałą, iżby zachowywała się biernie względem zmian ciężkości, i nie mogła zdążać za ruchami płynnéj powłoki. Tak jednak nie jest: skorupa ziemska nie posiada dostatecznéj twardości, aby oprzéć się ogólnym zmianom siły ciężkości; ulega ona téj saméj deformacyi co i płynna powłoka. Wprawdzie gdy owe zmiany ciężkości szybko zmieniają kierunek, jak to ma miejsce przy przypływach i odpływach morza, wówczas twarda skorupa nie może tak szybko im ulegać jak płynna powłoka i wtedy powstają nieznaczne przesunięcia linii brzegowéj; gdy jednak zmiany owe działają długo i stale wówczas twarda skorupa ulega im w równym stopniu jak płynna powłoka, a więc żadne przesunięcie granicy między morzem i lądem nie nastąpi.

Jeżeli więc *ogólne* zmiany ciężkości na ziemi nie są w stanie wywołać trwałego naruszenia równowagi między morzem i lądem, to wszelkie naruszenie tej równowagi musimy przypisać *lokalnym zmianom ciężkości* na ziemi. Te lokalne zmiany ciężkości wynikają z własnych ruchów twardéj ziemskiéj skorupy. Skorupa ta wskutek stygnięcia ziemi fałduje się, a taki ruch fałdowy musi naturalnie naruszać równowagę między elementem stałym i płynnym.

Należy się więc odzwyczaić od uważania powierzchni morza za zero skali do oceniania ruchów lądu stałego. Przypuśćmy np. że na wybrzeżu płaskiego lądu powstają góry, wówczas atrakcya wywarta przez ląd na morze powiększy się i podniesienie lądu wywoła wezbranie morza. Jeżeli góry takie wzniosą się we wnętrzu kraju, a płaskie wybrzeża nie ulegną zmianie, to wskutek wezbrania morza, zostaną one zalane i pozornie wydawać się będzie, iż się obniżyły.

Odwrotnie, jeżeli poziom kontynentu obniży się, naówczas atrakcya jego na morze zmniejszy się, morze się obniży, cofnie od wybrzeża i na pozór zdawać się będzie, iż wybrzeże się podniosło. Poziom kontynentów rzeczywiście ulega obniżeniu wskutek wypłukującego działania płynących wód; obniżenie to wynosi więcéj niż 1 m. w 10000 lat. Jeżeli średnią wysokość południowéj Ameryki przyjmiemy na 400 m. to w 4 miliony lat cały ten kontynent zostałby zniwelowany, znaczna nabrzmiałość, jaką morze u wybrzeży tego lądu przedstawia, zmniejszałaby się zarazem i południowa Ameryka, zdawałaby się pozornie podlegać powolnemu wiekowemu wznoszeniu. Możemy więc wypowiedzićć ogólne twierdzenie, że lądy nieposiadające żadnych ruchów lecz wystawione tylko na niszczące działanie wypłukiwania i spłukiwania (Erosion und Denudation) będą na swych wybrzeżach przedstawiały zjawisko podnoszenia, przeciwnie zaś, lądy, których wnętrze podlega fałdowaniu a wybrzeża są stałe, będą przedstawiały na tych ostatnich zjawisko obniżania. Ale tak fałdowanie jak i spłukiwanie lądów nie odbywają się prawidłowo, ulegają różnym zmianom w różnych czasach, a stąd i zależna od nich wysokość powierzchni morza, ulegać téż będzie zmianom. Znaczy to w tłómaczeniu na zwykły język, że podnoszenie i opadanie lądów odbywa się nie z jednakiém natężeniem.

A więc tak zwane zjawiska podnoszenia się i obniżania wybrzeży nie dają zaraz prawa na wniosek, że masy lądowe ograniczone temi wybrzeżami, rzeczywiście podnoszą się lub obniżają bądź powolnie bądź nagle. Albowiem trzeba mieć zawsze na uwadze, że większe lub mniejsze fałdowanie się ziemskiéj skorupy, większe lub mniejsze spłukiwanie wywołane zmianami klimatu mogą wywierać taki wpływ na stan morza, iż będzie ono wznosić się lub opadać u wybrzeży pewnego kontynentu.

Ale ruchy twardéj skorupy mogą wywoływać zmiany linii brzegowéj nietylko przez lokalne zmiany atrakcyi, lecz także poprostu przez czysto mechaniczne wypchnięcie. Nic nie dowodzi, ażeby fałdowanie ziemskiéj skorupy ograniczało się jedynie do kontynentów; owszem powstawanie gór odbywało się téż na dnie morza. Każde

podniesienie się gór na dnie morza wypycha pewną ilość wody i wywołuje przez to wezbranie morza, pozorne obniżenie wybrzeży; masy napływów składanych przez rzeki na dnie mórz wypychają tu równoważną masę wody, co następnie ujawnia się na wybrzeżach jako ich obniżanie.

W ostatnim przypadku jedna i ta sama przyczyna wywołuje dwa skutki: napływy osadzone na dnie morza wypychają wodę i wywołują obniżanie wybrzeży, ale zarazem ląd zubożony o te uniesione przez wodę masy zmniejsza atrakcyą, a stąd powstaje zjawisko podwyższania na wybrzeżach. Rodzi się więc pytanie czy te dwa przeciwne sobie skutki znoszą się wzajemnie, czy téż jeden ma przewagę i który? Odpowiedź na to pytanie nie jest trudna. Pierwszy skutek przez mechaniczne wypchnięcie wody musi się objawić na całéj powierzchni morza, jest *ogólny*; drugi przez zmniejszenie atrakcyi danego lądu objawia się tylko dokoła tego lądu, jest *lokalny*. Naturalnie, że skutek lokalny musi być znaczniejszy, widoczniejszy aniżeli ogólny.

Tak więc ruchy stałéj skorupy warunkują rozkład lądu i wody, nietylko bezpośrednio tj. przez podnoszenie lądu z dna morskiego, a stąd wyznaczanie nowych granic hydrosfery; ale także i pośrednio, a mianowicie: najprzód przez to, że lokalna atrakcya lądów, wywołująca, jakeśmy widzieli, zboczenia morza od normalnego sferoidu na 1500 m., ulega ciągłym zmianom; powtóre przez to, że podniesienia całych krajów oraz wypełnienia mórz przez uniesione ruiny lądu warunkują wypchnięcie wody morskiéj. Ruchy lądu czy to wskutek fałdowania, czy wskutek spłukiwania, muszą zawsze pociągać za sobą ruchy powierzchni morza. Ruchy lądu, a przedewszystkiém najistotniejsza ich forma—fałdowanie jest zjawiskiem lokalném, ale wynikający stąd ruch wody udziela się większym przestrzeniom i może ujawnić się nawet w okolicach, które żadnym ruchom lądu nie ulegają. Z tego wynika, że powierzchnia morza jak nie stanowi absolutnego zera dla pomiarów wysokości, tak téż nie może służyć za skalę do oceny podnoszeń się i obniżań lądów. Wnosić więc ze zjawisk podnoszenia lub spadania na wybrzeżach o rzeczywistém wznoszeniu się lub opadaniu lądów jest to pojmować jednostronnie wieloznaczne zjawisko.

III.

Staraliśmy się powyżéj okazać, że ilość wody na ziemi w czasach obecnych i w bliższéj przeszłości za stałą uważana być może, a przynajmniéj, że nic nieznaczące jéj zmniejszenie nie grało żadnéj

roli w zmianach granicy, między wodą i lądem. Ale ta ilość wody nie zawsze w całości związaną jest z oceanem: nie mamy tutaj na myśli nic nieznaczącego w porównaniu z morzem nagromadzenia wody na kontynencie, lecz tę ilość, która w kształcie lodu pokrywa znaczne przestrzenie lądu. Ta odjęta morzu i nagromadzona na lądzie ilość wody nie jest już tak nic nieznacząca. Grenlandya cała z wyjątkiem wybrzeży jest pokryta lodową powłoką na przestrzeni do 35,000 mil □. Daléj przynajmniéj 1000 mil □ lodu pokrywa Szpicberg, przeszło 500—Kraj Franciszka Józefa. Znaczne lodowce spoczywają w Islandyi i północnéj Nowéj Ziemli, jak również w północno-amerykańskich krajach sąsiednich z Grenlandyą. Tak więc tylko na północnéj półkuli ze 40000 mil □ leży pogrzebane pod lodami, co stanowi 0,65% całego obszaru morza. Jeszcze znaczniejsze zlodowacenie przedstawiać musi półkula południowa. Croll ocenia je na $^1/_{23,46}$ całéj powierzchni morza, Penck na $^1/_{26}$, czyli na 250000 mil □. Jeżeli grubość lodowych mas borealnych, przyjmiemy średnio na 500 m. zaś australnych na przeszło 1000 m. (z powodu większego ich obszaru), to pierwsza wynosić będzie $^1/_7$ a druga $^2/_7$ średniéj głębokości morza (według Krümmla 3438 m.). Na zasadzie powyższych cyfr oraz ciężaru właściwego lodu = 0,9, otrzymamy ilość zlodowaciałéj wody jak następuje:

na północnéj półkuli $= {}^1/_7 \times 0{,}65 \times 0{,}9\% = 0{,}08\%$
na południowéj „ $= {}^2/_7 \times {}^1/_{26} \times 0{,}9 = 1\%$
na całéj ziemi $= 1{,}1\%$ całéj ilości wody.

Ta bardzo znaczna ilość wody, która w postaci lodu pokrywa lądy, nie jest stałą, lecz podlega znacznym wahnieniom. Nowe badania geologiczne wykazały w wyższych szerokościach geograficznych obu półkul ślady dawnego lodowego pokrycia. Nie tylko Alpy posiadały niegdyś daleko większe lodowce niż obecnie, ale cała północ naszego lądu była pogrzebana pod lodami, które rozchodziły się poczęści z wyżyn Skandynawii, poczęści z gór Szkocyi i Walii, sięgając średnio do 51° szerok. Na dalekim północno-wschodzie te skandynawskie masy lodowe zlewały się zapewne z lodowcami gór Timańskich, które znowu łączyły się, być może, z lodowemi strumieniami Uralu. Prócz tego ślady lodowców spotykamy w górach Kantabryjskich, Sierra Morena i Newada, a naturalnie i w Pirenejskich, daléj w górach centralnéj Francyi z Sewennami, w Wogezach, Szwarcwaldzie i Harzu, górach Kruszcowych, Olbrzymich i Lesie Czeskim, w Tatrach i Alpach Transylwańskich, Kaukazie, Armenii, Libanie.

Obok wielkiego północno-europejskiego zlodowacenia stoi więcéj niż na równi północno-amerykańskie sięgające do Suskehanny,

Ohio i Missouri, połączone z lodowcami gór Skalistych, które pokrywały Alaskę i zachodnie wybrzeże do 48° szer. Azya północna nie była, zdaje się tak zlodowaciałą jak północna Europa i Ameryka, ale w każdym razie posiadała obszerniejsze lodowce niż obecnie, jak to pokazują ich ślady w Himalajach, Thianszanie i Munku Sardyk; prawdopodobnie też półwysep Czukczów i części kraju Amurskiego były pokryte lodami.

Wyspy Faroer i Islandya stanowiły własne lodowcowe centra; Szpicberg i Grenlandya też były bardziéj zlodowaciałe niż dzisiaj.

Podobnież na południowéj półkuli w wyższych szerokościach spotykamy ślady dawnego potężniejszego zlodowacenia, jak np. na zachodnich wybrzeżach Patagonii do 41° szer. i na południowéj wyspie Nowéj Zelandyi.

Trudno rozstrzygnąć czy to dawne zlodowacenie miało miejsce równocześnie na obu półkulach, czy też występowało naprzemian, ale kwestyi nie ulega, że daleko większe przestrzenie niż dziś były dawniéj pokryte lodami. Penck oblicza, że na północnéj półkuli lody pokrywały 490000 mil □, z czego 380000 przypada na ląd, zaś 110000 na płytkie morza. Między innemi, w Europie przeszło 115000 mil □ było pod lodami z czego 82000 przypada na ląd, 33000 na morze.

Zlodowacenie więc północnéj półkuli rozciągało się na obszar stanowiący 7,5% całego obszaru mórz, podczas gdy dziś wynosi, jakeśmy widzieli, tylko 0,65%; a zatém dawniéj przeszło 10 razy większy obszar był pokryty lodami na północnéj półkuli niż dzisiaj. Jeżeli średnią grubość tych mas dyluwialnych przyjmiemy tylko na 1000 m. to jest na $^2/_7$ średniéj głębokości morza (3500 m.), to znajdziemy, że masy lodowe na północnéj półkuli stanowiły wówczas $7{,}5 \times {}^2/_7 \times 0{,}9\% = 1{,}9\%$ masy morza. Lecz zmniejszenie objętości morza o 1% wywołuje zniżenie jego powierzchni na 35 m. a zatém zlodowacenie północnej półkuli pochłonęło tyle wody, iż morze musiało się zniżyć na 66, 5 m. Przytém przypuszczaliśmy, że zlodowacenie południowej półkuli było takie samo jak dzisiaj; ale nawet w takim razie gdyby zlodowacenie to w owe czasy nie istniało, to i tak zlodowacenie północnéj półkuli zabsorbowało by tyle wody, iż poziom morza zniżyłby się na 30 m.

Ale te wielkie masy zmarzniętéj wody w epoce lodowéj nie tylko zmniejszały ilość wody płynnéj, lecz także powiększały masę lądów; a zatém wpływały dwojako na naruszenie równowagi między lądem i wodą. Z jednéj strony wywoływały one ogólne obniżenie poziomu morza, z drugiéj strony, powiększając atrakcyą lądów, wywoływały lokalne podniesienie poziomu morza. Naturalnie, że

działanie lokalne było widoczniejsze w rezultacie niż działanie ogólne. Penck obrachowywa, że masy lodowe, pokrywające Europę w epoce lodowéj, wywołały na wybrzeżach zachodnich wzniesienie morza na przeszło 100 m.

Naturalnie, że to wzniesienie morza do koła pokrytego lodem lądu nie wszędzie było jednakowe, lecz podlegało ze swéj strony znowu różnym lokalnym modyfikacyom. Dla tego po zniknięciu pokrywy lodowéj spotykać będziemy na wybrzeżach, ślady dawnego wyższego poziomu morza nie na jednéj wysokości nad dzisiejszym jego poziomem, lecz na różnych odpowiednio do różnéj siły atrakcyjnéj dawnych mas lodowych. Prócz tego dają się dostrzegać i inne nieprawidłowości pochodzące stąd, że każda zmiana lokalna lub ogólna w stopniu zlodowacenia wywołuje odpowiednią lokalną lub ogólną zmianę w poziomie morza. W czasie więc epoki lodowéj powierzchnia morza musiała szczególniéj ulegać ciągłym zmianom.

Ideę związku między zlodowaceniem i zmianami poziomu morza pierwszy wypowiedział Adhémar w r. 1842 w dziele „Revolutions de la Mer.“ Według tego uczonego, okolica polarna téj półkuli, któréj zima przypada w punkcie odsłonecznym (Aphelium) ulega zlodowaceniu. Utworzona tym sposobem misa lodowa (Eiscalotte) przeciąga środek ciężkości kuli ziemskiéj ku jednemu z biegunów, a stąd wywołuje ogólne przelanie się wodnéj powłoki. Pogląd ten w Niemczech został podjęty i rozszerzony przez Bruchhausena (1845), który twierdził, że polarna misa lodowa nie tylko przesuwa środek ciężkości naszego globu, ale także wytwarza nowy środek przyciągania dla oblewających ją wód.

Z postępem wiedzy odkryto wiele podstawowych błędów w poglądach Adhémara. Przedewszystkiém niepodobna już dziś mówić o „polarnych misach lodowych.“ Adhémar sądził mianowicie, że obie okolice polarne są pokryte potężnemi masami lodu, które na biegunie południowym sięgają do 70° szer. na północnym zaś do 80°. Wprawdzie od czasu gdy Adhémar wypowiedział ten pogląd nie posunięto się zbyt wiele ku biegunom, ale w każdym razie możemy dziś twierdzić, że nieznane okolice biegunów nie są całkowicie zlodowaciałe. Nauczono się mianowicie odróżniać pływające pola lodowe powstałe z wody morskiéj i pływające góry lodowe powstałe z odłamywania się lodowców. Jako rzecz pewną możemy dziś twierdzić, iż *morze nigdzie, nawet w najwyższych szerokościach nie jest zupełnie i trwale zmarznięte.*

Wielkie góry lodowe, które dały powód do mniemania o całkowitém zmarznięciu mórz pod biegunami, są odłamkami wielkich *kontynentalnych mas lodowych*, odłamkami polarnych *lodowców* sięga-

jących aż do morza. Lodowce zaś w swém rozprzestrzenieniu ograniczone są do lądów i to tylko do ich górzystych części. Wielkie góry lodowe mórz polarnych świadczą więc o tamtejszych górzystych lądach i *tylko te części okolic polarnych dźwigają potężną i trwałą pokrywę lodową.*

Wiadomo też obecnie, że góry lodowe mórz arktycznych są znacznie mniejsze od antarktycznych i pochodzą tylko z Grenlandyi. Tylko więc Grenlandya jest zlodowaciała, nie cała okolica polarna północna do 80° szer. Dokoła zaś bieguna południowego napotykano na wszystkich morzach olbrzymie góry lodowe na 140—160 a nawet 300 m. wysokości. Ten olbrzymi rozwój gór lodowych da się objaśnić tylko istnieniem rozległego Antarktycznego lądu. Krainy Wilkesa, Wiktoryi, Termination, Enderby, Grahama i Aleksandra są bezwątpienia tylko wybrzeżami lub forpocztami tego lądu.

Z powyższych względów Penck nie zgadza się z Wagnerem, (który powyższe krainy uważa za wązkie pasy ziemi i oblicza cały ląd pod biegunem południowym na 12000 mil □) i na obszar Antarktycznego lądu podaje 250000—300000 mil □.

Tak więc Penck wraz z Crollem uważa antarktyczne masy lodowe za lód kontynentalny, za lodowce, a nie za „polarną lodową misę" Adhémara. Wogóle sądzi, że zlodowacenie podbiegunowych okolic zależy od stosunkowego rozprzestrzenienia lądu i wody, a nie od pewnych szerokości geograficznych tak, iż w epoce lodowéj zlodowacenie rozciągało się nieprawidłowo dokoła bieguna, odpowiednio do położenia lądów.

Poglądy Adhémara na przyczyny zlodowacenia też nie znalazły potwierdzenia, ale zasadnicza idea o kolejnych epokach lodowych utrzymała się dotąd, gdyż przedstawia najlepszą drogę do objaśnienia epoki lodowéj. James Croll twierdzi, że w peryodach bardzo wielkiego mimośrodu drogi ziemskiéj, gdy różnica między długością zimy i lata dochodzi 36 dni, ta półkula, która ma dłuższą zimę przechodzi każdorazowo epokę lodową, w swych wyższych szerokościach zostaje zlodowaconą; podczas gdy druga półkula cieszy się równocześnie łagodnym klimatem. Croll twierdzi daléj, że w związku z tém jednostronném zlodowaceniem pozostają też zmiany w poziomie morza. Wraz z Adhémarem, przyjmuje on, że środek ciężkości ziemi posuwa się na tę półkulę, która ulega zlodowaceniu, a to przesunięcie środka ciężkości pociąga za sobą deformacyą płynnéj powłoki; która na zlodowaciałéj półkuli wznosi się, a na drugiéj opada. To podniesienie poziomu morza nie jest jednak według Crolla, i to jest jądro jego teoryi, największe w czasie maximum zlodowacenia. Największe wzniesienie morza ma miejsce w pewien

czas po maximum zlodowacenia, wtedy mianowicie, gdy ono na jednéj półkuli zaczyna już znikać, a na drugiéj jeszcze się nie utworzyło. A. Wallace jednak powątpiewa w kolejne zlodowacenie obu półkul, twierdzi owszem, iż w czasach wielkiego mimośrodu obie półkule równocześnie mają epokę lodową. Jeżeli więc — mówi Penck — nie możemy napewno twierdzić, że dwie półkule ziemi miały naprzemian epokę lodową, to nie możemy téż utrzymać dawnego poglądu Adhémara o każdorazowém zatapianiu zlodowaciałéj półkuli, ani téż modyfikacyi Crolla. Odwrotnie wydaje nam się, iż ze zjawisk podnoszenia i opadania można raczéj wnioskować, czy zlodowacenia występowały naprzemian na obu półkulach, czy téż równocześnie, czy nakoniec istniał pewien stan pośredni między jedném i drugiém, t. j. że jak obecnie zlodowaciałe obszary znajdują się w obu okolicach polarnych, tak téż i w czasie wielkiego lodowego peryodu lodowce znajdowały się także w obu okolicach polarnych tylko posiadały niejednakowy rozwój. W tych trzech przypadkach wpływ na stan powierzchni morza musi być różny. W pierwszym przypadku muszą nastąpić te zjawiska, które kreśli nam Adhémar i Croll. Pewna część wody odjęta morzu zgromadzi się w kształcie lodu na *jednéj* półkuli; ku téj półkuli przesunie się środek ciężkości globu i wywoła na niéj nagromadzenie wody zwiększone jeszcze atrakcyą mas lodowych. W drugim przypadku lód zbiera się w polarnych okolicach obu półkul, żadne więc przesunięcie środka ciężkości nie ma miejsca, a zatém nie ma téż miejsca żadna ogólna zmiana morskiego poziomu, lecz tylko taka, jaką wywołuje lokalna atrakcya mas lodowych. W pierwszym przypadku woda płynie z jednéj półkuli na drugą, każda półkula z kolei bywa zatopioną i ta mianowicie, która w danym peryodzie jest zlodowaciałą. W drugim przypadku znaczna ilość wody odjęta morzu zgromadza się w kształcie lodu na obu biegunach, a do tego masy lodowe ściągają ku sobie wody, a zatém *równikowa* okolica ziemi powinna przedstawiać zjawiska wynurzania. Trzeci przypadek przedstawia kombinacyą dwóch poprzednich.

IV.

Grenlandya jest krainą całkowicie zlodowaciałą we wnętrzu. Z tego wewnętrznego lodowego obszaru spływają ku wybrzeżom potężne strumienie lodowe i po części uchodzą bezpośrednio do morza, po części kończą się w jego pobliżu. Ten wewnętrzny obszar lodowy był niegdyś daleko większy. Nawet ten wąski rąbek (70 do 150 klm.), który obecnie oddziela te masy lodowe od morza, był nie-

zbyt jeszcze dawno zlodowaciały i odwrotnie w najnowszych czasach spostrzeżono znów przyrost wielu z tych lodowców, które lód wnętrza uprowadzają do morza.

Jeżeli więc istnieje jakiś związek między zmianami w zlodowaceniu kraju i stanem okolicznego morza, to musi się on objawić w Grenlandyi. Mianowicie z tego, cośmy dopiero co powiedzieli o zmianach w jéj zlodowaceniu wynika, że na jéj wybrzeżach powinny się objawić dawniejsze ślady podniesienia i mniéj znaczne lokalne ślady nowego obniżania. Obserwacye potwierdzają rzeczywiście ten teoretyczny wniosek.

Ślady wzniesienia kraju, względnie obniżenia morza napotykają się wszędzie wzdłuż zachodniego wybrzeża Grenlandyi w licznych tarasach nadbrzeżnych i dawnych liniach brzegowych, leżących nad obecnym poziomem morza. Wszystkie te zjawiska podniesienia mają jednę wspólną cechę: wskazują one, że przesunięcie linii brzegowéj nie występowało wszędzie z jednakiém natężeniem, lecz tu silniéj, tam słabiéj. Daléj zjawiska te wskazują nie na jeden dawny wyższy poziom wody, lecz na wiele i te pojedyncze poziomy nawet w pobliskich miejscach nie odpowiadają sobie.

Wszystkie te zjawiska dadzą się w sposób łatwy objaśnić przez lokalne ustępowanie lodowców, ustępowanie przerywane pauzami spokoju i niejednakowe co do siły. Wskutek takiego ustępowania atrakcya lądu zmniejszała się nie zawsze i nie wszędzie jednakowo, wywoływała więc niejednakowe obniżanie morza.

Odwrotnie najnowszy przyrost wielu lodowców wywołał obniżenie lądu: nadbrzeżne budowle oraz słupy do suszenia łodzi muszą być przestawiane, gdyż woda je zalewa; dawne budowle stoją pod wodą.

W czasach więc przedhistorycznych Grenlandya była cała zlodowaciała, od tego czasu lodowce ustąpiły znacznie i dla tego na całém zachodniém wybrzeżu widać ślady przedhistorycznego podniesienia. W czasach zaś historycznych widzimy w wielu miejscach przyrost lodu i w pobliżu tych wszystkich miejsc widać świeże zjawiska obniżania. Podobne stosunki zachodzą, jak się zdaje, i w innych krajach polarnych, np. na Szpicbergu, tylko że w krajach niezamieszkałych zjawiska obniżania są bardzo trudne do skonstatowania.

Jeżeli dzisiaj w krainach polarnych zmiany linii brzegowéj idą ręka w rękę z wahnieniami lodowców, to w epoce lodowéj musiało się to zjawisko odbywać na daleko większą skalę. I rzeczywiście spotykamy ślady znacznych zmian linii brzegowéj w owe czasy, a przytém zmiany te nie są bynajmniéj powszechne, lecz lokalne;

ograniczają się na wyższe szerokości geograficzne, a tu na dawne obszary lodowcowe, nie są więc w zgodzie z hipotezą Crolla i nie dadzą się objaśnić przez żadną dotychczasową teoryą zmian poziomu morza. Ślady dawnych linii brzegowych i tarasy szczególniéj obficie występują w Norwegii. Tarasy składają się z osadów pochodzących z epoki lodowéj, leżą w tych miejscach, gdzie doliny wstępują do fiordów i są bardzo często w widocznym związku z dawnemi liniami brzegowemi. Ślady tych linii znajdują się na brzegach biegnących w linii prostéj i powstały widocznie od uderzania fal. Te ślady dawnego poziomu morza okazują wprawdzie wiele nieprawidłowości, biegną nieraz ukośnie do obecnego poziomu morza, nie leżą w jednakowéj maksymalnéj wysokości w różnych częściach wybrzeża; nieprawidłowości te uważano dawniéj jako niezbite dowody rzeczywistego podniesienia, które nie wszędzie z jednakową siłą występowało, jednakże Penck objaśnia je bardzo dobrze za pomocą różnic w stopniu zlodowacenia różnych części kraju oraz pochyłością powierzchni morza przyciąganego przez lodowce wewnętrzne fiordów.

Nie tylko Norwegia, ale wszystkie dawne obszary lodowcowe przedstawiają zjawiska podnoszenia; przytém Półn. Ameryka przedstawia pewne osobliwości, zasługujące na bliższą uwagę. Podczas maksymum zlodowacenia rozciągało się ono w Ameryce do dorzecza Mississipi, a zatém wody wypływające z lodowców mogły spływać bez przeszkody ku południowi. Stan ten jednak zmienił się wraz z ustąpieniem lodowców i ograniczeniem ich do zlewiska zatoki Hudsońskiéj i rzeki Św. Wawrzyńca. Wówczas wody z topniejących lodów nie miały swobodnego odpływu, gdyż w kierunku pochyłości kraju ku zatoce Hudsońskiéj i rzece Św. Wawrzyńca zalegały masy lodowe; wody więc podparte przez południową krawędź lodów utworzyły między tą ostatnią i działem wodnym od Mississipi rozległe jeziora. Między innemi obecne jeziora Wyższe, Michigan, Huron, Erie i Ontario tworzyły podówczas jedno olbrzymie jezioro. Ślady dawnéj linii brzegowéj tego jeziora wznoszą się, rzecz dziwna, wyżéj aniżeli dział wodny od południa i przytém leżą tém wyżéj im daléj ku północy.

Z zupełną słusznością można sobie postawić pytanie: w jaki sposób zbiorowisko wody, które pozostawiło takie ślady, mogło wogóle istniéć i nie spłynąć ku południowi, w jaki sposób mogło miéć ukośną, ku północy wznoszącą się powierzchnię? Do tego dołącza się jeszcze jedno zjawisko: poziom owego wielkiego jeziora nie obniżał się zwolna prawidłowo, lecz peryodycznie, jak to wskazują nadbrzeżne tarasy jeziora Erie, leżące stopniowo jeden nad drugim.

Dla objaśnienia tego zjawiska przypuszczano nierówne podniesienia wybrzeży, ale daleko prościéj da się to objaśnić wahnieniami w poziomie wody. Albowiem w czasie, gdy to wielkie jezioro istniało, północ Ameryki była pokryta lodowcami, które pociągały wody jeziora ku sobie i nadały jéj powierzchnię ukośną, podniesioną ku północy. Ustępowanie lodowców, a stąd zmniejszenie się ich atrakcyi, musiało wywoływać opadanie poziomu jeziora. To ustępowanie lodowców a zatém i opadanie jeziora musiało się odbywać nieprawidłowo i stąd szeregi tarasów nadbrzeżnych jeden nad drugim.

Jedna tylko okoliczność zdaje się przemawiać przeciw teoryi Pencka, a mianowicie, że wszystkie ślady wysokiego stanu poziomu wód odnoszą się do czasu, gdy lodowce już znikały, a nie do czasu największego zlodowacenia; owszem wtedy, gdy atrakcya była największa i wody powinny były stać najwyżéj, stały one w rzeczywistości nisko, jak to badania ówczesnéj linii brzegowéj dowodzą. Penck tłómaczy to w ten sposób, że obok wzniesienia wody wskutek atrakcyi lodów było téż obniżenie wskutek jéj ubytku, a że w czasie największego zlodowacenia wody stały niżéj, to dowód, że wówczas wpływ ubytku był silniejszy aniżeli wpływ atrakcyi.

To daje nam środek ze zjawiska zniżenia poziomu wody robić wnioski o rodzaju zlodowacenia. Jeżeli mianowicie przypuścimy z Crollem kolejne zlodowacenia obu półkuli; to zjawisko obniżenia poziomu wody w czasie największego zlodowacenia nie da się objaśnić, jak to rachunek wykazuje. Przeciwnie, jeżeli przypuścimy równoczesne zlodowacenie obu półkuli, to obniżenie poziomu wody przez ubytek stanie się większe, aniżeli podniesienie przez atrakcyą (témbardziéj, że środek ciężkości ziemi w tym razie nie ulega przesunięciu) tak, iż w czasie największego zlodowacenia ląd będzie okazywał zjawiska podnoszenia, jak to rzeczywiście miało miejsce. W tym względzie Penck dochodzi do jednakowych wniosków z Wallacem, który modyfikuje teoryą Crolla: gdy według Crolla w czasie największego mimośrodu drogi ziemskiéj półkula, która ma dłuższą zimę, przebywa epokę lodową, druga zaś jest prawie wolna od lodów, to według Wallace'a w peryodzie największego mimośrodu lody zebrane w epoce lodowéj danéj półkuli nie zdołają stopnieć w czasie, gdy druga półkula przebywa epokę lodową tak, iż obie półkule są zlodowaciałe jednakowo. W peryodzie zaś małego mimośrodu lody zebrane w czasie epoki lodowéj jednéj półkuli znikają, gdy druga półkula przechodzi zlodowacenie. To objaśnia nam dla czego obecnie, w peryodzie małego mimośrodu obie półkule są niejednakowo zlodowaciałe, podczas gdy w wielkiéj epoce lodowéj u obu biegunów zalegały olbrzymie masy lodowe.

*
* *

Wszelkie dawne wyjaśnienia zmian linii brzegowéj za pomocą zmian poziomu morza upadały zawsze wskutek zarzutu, że nie odbywają się one prawidłowo. Obecnie przekonaliśmy się, że poziom morza ulega zmianom lokalnym i wskutek tego zarzut nieprawidłowości upada. Z drugiéj jednak strony nie dowodzi to bynajmniéj, aby zmiany linii brzegowéj były wynikiem jedynie zmian poziomu morza; owszem są one bezwątpienia — jakeśmy to już na wstępie nadmienili — zjawiskiem skomplikowaném, od wielu przyczyn zależném.

Wacław Nałkowski.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Liv- Est- und Curländisches Urkundenbuch, Band 8. 1429—1435, ed. Hermann Hildebrand. Riga, Moskau, 1884. 4⁰, 687 stronnic.

Drugi już tom tak ważnéj do historyi średnich wieków wogóle a do dziejów naszych w szczególności publikacyi, rozpoczętéj przez F. G. Bungego, wydaje uczony Herman Hildebrand. Jest to ósmy tom z rzędu publikacyi, staraniem baltyckiego rycerstwa i miast wydawanéj; poprzedni siódmy omówił ś. p. Klemens Kantecki w jednym z roczników naszego pisma. Obszerny 86 arkuszy obejmujący tom ósmy, obejmuje okres 1429—35, a więc epokę zawikłanych walk na Litwie, zasługuje przeto na bliższe rospatrzenie się w wydanych archiwaliach, zaczerpniętych z licznych bibliotek i archiwów, pomiędzy któremi i biblioteka Czartoryskich tudzież archiwum Tyzenhauzów w Postawach kilka ważnych dostarczyły materyałów.

Usiłowanie króla Zygmunta Luxemburczyka celem zerwania unii Polski z Litwą spełzły za życia Witołda; powtórzył je król z pomyślnym skutkiem skoro znalazł w Świdrygielle powolne narzędzie swoich machinacyi. Wprawdzie ostatni obrany został na następcę Witołda za zgodą panów i bojarów litewskich tudzież za zezwoleniem Jagiełły (366), lecz wnet wszedł w stosunki z królem Zygmuntem, szukał sprzymierzeńców w wrogim dla Polski zakonie Krzyżaków i w ogóle, wobec unii, nieprzyjazne zajął stanowisko. Natenczas postanowił król Zygmunt wziąć Świdrygiełłę pod swą protekcyą, sprawę jego podtrzymywać, a że sam oczywiście tego nie mógł wykonać, użyć w tym celu Krzyżaków (Cod. ep. Vitoldi N. MCDLXIV, p. 953). Mistrz Russdorf uległy koronie rzymskiéj, dający się kierować łatwo, nadawał się na wykonawcę planów Zygmunta a że nie był samodzielnym i łatwo dawał się wyręczać komu inne-

mu, a nadto widział, że mistrz Inflancki w téj sprawie również wielki interes pokładał, postanowił w spółce z tymże działać. Ślady tego wspólnego porozumiewania się zajmują wielką ilość aktów wspomnianéj publikacyi.

I tak 17 stycznia 1431 r. donosił Russdorf, że król Zygmunt ma przybyć do Prus a Świdrygielle ma ofiarować koronę litewską; że tenże książe proponuje zakonowi związek zaczepno odporny przeciwko Polakom i że tego samego domagają się posłowie polscy przeciwko Świdrygielle. Od propozycyi Polaków usunął się mistrz ale nie wie jak ma począć ze Świdrygiełłą. Na to odpowiada mistrz Infl. 23 stycznia, że w téj tak ważnéj sprawie naradzał się wespół ze swoimi i radzi zwlekać, oczekiwać jak się sprawy ukończą, byle tylko Litwinów nie oddalić z upokorzeniem, gdyż Świdrygiełło zawsze był wielkim zakonu przyjacielem a gdyby w nim nie znalazł opieki, natenczas mógłby się łatwo pogodzić z Jagiełłą, coby tylko zakonowi wyszło na szkodę. Gdyby się mistrz zdecydował popierać jednę tylko stronę, to zdaje się nigdy nie możnaby wesprzéć Polaków przeciwko Litwie, gdyż w nich nigdy zakon nie znalazł wiary ni przyjaźni a zresztą należało by się obawiać, że natenczas mielibyśmy całą Ruś przeciwko sobie. Lepiéj tedy stanąć po stronie Świdrygiełły i to na podstawie traktatu, który powinien być przez wszystkich bojarów i panów litewskich podpisany a obmyślany w najkorzystniejszy dla mnichów sposób. Tę myśl związku ze Świdrygiełłą pragnącym pomocy zakonu (407) poparł jak najgoręcéj król Zygmunt, to téż przyszedł do skutku w Christmemlu 19 czerwca 1431 r. (N. 462). Był to związek zaczepny i obronny, zwrócony ostrzem przeciwko Polsce, chociaż jéj nie wymieniono. Z wyniosłą pychą zaraz nazajutrz doniósł o nim książe Jagielle (463). Dnia 24 sierpnia miało nastąpić opieczętowanie dokumentów, ale Świdrygiełło pełnomocników swoich na termin nie przysłał. Musiał się bronić od Jagiełły, który z wielkimi siłami ciągnął na Wołyń, wziął szturmem Horodlo i począł oblęgać Łuck. Nawoływania Świdrygiełły o pomoc ze strony zakonu miały ten skutek, że gdy książe 1 września zawierał na dwa lata zawieszenie broni w imieniu obu mistrzów tudzież wojewody wołoskiego, tegoż właśnie dnia donosił mu Russdorf, że z trzema wojskami przekroczył granice Polski, siejąc postrach ogniem i mieczem i chcąc dowieść szczere dla księcia chęci i wiarę zakonu.

Trzy wojska zakonu paliły i mordowały ziemian polskich; jedno z Bydgoszczy w Kujawach, drugie w ziemi dobrzyńskiéj, trzecie w Krainie. Gdy właśnie w tym czasie otrzymał Russdorf od króla Zygmunta wiadomość o nieudałéj wyprawie husyckiéj, w obawie by teraz husyci nie stanęli w obronie Polaków, uprasza (10 września) mi-

strza Inflanckiego o pomoc pieniężną na wojska zaciężne. Bo że Polacy dobrze są uzbrojeni, motywuje mistrz swą prośbę, musimy i my tęgich im przeciwstawić wojowników—dlatego wam wasze posiłki odeślemy a prosimy tylko o pomoc.

Wkrótce już, bo 13 września, uległy owe nietęgie posiłki mistrza Infl. pod Nakłem we wsi Dąbki na zachód od Nakła przemocy rychle zebranego ludu polskiego. Była to szczególna pod owe czasy walka chłopów z jednéj i drugiéj strony. Znaczenie więc całéj bitwy pod Dąbkami jest pod każdym względem o wiele mniejsze, aniżeli je usiłował przedstawić Długosz. Podaje on, że hufce inflanckie składały się z 700 jezdnych a według relacyi współczesnego komtura (507) tylko 150 ludzi umknęło szczęśliwie do Fridlandu, a już ta okoliczność, że komtur doradza mistrzowi, aby kazał odesłać tych Inflantczyków i Kurów, „den is nur lose und blos folk unde doch gleichwol futirn und czeren wil“ zdaje się zupełnie stwierdzać, że i po stronie Inflantczyków nie było rycerstwa jezdnych, lecz tylko chłopi, piechota, zostający pod dowództwem rycerzy. To pewna, że komturowie Tucholski i Mitawski padli na placu boju, że marszałek Inflancki, komturowie z Człuchowa i Goldingi tudzież wójt z Grobinu dostali się do niewoli (511) i że cztery zdobyto chorągwie na Inflantczykach.

Pozycya mistrza Russdorfa była co najmniéj niewygodną; był on skompromitowany wobec Polski, z którą zerwał haniebnie pokój Melneński—narażał się na odwet, a porażka pod Dąbkami nabierała obecnie większego znaczenia aniżeli je miała w rzeczywistości. Udaje się przeto do Świdrygiełły (508) z prośbą, aby Jagiełło uwolnił jeńców inflanckich i usprawiedliwić raczył, że napad ze strony Prus, uskuteczniono z powodu niewiadomości o dokonaném pod Łuckiem zawieszeniu broni. Świdrygiełło chętnie przystał na propozycyą mistrza (512: nie *Woraz* lecz *Worany* i nie *dinstag* lecz *am montage vor Stanislai* czytać należy), przyrzekł napisać do króla Polski, czy zechce żyć w pokoju z zakonem i przyrzekł, że opieczętawanie traktatu, w Christmemlu zawartego, odbędzie się w Wilnie na Boże narodzenie. Na tę propozycyą godzi się i mistrz Inflancki (524), mający się poprzód naradzić z Russdorfem w kwestyi operacyi wojennych przeciwko Polsce (531, 533). Równocześnie i Polacy próbowali układów ze Świdrygiełłą, chcąc go nakłonić do neutralności w wojnie polsko-pruskiéj i twierdzili, że wespół z Fryderykiem Brandenburczykiem, z Mazowszanami i Tatarami tudzież z Puchałą dowódcą husytów, dadzą radę zakonowi. Że zakon nie wiele liczył na Świdrygiełłę i poznawał całą grozę sytuacyi, potwierdzają słowa mistrza, iż nigdy jeszcze nad zakonem nie wisiała tak niebezpieczna burza

jak obecnie (533). Pomimo zapewnień pomocy czynionych przez króla Zygmunta, przez kanclerza Kaspra Schlicka, pomimo że oręż zakonu opanował kilka pogranicznych zamków polskich, werbunki polskie, Puchała i husyci zaniepokajali trwożny jego umysł a i z Rzymu donosił prokurator zakonu (12. XI. 1431 r.) że skargi królowéj polskiéj i biskupa krakowskiego zniechęciły i papieża, zagniewanego na zakon już z tego powodu, iż mistrz nie złożył mu zwyczajem katolickich panujących obedyencyi. Sprawa napadu Krzyżaka na Polskę miała być pod sąd kuryalny oddaną. Z drugiéj znowu strony i Świdrygiełło nie pokładał zupełnéj ufności w siły zakonu, a dowodzą tego jego starania celem wciągnięcia w związek Christmemelski arcybiskupa Rygajskiego i biskupa Dorpackiego, z których pierwszy wraz z kapitułą swoją w żywéj niechęci pozostawał względem Inflanckiego mistrza (538, 551). Nieufność i obawy Świdrygiełły pochodziły stąd, że sprzymierzeniec jego Aleksander wojewoda Mołdawski został pobity i że partyzanci jego na Wołyniu i Podolu również doznawali klęsk od Polaków. Pomimo to obiecywał, że stosunek swój przyjazny z zakonem trwale dochowa, dlaczego téż mimo zachęty ze strony Jagiełły, nie przybył na zjazd w Brześciu lit. Do mistrza Inflanckiego mógł uczuć żal, że tenże wskutek dorady swoich komturów, proponowany związek księcia z biskupami odrzucił (561).

Chwiejna sytuacya zakonu (575, 581) w niczém się nie polepszyła. Do wojny przysposabiano się w Prusiech i Inflantach i ponownie zjechał się mistrz ze Świdrygiełłą w Christmemlu 13 maja 1432 r. Poprzysiężono tam „na krzyż święty“ dotrzymywać obustronnie warunków przeszłorocznego traktatu (590) a na wezwanie mistrza, że od strony Polski grozi mu wojna, odpowiedział książe, że ma gotowe wojska, które wyśle do Prus pod rosporządzenie w. mistrza (591). Podczas tego wchodzi Świdrygiełło w związki z synami zmarłego wojewody Mołdawskiego tudzież z Wielkim Nowogrodem (596), czując jakoby niepewne swe stanowisko na Litwie właściwéj, a Russdorf zawsze jeszcze nie wie czego się spodziewać od Polski (600). Ta ślamazarna polityka Russdorfa i Świdrygiełły, stwierdzająca wzajemną ich ku sobie nieufność, gdyż zawsze im jeszcze o opieczętowanie wzajemnego związku idzie (603), sprawia, iż tymczasem w Polsce dojrzał związek z husytami w owoc groźnéj dla zakonu wojny, na Litwie zaś rewolucya przez Zygmunta Kiejstutowica księcia Starodubowskiego przeciwko Świdrygielle zwrócona. Ostatni wierzył posłom polskim biskupowi Kujawskiemu i Zarębie, że Jagiełło chce żyć w zgodzie z zakonem i jego sprzymierzeńcami (606), dał się uwieść obietnicom wypuszczenia na wolność przez Polaków land-

mistrza Inflanckiego (610, 611), gdy ci posłowie po za plecyma jego poparli Zygmunta Kiejstutowica i malkontentów i zagrzali ich do podniesienia sztandaru rewolucyi. Jeszcze 17 sierpnia zajmował się Świdrygiełło kwestyą opieczętowania dokumentu związkowego z zakonem (619), gdy 31 sierpnia rozbity został w Oszmianie a dnia 3 września z Połocka donosił obu mistrzom o szczęśliwéj ucieczce.

Jak trafnie mistrz a raczéj kancelarya jego pojmowała stracone stanowisko Świdrygiełły, poświadcza współczesna nota kancelaryjna na owym liście z 3 września „des alden grossfursten bryef", a na propozycyą nowego wielkiego księcia Zygmunta Kiejstutowica co do wzajemnego dochowania pokoju, odpowiada mistrz, iż się zgadza— a równocześnie wzywa mistrza Inflanckiego, aby Świdrygielle nie dawał pomocy (630).

Jakkolwiek rewolucya w Oszmianie zaskoczyła i Inflanckiego mistrza wcale nadspodziewanie, jednakowoż okazał się on stalszym sprzymierzeńcem Świdrygiełły aniżeli Russdorf i odradzał temuż poświęcać księcia i zdawać go na łaskę wrogów (632). Twierdził on zupełnie słusznie, że skoro Zygmunt zwycięży Świdrygiełłę, to natenczas Litwa połączy się z Polską, skoro atoli Świdrygiełło przy pomocy Rusi zwycięży, to natenczas zakon skompromituje się wobec króla Rzymskiego, *który wszakżeż był głównym powodem i motorem naszych związków ze Świdrygiełłą* (der en ursprungh und anbegyn unser voreinunge und vorschreibunge ist gewesen). Z tego sądu wypływa, że mistrz Inflancki lepiéj pojmował sprawę i panował nad sytuacyą aniżeli mistrz zakonu, który dopiero po otrzymaniu wiadomości o związku Zygmunta z Polską 13 października 1432 zawartym, wysłał rozkaz do mistrza Inflanck. aby dopomagał Świdrygielle (634). W listopadzie donosił już mistrz Infl. jako wysłał Świdrygielle pomoc 80 kopii w 300 koni pod dowództwem dwóch komturów i że poseł książęcy na kolanach upraszał go o jak najśpieszniejsze posiłki (636).

Zygmunt tymczasem gniótł tyrańsko spiski, knute na jego zgubę przez stronników Świdrygiełły a względem Russdorfa ostrożnie i oględnie ale zawsze pokojowo występował (639). Przeciwnik jego, ufny w pomoc Inflantczyków, nawet jéj nie wyczekiwał, wyruszył z Połocka i zajął Oszmianę i z zamku *usz deme wir vortreben wurden* pisze do mistrza Infl., aby osobiście pośpieszył na pomoc (643). Ta wyprawa na własną rękę skończyła się 8 grudnia zupełną klęską Świdrygiełły pod Oszmianą, skąd powtórnie uciekł do Połocka (645). Stąd okłamywał zakon, że zaledwie 20 dobrych rycerzy utracił i prosił o pomoc, *aby się nieprzyjaciel zeń nie wyśmiewał*. I znowu był Russdorf w wielkim kłopocie, gdyż w. ks. Zygmunt w ostrym i stanow-

czyni tonie oskarżał mistrza Infl. że bez wypowiedzenia wojny—czego nawet poganie i Tatarzy nie czynią, wkroczyły wojska Infl. na ziemię Litewską. Zważcie całe niebespieczeństwo, jakie stąd grozi kościołowi rzymskiemu, skoro mistrz Infl. poprze niewiernych (649). Inaczéj doradzał komtur Gniewski, chytry Ludwik Lansee. Twierdził on mianowicie, że gdyby nie był na czas przybył i nie przyobiecał pomocy mistrza, byliby wszyscy Rusini odstąpili Świdrygiełłę, a sprawa jego na długi czas byłaby upadła; że książe za obiecaną pomoc odstępuje zakonowi Połągę (650) a skrawek téj ziemi, łączący Prusy z Inflantami, był dobrą ceną za obiecaną pomoc (651 Werthwiske miejscowość taka nie egzystuje koło Połocka i zdaje się wskazywać na Witebsk). Chwiejny Russdorf bierze na się rolę pośrednika pomiędzy Świdrygiełłą a Zygmuntem, i doradza temu drugiemu, aby zaopatrzył Świdrygiełłę jakimś kawałkiem ziemi (659 etlichen winkel des landes), na co tenże przystaje, gdy 28 stycznia 1433 r. otrzymuje wypowiedzenie wojny ze strony mistrza Infl. Russdorf już nie odpisywał w. księciu Zygmuntowi, oczekując rezultatu tego nowego napadu na Litwę.

Komtur Gniewski oburzony z powodu niestałéj polityki Russdorfa, który raz zachęcał mistrza Inflanckiego do dania pomocy Świdrygielle, to znowu odradzał i zdawał się zupełnie opuszczać księcia, czyni ostre wymówki Russdorfowi z powodu tak wręcz sprzecznych instrukcyi (661). Wskutek téj polityki mistrz Infl. oświadczył Świdrygielle, że się z nim nie połączy i sam na własną rękę będzie wiódł wojnę na Litwie—skutkiem dalszym było, że w. książe Zygmunt rósł w siły i dumę i dwakroć potopić kazał ludzi stanowiących poselstwo księcia Świdrygiełły (661). Ostre za to wymówki spotkały Russdorfa i od mistrza Infl., który w tym czasie napadł na Żmudź, spalił Uciany, Tauroginie i Uszpole (663) lecz nic ważniejszego nie dokonał i woła o pomoc Russdorfa, gdyż sam na własną rękę niczego zrobić nie zdoła (664). Rozporządzenia jego stale wprawdzie zmierzają do orędownictwa nad Świdrygiełłą (666, 668) a komtur Dynaburski w marcu powtórnie napada na Żmudź (673), nie odnosi jednakowoż żadnych ważnych korzyści. Russdorf gra podczas tego rolę sprzymierzeńca Zygmuntowego i spycha nań winę z powodu napadu Inflantczyków, bo gdyby się był z Polską nie połączył—mówi on—byłoby do tych napadów nie przyszło (669).

To temporyzowanie, ociąganie się i oczekiwanie ze strony Russdorfa, było jednak ugruntowane ciągłą obawą ze strony Polski. Staraniom komtura Gniewskiego, który powrócił do mistrza by zdać sprawę z poselstwa do Świdrygiełły, przypisać należy, że Russdorf obiecywał znowu pomoc Świdrygielle. Z powodu zamieci śnieżnych,

pisał on do Świdrigiełły i do jego sprzymierzeńców, jak do ks. Feduszka Nieświeskiego, tudzież do ks. Michała Iwanowicza, wojewody podolskiego, nie mogłem téj zimy uskutecznić napadu na Polskę; pod koniec maja, da Bóg, zamiar uskutecznię i upraszam, abyście około tego czasu i z waszéj strony napadli na Litwę z Wołochami, Tatarami i z kim tylko możebna (667).

Świdrygiełło przystał na ten projekt, zmierzający właściwie do obrony Prus, i wyznaczył 31-go maja, jako termin połączenia wojsk swoich z Inflantczykami, na co jednak nie przystał mistrz Infl. z powodu braku paszy o tej porze w Litwie (685). To téż gdy husyci w obronie Polski wpadli do Nowéj Marchii, zdobyli Friedeberg i Woldemberg, gdy spalili Landesberg, odezwał się Russdorf do Świdrygiełły z prośbą o wykonanie dywersyi na Litwie (693), żądanie tém goręcéj przedkładane, ponieważ husyci mieli się już złączyć z wojskami polskiemi (701). Dopiero 8 lipca zebrał mistrz Inflancki siły jakie tylko miał i pociągnął na Litwę, nie łącząc się wcale ze Świdrygiełłą (703). Głuche tylko wiadomości dochodzą o téj odsieczy (715, 720) przybyłéj już za późno aby dopomódz Russdorfowi, a to tylko pewna, że z wielką sromotą wyszedł z niéj mistrz Infl. (723). Russdorf 13 września musiał zawrzeć z Polską krótkie zawieszenie broni do końca roku (725), objęto niém i Świdrygiełłę, a mistrz zakonu upraszał Jagiełłę, aby dał wiadomość księciu o dokonaném zawieszeniu broni (725). Wkrótce już zmuszony był opuścić księcia, a to skoro otrzymał od mistrza Infl. wyjaśnienie, jak właściwie stoją sprawy na Litwie, zawierające smutne relacye, że wszyscy komturowie, którzy zdołali powrócić z wyprawy, leżą chorzy; jedni z nich umierają, inni leżą na łożu boleści (724, 727). Wkrótce umarł sam mistrz Inflancki skutkiem choroby, któréj się nabawił podczas wyprawy, a natenczas pełnomocnicy zakonu zawarli 12-letnie zawieszenie broni z Polakami 15 grudnia 1433 r. (743), na mocy którego zakon zupełnie opuścił sprawę Świdrygiełły.

Spragniony pokoju w. ks. Zygmunt, który tak energicznie bronił Litwy, oświadczył Russdorfowi, że zawieszenie broni, w którém i mistrz Infl. był objęty, będzie stale zachowywać (762). Postąpił sobie w ten sposób, gdyż mu nie tajne były zabiegi Świdrygiełły, aby zjednać dla siebie nowego mistrza mieczowych rycerzy, Franke Kerskorfa, który dyszał wojną i zemstą przeciwko Litwie i Polakom. Rycerski ten mąż pałał śmiertelną zawiścią przeciwko plemieniowi Lecha i Chama, przeklętym psom, jak nazywał Litwę i Polaków (1014). Podzielający taką gburowatą nienawiść komtur Gniewski agituje wespół z Kerskorfem (746, 769), aby znowu podźwignąć sprawę Świdrygiełły, staje na czele poselstwa od tegoż księcia i przedstawia prośby jego w połowie lutego 1434 w Malborgu.

Podobnie kazał oświadczyć i mistrz Infl. w Malborgu, aby nie dotrzymywano warunków zawieszenia broni. gdyż co do jego osoby, „nie godzi się mu ich zachowywać“ (779) i uskarżał się, że Żmudzini ciężko się dają we znaki jego poddanym (780). Ale nawet wezwanie tejże saméj treści ze strony cesarza Zygmunta i to na mocy nowo nadanéj mu „cesarskiéj władzy i pod grozą utraty łaski cesarskiéj“ nie skutkowało już w Malborgu. Natenczas upraszał Świdrygiełło „o dobrą radę w marcu 1434 r. (789), a w kwietniu ukartował Kerskorf cały plan dania pomocy Świdrygielle, który tymczasem odwoływał się do powagi koncylium Bazylejskiego, a Russdorfowi stanowczo oświadczył, że obsadził zamki od strony Litwy i wcale na owo zawieszenie broni zważać nie będzie (797). Cała nadzieja Świdrygiełły spoczywała w rękach mistrza Kerskorfa, który się nawet osobiście miał udać do Prus, aby Russdorfa zniewolić do akcyi wojennéj (816).

Stosownie do swéj natury nieczynnéj, polityki zwlekania, wyczekiwania i łudzenia siebie i drugich, postanowił i obecnie Russdorf biernie tylko się zachować i udawał przyjaciela Polaków a równocześnie zachęcał Świdrygiełłę słowami „że go nie opuści“ (828). Przyrzeczenie pomocy zredukowało się chyba do przesyłki Zygmunta Korybuta przez Prusy i Inflanty do Świdrygiełły (846) i do podżegania Inflantczyków, aby dali rychłą pomoc Świdrygielle. Wyprawa Inflantczyków na Żmudź w sierpniu 1434 r. spełzła na niczém (849), gdyż rycerstwo infl. „nie miało interesu osobiście stawić się do wojny.“ Skutkiem tego napad pod dowództwem komtura z Goldingen tak sromotnie się zakończył, że z 800 rycerzy żaden nie powrócił do ojczyzny (853). Drugie wojsko infl. powróciło „w dość dobrym stanie“ (855). To też w. ks. Zygmunt Kiejstutowic z ironią przyjmował posła Russdorfa, wyrażając zdziwienie, jak śmie mistrz przesyłać doń posła z dobrém poselstwem, gdy tymczasem Inflantczycy wojują i palą jego kraje? I czyż być może, aby mistrz Inflanc. śmiał i mógł bez zezwolenia mistrza zakonu wieść wojnę ze mną,— wszakżeż i mieczowi kawalerowie są ludzie zakonni, a mistrz wielki ich głową—jak można, aby wspierali schyzmatyków. Skoro kawalerowie Inflanccy są nieposłuszni mistrzowi, to książe postara się o to, aby ich poskromić, a będą łagodni i powolni jak baranki. O Świdrygielle nie dał sobie książeani mówić, a bojarowie na propozycyą dania Świdrygielle jakiejś prowincyi, oświadczyli, że wolą zginąć, aniżeli zezwolić na coś podobnego (855).

Klęski Inflantczyków nie podźwignęły mistrza zakonu z apatyi i bezczynności, owszem stał się bojaźliwym. Zygmunt Kiejst. dochował z nim pokój, kupcom pruskim zezwolił wieść handel na Li-

twie i stale oskarżał Inflantczyków (873). Polacy domagają się trwałego pokoju (877), Russdorf usiłuje wyczekiwać jakiegoś nowego obrotu sprawy na Litwie i zadawalnia się rolą ostrzegacza wobec Inflantczyków (881); proponuje zjazdy z Zygmuntem (890), z Polakami, zrywa je lub odkłada na później, gdy tymczasem w Inflantach zbrojono się do nowéj wojny. Że na taką politykę Russdorfa wpływał cesarz Zygmunt, okazuje się dowodnie z listu cesarskiego (906). Intrygant ten uznawał wogóle zawieszenie broni z Polakami jako niebyłe, nakazywał zbroić się i pomagać Świdrygielle (781), a obecnie przyobiecywał, że gdyby Polacy zagrozili zakonowi wojną, on sam osobiście pośpieszy Russdorfowi na pomoc. To samo przyobiecywał i Świdrygielle, do którego wysłał osobnych posłów (908), słowem rozwinął swą skrzętną, intrygancką dyplomacyą, aby dzieło zerwania unii doprowadzić do skutku. Russdorf, który krótko przedtém zapewnił był Inflantczyków, że przyśle im małą pomoc (200 schiffskinder), zmuszony był wobec nacisku Polaków tejże odmówić (936), co dotknęło srogo Kerskorfa, który już w spółce ze Świdrygiełłą oznaczył był dzień 25 lipca jako termin napadu na Litwę i tém bardziéj domagał się pomocy, na co nawet Russdorf nie odpisał (947). Na zapytywania Polaków i w. księcia Zygmunta odpowiadał Russdorf, iż mistrz Inflancki dla téj przyczyny nie chce dotrzymywać zawieszenia broni, gdyż mu w czasie tegoż wielkie szkody poczyniono w Inflantach (951). Wobec grożącéj wojny przygotował się w. ks. Zygmunt dzielnie do walki. Rozporządzenie koncylium, na mocy których został wespół z królem polskim orędownikiem rygajskiego koscioła (913), dodawały mu otuchy. Żmudź była jedném obozowiskiem, z Polski przybyły znaczne posiłki.

Około Brasławia połączyły się w połowie sierpnia 1435 r. wojska Świdrygiełły z wojskami inflanckiemi i stanęły w Wilkomierzu, aby daléj wzdłuż Święty ciągnąć wgłąb Litwy. Dnia 30-go sierpnia ciągnąc z Wilkomierza (ku Poboiskom) zobaczyły przednie straże po drugiéj stronie rzeki wojska nieprzyjacielskie, wzmocnione posiłkami polskiemi pod dowództwem Jakuba z Kobylan, nad całém zaś wojskiem litewskiém dowodził ks. Michał Zygmuntowic. Dwa dni stały wojska obustronne po obu stronach rzeki, ostrzeliwując się wzajemnie i trawiąc czas na małych utarczkach. Niezgoda zapanowała odrazu w obozie Świdrygiełły pomiędzy nim a Inflantczykami. Jedni chcieli przyjąć bitwę na miejscu, a że rzeka była grząską i bagnistą, radzili drudzy cofnąć się do Wilkomirza i tam walczyć z wrogiem. Ponieważ zdania były podzielone, teren boju niedogodny, trawiono dwa dni w bezczynności i bezskutecznych próbach obejścia nieprzyjaciela i zadania mu ciosu z flanki. W nocy z 31 sierpnia

na 1 września popełnili Świdrygiełło z mistrzem Inflanckim tę niedorzeczność, że postanowili część wojska tylko cofnąć ku Wiłkomirzowi, aby tam przygotowano obóz i zaraz rankiem wykonali ten zgubny projekt, odsyłając silny oddział inflancki, wzmocniony wojskami połockiemi, z armatami i prowiantem do Wiłkomirza, dokąd późniéj cofnąć się miało całe wojsko. Ten rozdział sił był błędem, który nieprzyjaciel natychmiast spostrzegł i nie omieszkał wyzyskać na swą korzyść. Skoro bowiem przestrzeń pomiędzy podzielonymi wojskami była tak wielką, iż hufce, ku Wiłkomirzowi wysłane, nie mogły przybyć na stosowny czas do boju, dano po stronie litewskiéj hasło do ataku, który się rozpoczął równocześnie na całéj linii bojowéj. Litwini i Polacy przekroczyli grząską rzekę, z furyą napadli na chorągiew marszałka Wernera von Nesselrode, a po rozbiciu tejże pierzchnęła i chorągiew mistrza po zaciętéj walce. Skrzydło zajęte przez Tatarów, centrum bronione przez Korybuta słaby tylko stawiały opór. Brak armat i kusz, które odstraszały nieprzyjaciela od przekroczenia rzeki, a głównie rozdział sił sprawiły ogromną klęskę Świdrygiełły.

Rozproszone niedobitki spotykają wysłane do Wiłkomirza chorągwie inflanckie i połockie, te przyjmują nad Świętą bitwę z goniącym niedobitków nieprzyjacielem, chcąc utrzymać most, nad którym krótka zawrzała walka; w obawie aby ich nie oskrzydlił nieprzyjaciel, ratują się ucieczką, a mała tylko część ich przerznęła się do Inflant, resztę, jak wogóle niedobitków i uciekających, wygubiły wojska litewskie i zabrały w niewolę.

Oto główne rysy bitwy zwanéj Pobojską, tudzież nad Świętą i pod Wiłkomirzem. Relacye wszystkich świadków bitwy zgadzają się, że 1) że w wojsku Świdrygiełły nie było zgody co do przyjęcia bitwy nad rzeczką grząską, skutkiem czego nastąpił rozdział sił (relacya Polaka mówi: *inimicorum divisus erat exercitus* N. 986); 2) że wojska Inflantczyków, ktore odesłano do Wiłkomierza, nie przybyły na czas do bitwy i dlatego musiały w obronie mostu nad Świętą przyjąć drugą bitwę, którą téż zupełnie przegrały.

Z tych względów nie możemy podzielać zdania wydawcy, który się w nadzwyczaj ostrych wyrazach odzywa o niewiarogodności wspomnianego listu polaka (Przedmowa, str. XIX). Nie przeczymy, że wiele tam przesady, jak co do liczby poległych, cyfr dotyczących posiłków polskich, lecz że w ogólności jest wiarogodną, polegającą na relacyi świadków bitwy i liście w. ks. Zygmunta (pag. 598, 599) i dającą się pogodzić z relacyą Długosza, tudzież z świadectwami zbiegłych komturów inflanckich (994, 985), nie można jéj przeto

wręcz odrzucać i uważać ją jako świadectwo, mające tylko literacką a nie historyczną wartość.

To pewna, że Świdrygiełło tylko w 30 koni uciekł do Witebska, że z inflanckich rycerzy mało który powrócił do ojczyzny, że mistrz Infl., stary jego marszałek i wielu dzielnych rycerzy poległo, tudzież że od wielu lat nie widziano na Litwie tak wielkiéj wojny, jaką była nad Świętą. Świadectwa te współczesnych przemawiają za doniosłem jéj znaczeniem i jeszcze większemi skutkami strasznéj téj bitwy.

Przedewszystkiém Inflanty były bez obrony — nie było tam rycerstwa, zamki były puste. To téż Polacy radzili Zygmuntowi uskutecznić napad na Inflanty, czego atoli książe, który „jedynie w obronie zagrożonéj wiary katolickiéj przyjął wielkie księstwo—nie uczynił, aby więcéj krwi chrześciańskiéj nie przelewać. Mały tylko napad Żmudzinów notują współczesne listy (1002), skutkiem czego musiał Russdorf wysłać pomoc do Inflant (999) i to chorągiew komtura Brandeburskiego, ale ją nie bardzo chętnie przyjęli Inflantczycy.

Świdrigiełło trzymał się jeszcze w Witebsku,—ale całe brzemię klęski waliło się na Russdorfa, który musiał się krzątać około obrony Inflant, wydobycia jeńców z więzów niewoli, a od cesarza Zygmunta, którego upraszał aby mu rychłą udzielił pomoc, zanim go Polacy zupełnie nie zniszczą—otrzymał słowa zachęty „aby miał dobrą nadzieję i zgryzoty na odwagę zamienił." Mistrz rozgoryczony poznał się ostatecznie na wartości téj zachęty, jakotéż wogóle na obietnicach Zygmuntowych, i nie zważając już na nie, zawarł stały pokój z Polską i Litwą w Brześciu kujawskim 31-go grudnia 1435 r. Wprawdzie mistrz Inflancki niechętny był zrazu temu dziełu,— przystał jednakowoż wobec tgo, iż sprawa Świdrygiełły była bez ratunku, a siły Inflant nie zdolne były księcia podtrzymać.

Pokój Brzeski, który ostatecznie złamał zakon i utrwalił unię, jest powtórzeniem 12-letniego zawieszenia broni, dokonanego w Łęczycy. Zakon opuścił Świdrygiełłę, zobowiązał się nie uznawać żadnego w. ks. Litwy, prócz tego, którego uznają Polacy. Upakarzającym dla zakonu był warunek, że tylko tych jeńców wypuszczą Polacy z niewoli, którzy przed zawarciem łęczyckiego zawieszenia broni popadli w niewolę. Późniejszym wyprawom Inflantczyków odmówiono zaszczytu regularnéj wojny i napiętnowano je jako haniebne zerwanie pokoju.

Oto ciekawa treść znakomitego pod każdym względem wydawnictwa. Dzieje Inflant znajdują w niém niejednę jeszcze ciekawą ilustracyą, te atoli mniéj już nas zajmować mogą.

Dr. Antoni Prochaska.

═ **Edward Schirmer. Stanisław Chwalczewski i jego kronika.** *We Lwowie 1886.* — Do dziejów historyografii XVI w. stanowi powyższa rozprawa p. Schirmera ciekawy przyczynek, wprawdzie nie ze względu na ważność kronikarza, jakim się zajmuje, lecz na pozytywny rezultat, jaki nam przynosi o wartości jego kroniki. Wiedziano dotychczas, że kronika Chwalczewskiego dla historyi nie ma żadnego znaczenia, gdyż dochodzi tylko do śmierci Bolesława Wstydliwego, podczas gdy Chwalczewski pisze w pierwszéj połowie XVI wieku i nikt go téż na seryo nie brał, nikt jako źródła nie używał. Ale o stanowisku jego w historyografii nie miano dokładnego pojęcia, osądzano go różnie, lecz godzono się ostatecznie na to, że Chwalczewski jest pisarzem oryginalnym, który używał do swéj kroniki rozmaitych źródeł i umiał z nich należycie korzystać. Gołębiowski, który w r. 1829 wydał tę kronikę poraz pierwszy z oryginalnego rękopisu puławskiego, przyznaje Chwalczewskiemu, że używał Kadłubka, Baszka, Nestora, żywotów Stanisława i Wojciecha i rozmaitych innych kronik, roczników, legend, a za nim chórem powtarzają podobne zdania Wiszniewski, Maciejowski, Borowski i inni. Rozbioru jednak krytycznego nie podał żaden. Dopiero p. Schirmer, uczeń seminaryum historycznego prof. Liskego dał nam w powyższéj rozprawce jasne pojęcie o wartości Chwalczewskiego. Żmudna praca porównywania dwóch tomików kroniki z różnemi źródłami, które on znać mógł, doprowadziła autora wreszcie do szczęśliwego wyniku, na jaki każdy zgodzić się musi. Wziął on mianowicie do zestawienia tekstów Miechowitę, na którego nikt przed nim nie zwracał uwagi, choć już sam wzgląd na to, że Miechowita pierwsza drukowana kronika polska najbardziéj musiała być ze wszystkich innych rozpowszechnioną i najprędzéj mogła dostać się do rąk Chwalczewskiego, mógł pobudzić do porównania z nim. Prawdopodobne jednak, że twierdzenie Maciejowskiego, iż Chwalczewski napisał kronikę swą w r. 1506, a więc przed wydaniem Miech. (1519), obałamuciło uwagę. Pan Schirmer porównywując oba teksty, Chwal. i Miech., uderzony został zadziwiającą ich zgodnością, a postępując w pracy, coraz bardziéj się utwierdzał w przekonaniu, że Chwal. po prostu Miech. tłómaczy i to tak dalece, że w miejscach, w których Miech. powołuje się na jakie źródło, Chwal. temi samemi słowy źródło owe przytacza, gdzie Miech. polemizuje z kronikami, Chwal. cały jego wywód dosłownie powtarza, co oczywiście było powodem, że Gołębiowski i inni mniemali, iż on z tych źródeł bezpośrednio korzystał. Ostateczny zatém wynik téj pracy: *że Chwal. nie ma ani jednego zdania oryginalnego, że wszystko od początku do końca przetłómaczył na polski język z Miechowity.* „Tłómaczenie to jest dosyć dokładne i wier-

ne.“ Po większéj części dosłowne, gdzie niegdzie jednak i to dosyć często stara się Chwal. o większą krótkość wyrażenia, ściąga zdania w Miech. znalezione, częstokroć nawet ze szkodą treści. Jedyna oryginalność, jakiéj sobie Chwal. pozwolił, jest podział; nie idzie on za Miech., dzielącym materyał na księgi, a te na rozdziały, lecz dzieli *tylko* na rozdziały, których zachowało się 44 (8—14, 17—53, reszty brak) — fragment bez początku i końca. Wobec tego nie może być mowy o jakiéjkolwiek wartości jego ani dla historyi, ani dla historyografii. Całe jego znaczenie ograniczy się do tego, że *jest to pierwszy po polsku piszący z naszych kronikarzy*, cała jego wartość przeniesie się na pole językowe. — Pozytywny rezultat tego badania, nie dający się obalić, oraz skrzętnie ze szczegółów zestawiony życiorys Chwal. na początku, czynią tę drobną rozprawkę p. Schirmera pożądanym nabytkiem dla naszéj krytyki historycznéj. Tylko strona zewnętrzna, styl i język, pozostawiają niejedno do życzenia. Pragnęlibyśmy także, aby w składni zachowaną była wszędzie logiczność myśli; np. na str. 6 dowodzi autor, że napisanie téj kroniki przypada na czas od 1519—1549, t. j. czas od *1 wydania Miech.*, aż do przepisania kroniki w Raszkowie, — kiedy my jeszcze zupełnie nie wiemy o tém, że Chwalczewski korzystał z Miechowity, bo dopiero od str. 7 rozpoczyna się dowodzenie tego. *F. Bostel.*

= **Rys geografii Królestwa Polskiego**. *Skreślił K. Krynicki. Warszawa 1887 (z mapą).* — Kto chce uprawiać krajoznawstwo czyli geografię szczegółową (Länderkunde), ten powinien posiadać znajomość dzisiejszéj geograficznéj wiedzy ogólnéj (allgemeine Erdkunde), t. j. posiadać z jednéj strony przygotowanie przyrodnicze, z drugiéj etnologiczno-historyczne; w przeciwnym razie krajoznawstwo jego zmieni się stosownie do literackiego talentu autora albo w turystyczną frazeologię, albo w bezduszny luźny aglomerat faktów. Autor „Rysu geografii“ nie posiada ani ogólnego geograficznego wykształcenia, ani literackiego talentu, to téż książka jego należy do drugiéj z dwóch powyższych kategoryi. Wprawdzie i zbiór faktów, nie roszcząc pretensyi ani do pedagogicznego, ani do naukowego wykładu, może przynieść korzyść jako surowy materyał; „Rys geografii“ jednak i pod tym względem nie osiąga celu (przynajmniéj geograficznego); najprzód bowiem fakta w nim zawarte w znacznéj części nie mają nic wspólnego z geografią i kwalifikują się raczéj do jakiegoś informacyjnego kalendarza, powtóre autor nie cytuje źródeł, a nazwisko jego nieznane dotąd na polu geografii, samo nie daje dostatecznéj rękojmi. Ponieważ wreszcie „Rys geografii“ pod względem formalnym, t. j. księgarsko-handlowym czyni zadość obecnemu zapotrzebowaniu, a pod względem treści, jak powiedzieliśmy, nie

zadawalnia ani pedagogicznych, ani naukowych wymagań, więc dla rozwoju naszego krajoznawstwa przynosi on raczéj szkodę, albowiem odsuwa w dalszą przyszłość pojawienie się podręcznika do geografii Polski, stojącego na wysokości dzisiejszéj geograficznéj wiedzy ogólnéj. Podobnie cenną przysługę w stosunku do dobrego podręcznika geografii powszechnéj oddaje nieśmiertelny Czarkowski, — utwór paleontologiczny, odradzający się jednak wciąż w nowych stereotypowych wydaniach, niby Feniks z popiołów. *Quousque tandem....*

= **Studya i szkice z dziejów literatury polskiéj** *skreślił Piotr Chmielowski* (Kraków, Nakład księgarni J. K. Żupańskiego i K. J. Heumanna, 1886, 2 tomy, str. 332, 392) zawierają wybrane rozprawy, pisane od r. 1873 do 1886, dotykające działalności pisarzów naszych od XVI do XIX stulecia. Za wstęp można uważać szkic psychologiczny p. n. „Artyści i artyzm"; poczém idą w 1-szym tomie: rzecz o Sobótce Kochanowskiego i Goszczyńskiego, o ostatnich latach życia Jana Kochanowskiego, o zapomnianym poemacie Wirginia Wacława Potockiego, o epopei Kalińskiego Viennis z czasów saskich oraz charakterystyka Ignacego Krasickiego. W drugim tomie mieszczą się: Pogląd na poezyą polską w pierwszéj połowie XIX stulecia, studyum o Kazimierzu Brodzińskim, szkice o balladach Tomasza Zana, o Słowackim jako Towiańczyku, o korespondencyi Zygmunta Krasińskiego i o Józefie Bohdanie Zaleskim.

= **Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego.** *Zarys literacki Piotra Chmielowskiego. Wydanie trzecie, poprawione i powiększone.* (Kraków-Warsz. 1886, nakład Gebethnera i Wolffa, str. 316).—W nowém tém wydaniu oprócz sprostowań i dopełnień biograficznych wprowadził autor kilka nowych postaci z zakresu twórczości Mickiewicza i Krasińskiego, a mianowicie „Żywilę" z powiastki Mickiewicza pod tym napisem, „Córkę Tuhana" z ballady „Świteź", „Karolinę" z „Konfederatów barskich", oraz „Czarną panią" z „Niedokończonego Poematu" Krasińskiego.

= **Program postrzeżeń psychologiczno - wychowawczych nad dzieckiem** *od urodzenia do 20 roku życia. Przewodnik ułatwiający poznanie dziecka przez J. Wł. Dawida.* (Warsz. Nakł. T. Paprockiego, 1887, str. 101). — Broszura ta powstała w téj myśli, żeby za pośrednictwem znacznéj liczby ludzi interesujących się kwestyami psychologicznemi i pedagogicznemi zebrać jak można najobfitszy materyał faktyczny, do poznania usposobienia i uzdolnienia dzieci posłużyć mogący. W tym celu po krótkiém określeniu sposobu badania w psychologii, po zaznaczeniu potrzeby zbierania faktów, zwraca się do wychowawców w najobszerniejszém znaczeniu tego wyrazu, ażeby przez

spisanie swoich spostrzeżeń przyszli w pomoc badaczowi, przyczém wykazuje doniosłość takich spostrzeżeń zarówno dla psychologii jak i dla pedagogii. Następnie podaje szczegółowy kwestyonaryusz, zwracający uwagę wychowawców na to, co i jak obserwować powinni, ażeby ich obserwacye przydać się mogły dla badacza. Kwestyonaryusz ten rozpada się na 12 działów: 1-szy o rodzicach, wychowawcach i otoczeniu, wśród którego dziecko się wychowuje; 2-gi o czynnikach fizycznych wychowania, o zachowaniu się dziecka w czasie stanu zdrowia i choroby; 3-ci o zmysłach; 4-ty o pamięci oraz o kojarzeniu się wyobrażeń; 5-ty o uwadze i postrzegawczości (o pytaniach dziecka, o prędkości działań umysłowych); 6-ty o zasobie doświadczeń i wyobrażeń; 7-my o wyobraźni; 8-my o rozumie, o nauce i szkole; 9-ty o mowie; 10 i 11-ty o uczuciach; 12-ty o ruchach i woli. Podział ten, jak zauważył sam autor, jest zupełnie empiryczny; chodziło głównie o to, ażeby jaknajbardziéj zbliżał się do pojęć publiczności, ażeby więc łatwo był zrozumiałym i mógł bez wielkiego trudu posłużyć do zoryentowania się w masie faktów psychicznych. Autor liczy najwięcéj na kobiety w sprawie zebrania spostrzeżeń i wymownie wskazuje im możność pracy wyższéj a tak ważnéj. „Gdyby z całéj téj pracy — powiada — nic innego urosnąć nie miało, jak miłość dziecka w sercach naszych, to i tak zysk jéj byłby nieoceniony... bo nam brak bardzo téj miłości... nie téj zwierzęcéj, instynktowéj, która kochać każe siebie samego w przedmiocie, lecz ludzkiéj i rozumnéj, która uczy kochać przedmiot dla niego, budzi gotowość do ofiar, daje chęć i siłę do czynów...“ Życzymy szczerze, ażeby autor z odezwy swojéj mógł zebrać plon jaknajbogatszy, bo rzeczywiście bliższe zajęcie się umysłowością dzieci może z jednéj strony przysporzyć nauce materyału cennego, a z drugiéj może wywrzéć zbawienny wpływ na same matki i wychowawczynie.

= *St. J. Czarnowski.* **Postępy literatury peryodycznéj.** *Studyum z dziejów prasy, z mapą i ośmią tabelami statystycznemi* (Warszawa, 1886, str. 66). — Autor przedstawiwszy powody rozrostu pism czasowych w naszém stuleciu i wskazawszy prace, które starały się ująć cyfrowo ich rozwój, oparłszy się na dziełach Hubbarda, Kolba, Woerla i in. podaje tabele historyczno-statystyczne lub graficzne wszelkich czasopism we wszystkich częściach świata, zarówno ogólne jak i szczegółowe co do czasu wychodzenia, co do treści, co do stosunku numerów czasopism przypadających na jednego mieszkańca w całych krajach i w miastach głównych, co do rozkładu czasopism w pasach szerokości geograficznéj po 10 stopni każdy, sam układa mapę dziennikarstwa świata, przedstawiającą stosunek pojedyńczych numerów czasopism przypadających na jednego miesz-

kańca w ciągu roku 1880, oraz tabelę graficzno-statystyczną dziennikarstwa polskiego od pierwszych jego zawiązków do czasów obecnych ze wskazaniem głównych epok i wydarzeń historyczno-literackich i polityczno-społecznych; nareszcie na podstawie tych wszystkich tabel kreśli zajmujący obraz rozwoju prasy peryodycznéj we wszystkich głównych krajach. Dowiadujemy się tu, że w r. 1880 ilość czasopism na całéj kuli ziemskiéj wyrażała się cyfrą 34.274, ilość zaś numerów produkowanych rocznie—cyfrą 10,589,499.448, że przy ogólnéj liczbie ludności na ziemi 1.623.178.161 na jednego mieszkańca przypadało rocznie numerów 6,52, że liczba piszących do dzienników wynosiła około 200.000; że z ogólnéj liczby pism, pod względem ich ilości i wysokości nakładu na czele stała Europa (pism 19.557), potém Ameryka północna (12.400). Co do języków, w których czasopisma wychodzą, pierwsze miejsce zajmuje szczep anglogermański (około 24.830), a w nim język angielski (16.500), drugie miejsce trzyma szczep grecko-latyński (około 6.911), a w nim język francuski (3.850), trzecie zaś miejsce szczep słowiański (1.107 czasopism), a w nim język rosyjski (około 560). Czasopism polskich w r. 1884 było 230; tablica graficzna wykonana przez p. Czarnowskiego wykazuje naocznie stopniowy wzrost naszéj prasy peryodycznéj od r. 1661, przyczém dwiema odmiennemi liniami mamy oznaczony przyrost coroczny oraz ilość ogólną pism w danym roku wychodzących. Całość pracy, będącéj owocem nader zmudnych poszukiwań, jest bardzo interesująca; lepiejby tylko było, gdyby styl w ustępach ogólnéj treści (znaczenie i wpływ prasy) uwolniony został od wyrażeń przesadnych i napuszonych, które trochę mijają się z prawdą. O pewnéj, może znacznéj części dziennikarstwa powiedzieć zaledwie można słowa, któremi autor całość obejmuje, mówiąc że ono zawiera „badania najwszechstronniejsze, inteligencyą najgłębszą, myśl gorącą sypiącą iskry dowcipu, krytykę, która zdziera maskę obłudy choćby najlepiéj osłoniętéj, wyrywa najgłębsze korzenie przesądów tradycyi, targa więzy krępujące prawdę, walczy dzielnie z przemocą, usuwa wszystko, co zużyte, nieczyste, szkodliwe“ (str. 29).

— **Wiadomość o biblii litewskiej**, *drukowanéj w Londynie 1663 r. i wrzekomym jéj tłómaczu Samuelu Bogusławie Chylińskim, podał Maurycy Stankiewicz* (Kraków, 1886, str. 23). Jestto rozprawka bibliograficzna prostująca mylną a bardzo rozpowszechnioną, bo od XVII wieku aż do dziś dnia, od Crovaeusa aż do Bezzenbergera powtarzaną wiadomość, iż tłómaczem biblii litewskiéj, wydrukowanéj w Londynie 1663 roku był Samuel Bogusław Chyliński. Autor wyzyskawszy szczegóły podane jeszcze w r. 1842 przez Józefa Łukaszewicza w „Dziejach kościołów wyznania helweckiego w Litwie,“ oraz

odszukaną w skutek zabiegów Bezzenbergera broszurę Chylińskiego wydrukowaną w Oksfordzie r. 1659, dowiódł, że Chyliński był tylko delegatem wysłanym przez synod kiejdański kalwinów litewskich za granicę celem zbierania datków na druk biblii litewskiéj, że bawiąc w Anglii, podawał się tylko za tłómacza téjże biblii, któréj miał być jeno korektorem, a zebrawszy składkę, roztrwonił ją i do kraju nie wrócił, że synod kiejdański musiał innego wysłać delegata, ażeby naprawił postępek Chylińskiego i nową składkę zebrawszy, druku biblii dokonał, że biblia ta była istotnie drukowana r. 1663, ale z powodu braku funduszów druk jéj musiał być przerwanym na psalmie czterdziestym. Co do istotnych tłómaczów biblii z dokumentów przytoczonych przez Łukaszewicza wynika, że za podstawę przekładu wzięto tłómaczenie dokonane przez Jana Bretkuna, zmarłego w r. 1602, że przerobili go głównie Jerzy Skrodzki i senior żmudzki, którym był, jak wykazuje p. Stankiewicz przeciwko Łukaszewiczowi, nie Samuel Tomaszewski, lecz Jan Borzymowski; dopomagali im zaś w téj pracy inni duchowni kalwińscy z nazwiska nieznani. Przy końcu rozprawki podaje autor kilkanaście wierszy tekstu téj biblii litewskiéj, zestawiając go z odpowiedniemi miejscami przekładu wydanego przez Quandta w Królewcu r. 1735. Praca ta p. Stankiewicza wychodzi jako I numer „Studyów bibliograficznych nad literaturą litewską“ i rekomenduje go bardzo pochlebnie.

= Nowe wydanie **Pana Tadeusza** (Warszawa, 1886, nakładem Gebethnera i Wolffa, str. 448 w formacie 32°) na papierze welinowym, drukiem drobnym, ale bardzo czystym i wyraźnym, w eleganckiéj oprawie na wzór francuski, już z powodu saméj zewnętrzności swojéj zasługiwałoby na wspomnienie i odznaczenie, jako pierwszy u nas przykład tak gustownéj, wymaganiom wybrednego oka zadość czyniącéj edycyi; ale wartość jego nie na tych jedynie polega zaletach. Dotychczasowe wydania *Pana Tadeusza* miały wiele błędów tradycyjnie przekazywanych od r. 1834 lub téż w ciągu tego czasu nanowo popełnionych; otóż p. Aleksander Walicki, który prowadził korektę téj ostatniéj, miniaturowéj edycyi, zadał sobie pracę starannego porównania wydań poprzednich i nadzwyczaj sumiennie usuwał to, co było mylném. I dlatego jak pod względem zewnętrznym nowa ta edycya *Pana Tadeusza* jest najładniejszą, tak pod wewnętrznym jest najpoprawniejszą ze wszystkich.

= **Pisma Narcyzy Żmichowskiej (Gabryelli)**, *z życiorysem autorki skreślonym przez d-ra Piotra Chmielowskiego*; *wydanie uskutecznione staraniem Redakcyi „Bluszczu“* (Warsz. 1885—86, tomów pięć, nakładem Michala Glücksberga). Po latach 25-ciu od chwili pierwszego ukazania się zbioru pism Gabryelli okazała się potrzeba powtórnego

ich wydania, ażeby tym, którzy niepospolity talent autorki cenić się nauczyli, dać możność przyjrzenia się jego objawom. Nowe to wydanie nie mogło być oczywiście przedrukiem tylko, gdyż w przeciągu owych lat 25 Gabryella niewiele wprawdzie, ale w każdym razie pisała; prócz tego znalazły się po śmierci autorki rękopisma, które lubo się przedstawiały w formie fragmentarnéj, zasługiwały przecież na ogłoszenie, gdyż nawet w takich okruchach łatwo było blask talentu odnaleźć. Fragmenta te rozpoczynają się już w tomie 3-im, gdzie od str. 98—123 znajdujemy dwa dotychczas zupełnie nieznane rozdziały „Książki Pamiątek." Szkoda tylko, że umieszczono je trochę niewłaściwie *po* ustępie zaczynającym się od słów: „Na tych wyrazach przerwało się"; gdy stosowniéj było podać je *przed* nim. W tomie 5-ym mamy najprzód odmiankę „Białéj Róży" (str. 1—59) niezbyt odpowiednio zatytułowaną jako część drugą téj powieści; następnie mamy (str. 63—201) fragment opowiadania p. n. „Kasia i Marynka," drukowany poprzednio w „Ateneum"; daléj utwór p. n. „Czy to powieść", ogłoszony za życia autorki w „Wieku" i osobnéj odbitce, a tu powtórzony ze zmianami i dopełnieniami przez samę Gabryellę poczynionemi na jednym z egzemplarzy, oraz z dodaniem wstępu, obejmującego plan obszernéj całości, któréj „Czy to powieść" miała być tylko drobną cząstką. Obok tych pism beletrystycznych pomieszczono w końcu 5-go tomu (str. 461—593) trzy artykuły treści dydaktycznéj, a mianowicie: rzecz „O wychowaniu początkowém," częścią z rękopismu, częścią z druku (w „Gazecie Polskiéj"), „Słowo przedwstępne do dzieł dydaktycznych pani Hofmanowéj" i „Dla jednéj mojéj znajoméj i bardzo wielu nieznajomych rzecz o służących (z „Bluszczu"). Gdyby jeszcze dodano opowiadanie o Edmundzie Strzeleckim, drukowane w r. 1876 w „Ateneum," mielibyśmy już całość tych najważniejszych utworów, w których Gabryella zawarła wyraz swych poglądów i uczuć. I w takim atoli stanie, w jakim jest obecnie nowa edycya jéj pism, przedstawia ona nader bogate źródło, z którego bije orzeźwiający napój dla każdego umysłu, chcącego i umiejącego zastanawiać się głębiéj nad tém, co czyta; gorąco je téż polecamy, zanim przyjdzie czas, kiedy polecanie takie zbytecznėm się okaże.

= Wyszło z druku w osobnéj książce znane naszym czytelnikom dzieło *Jana Gadomskiego:* **Larik.** Tragedya w pięciu aktach, z motywów dziejowych. (Warsz. 1886, nakład Gebethnera i Wolffa, 8-vo, stron 100). Rzecz odznaczona na konkursie i zaszczytnie oceniona przez krytykę.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Brak syntezy w myślach, uczuciach i dążeniach. — Praca nad ludem. — Prawnicy i nauczyciele prywatni. — Literaci idealem. — Magnaci - królewięta w prasie. — Postanowienia „Głosu“ wobec braterskich szturchańców. — Dymisya marszałka. — Czyja wina? — Losy „Wszechświata.“ — Obojętność kolegów. — „Wisła.“ — Usiłowania d-ra Bujwida. — Ofiarność publiczna i uczniowie szkół prywatnych. — „Towarzystwo historyczne“ w Lwowie. — Reputacya Galicyi w Kongresówce. — Wybory w poznańskiém. — Gnębiące wieści. — Łódź wobec Warszawy i kraju.

Autor artykułu „Między chłopem a szlachcicem“ w 46 numerze „Przeglądu Tygodniowego“ potrącił o kwestyą niesłychanie ważną, która co raz częściéj i dokładniéj w społeczeństwie naszém rozpatrywaną być winna. „Jedna jedyna wspólność — czytamy tam — charakteryzuje ów cały ruch (prasy): rozdarcie na każdym punkcie siły ogólnej, rozdarcie jej na gruncie wyznaniowym, na gruncie stanowym, więc i na ogólno-narodowym. Za dużo mamy analizy, a za mało syntezy.“ „Rozbicia się umyślnego, deprecyonowania się bezwzględnego nie dopuszcza żadne na świecie społeczeństwo, którego rozkładu nie podyktowały jeszcze dzieje. Jeżeliby o co chodzić mogło, to zaprawdę nie o znalezienie prawa, według którego wszystkie części danej całości zdążają w kierunku sił, tę całość rozbijających; ale o znaczenie wypadkowéj, po któréj społeczna masa zdąża do urzeczywistnienia celów swoich....“

Anarchia, bezład, który niegdyś sił pozbawił Rzeczpospolitą, nie zniknął wcale lecz się przetworzył i panuje samowładnie we wszystkich dostępnych dla nas sferach. W dziedzinie myśli i pojęć nie ma najmniejszego skupienia, każdy wychodzi z innego punktu, każdy holduje innéj zasadzie; porozumieć się nawet nie podobna, bo słowa też same oznaczają rzeczy różne u różnych ludzi lub w różnych potrzebach. Gdyby się zjawił wśród nas Sokrates i zechciał wytłomaczyć, jak, czytając, lub pisząc, rozumieć należy wyrazy: *cywilizacya*, *postęp*, *szlachta*, *panowie* i t. d. zostałby spewnością napojony bardzo gorzką trucizną szyderstw i niesforności. Samowola prawdzi-

wie szlachecka panuje zarówno w ortografii i w nomenklaturze naukowéj, jak i w traktowaniu rzeczy bieżących. W sferach praktycznej działalności dzieje się kubek w kubek tak samo. Mniej więcej wszyscy deklamują o potrzebie pracy nad ludem, a że praca ta może być bardzo tylko pierwotną. czysto cywilizacyjną, więc różnice filozoficznych poglądów wpłynąć na jéj kierunek nie są nawet w stanie; barwa np. „Gazety Świątecznej“ musi być przez wszystkich niemal uznaną: jedni godzą się na nią chętnie, gdyż odpowiada ich pojęciom, inni — z konieczności, bo inaczéj ani zrozumiani ani słuchani by nie byli. I postępowy demokrata i konserwatywny zwolennik „Niwy“ mogli by wydać pokaźną bibliotekę ludową, nieporóżniwszy się — przy dobrych chęciach — nawet w szczegółach. Ani wierzeń religijnych, ani różnicy doktryn naukowych, oświecając chłopa, dotykać nie podobna, a gdyby nawet ktoś uznał za właściwe i potrzebne potrącić o drażliwe punkty ustroju społecznego, lub przeszłości, to stanowiło by to mało znaczną jedynie część całego zadania, a wskutek tego nie powinno być wystarczającą przyczyną rozbicia, nieufności, niesnasek. Gdy ktoś ośmieli się wypowiedzieć krytyczne zdanie o ludzie, w téj chwili demokraci w głębi serc swoich uznają i całą siłą piersi obwołają go za obskuranta, „szlachcica,“ niemal rabusia i wampira; gdy znowu ktoś goręcéj broni interesów i praw chłopskich uznany zostaje przez całą potęgę konserwatywnéj zgrozy za demagoga, burzyciela i t. d. Wszelka niezgoda z naszemi pojęciami uznaną zostaje na złą wolę — mosty popalone, stosunki zerwane, możność porozumienia znika.

Kilka miesięcy temu zwracaliśmy uwagę na rozprzężenie wśród prawników, na brak solidarności, na brak często nawet poczucia, że zajmowanie jednakowych stanowisk pociąga za sobą wspólność obowiązków. Toż samo da się powiedzéć o innych stanach. Weźmy chociażby nauczycieli, przełożonych, lub przełożone szkół prywatnych. Rzeczy idą takim torem, że stanowisko ich staje się coraz ważniejszém, a zadanie trudniejszém. Biorąc pojedyńczo instytucye i ludzi, zaprzeczyć niepodobna postępu i wartości wielorakiej, ale jak dobroczynnie wpłynęło by zaprowadzenie jakiéjś spójni, a chociażby tylko przyjaznego zbliżenia się. Tylokrotnie poruszana kwestya wzajemnéj pomocy nauczycieli prywatnych możeby raz nareszcie przyszła do urzeczywistnienia. Dzisiaj każdy sobie wystarcza i gospodaruje, jak chłop na kolonii. Wśród literatów, rozbicie dochodzi do ideału. Konserwatystom zdarza się czasem tu i owdzie jakiś ład zaprowadzić, ale postępowcy...! Zdaje się, że prędzéj pszenica na kamieniu rozradzać się będzie, prędzéj uczniowie Darwina bronić zaczną autentyczności biblijnego życio-

rysu proroka Jonasza, niż postępowe stronnictwo zdobędzie się na jeden chociażby krok solidarny już nie z ogółem lecz między sobą. Jestto bardzo ciekawe, że oni to właśnie jaknajwięcéj smagają przeszłość za bezrząd, oni podnoszą ku wzbudzeniu pogardy nazwiska magnatów — królewiąt, co ufni w bezsilność społeczeństwa i swoją potęgę broili bezkarnie, pchani jedynie samolubną ambicyą, zapominając o dobru publiczném. Tymczasem silni wpływem literaci stają się zupełnie w postępowaniu podobni do tych królewiąt, zamknięci w swoich pismach, wojują na własną rękę, dotknięci w miłości własnej zapominają o wszelkich względach. Słyszymy nieustannie o umiłowaniu zasad nadewszystko, a gdy tylko kto inny zechce głosić ze swojéj ambony téż same zasady, zostaje w téj chwili odsądzony jeżeli nie od czci i wiary, to przynajmniej od rozsądku właśnie przez tych, którzy w imię braterstwa w idei poparciem go otoczyć powinni byli. Historyk literatury dobrze kiedyś będzie musiał się namęczyć, zanim znajdzie kilka przychylnych wzmianek w jedném postępowém piśmie o drugiém. Śpewnością musiał drwić ten, co pierwszy powiedział, że „Polak mądry po szkodzie." „Głos," powstając, chciał się widocznie wyróżnić od postępowéj braci moralną powagą (co téż rzeczywiście pod wieloma względami zrobił) i zawzinał się, że polemiczny ferwor siły nad nim mieć nie będzie. Zaczął od tego, że wszystkich pochwalił, gładził... i nic nie pomogło...; rzeczywiście pod nawałą szturchańców trudno było wytrzymać, i hodować w sobie dłużéj uczucia przyjacielskiéj serdeczności.

Każda grupa nowowystępujących literatów racyi bytu swego nie uzasadnia zamiarami wykonania jakiéjś *pracy*, nie zwraca uwagi nigdy na spójnie, łączące ją ze społeczeństwem, i z innymi pracownikami; nic... nigdy; podnoszą się tylko różnice, rozdymają do jak największych rozmiarów; wszystko co dotąd było i żyło — to fałsz, blaga, próchno, — teraz dopiero prawdziwe światło tryskać będzie. Nigdy nikt nie uważa się za pracownika społeczeństwa, zawsze za rycerza i apostoła jakichś jemu jedynie objawionych prawd.

Zdaje się, że odziedziczonej po przodkach nieumiejętności podporządkowywania osoby swej interesom ogółu przypisać należy fakt usunięcia się d-ra Zyblikiewicza od godności marszałka w Galicyi. Dotąd sprawa ta dokładnie wyświetloną nie została. Wiadomo, iż krewki przewodnik sejmu wojował nieustannie z namiestnictwem i z Wydziałem krajowym; w ostatnich czasach wybuchnął nawet przeciw niemu otwarty bunt wśród podwładnych pod przewodnictwem samego vice-marszałka p. Oktawa Pietruskiego. Chodziło o to, kto ma pokryć koszta rewizyi rachunków Rad szkolnych—rząd czy kraj? Dr. Zyblikiewicz widział w tem obowiązek pierwszego,

a że to było ostatnie nieporozumienie i w skutek niego zażądał dymisyi, upadł więc w sprawie popularnéj, broniąc funduszów i interesów kraju wobec Wiednia. Naturalnie, wypadek usunięcia się marszałka wywołał niemałe poruszenie wśród opinii. Organy prasy postępowéj stanęły po stronie d-ra Zyblikiewicza: według ich zdania padł on ofiarą intryg stańczyków, sam zaś był bez zarzutu. Konserwatywniejsze organy wątpią nieco o doskonałości b. marszałka, i podejrzywają jego niewinność. „Kraj“ zaś petersburski zamieścił bardzo surowe, nawet namiętne oskarżenie w korespondencyi z Wiednia, podpisanéj *Verax*. Według tego świadectwa, niewiele szczęśliwszych wypadków mogło spotkać Galicyą, niż pozbycie się nareszcie niefortunnego naczelnika władz autonomicznych. Miał on zawieść wszelkie oczekiwania: o pewnych gwałtownych potrzebach (jak np. reorganizacya administracyi) zapomniał zupełnie, inne znowu załatwiał najfatalniéj—bez talentu i znajomości rzeczy. *Verax* odmawia dr. Zyblikiewiczowi wszelkich zasług; nawet w przeszłości, laska marszałkowska miała mu się dostać jedynie za sprytną „*mise en scène*“ podczas przejazdu cesarza do Krakowa. Postępowi obrońcy b. marszałka, a oskarżyciele namiestnika i stańczyków powołują się na zdanie 53 przewodniczących rad powiatowych, którzy zwrócili się do ministra Taafego z prośbą o zatrzymanie d-ra Zyblikiewicza na dawném stanowisku. Kilka miesięcy temu zwracaliśmy uwagę, jak niesprawiedliwym był w swoim czasie głos opinii publicznéj względem b. burmistrza krakowskiego, dziś znowu moglibyśmy zaznaczyć, że sąd 53 mężów zaufania niekoniecznie ma być ostatecznym i nieomylnym. Że w kwestyi drażliwéj, drgającéj życiem, wszyscy w jakikolwiek bądź sposób interesowani wydać słusznego sądu nie są w stanie i drugorzędnym stronom sprawy nadają przesadne znaczenie, to można uważać za rzecz niewątpliwą. Nam się wydaje, iż bądź co bądź dr. Zyblikiewicz posiada przymioty rzadkie, które go bardzo zalecają na wysokie stanowisko: jest czynny, pracowity, energiczny, śmiały i nieczuły na wiele względów ubocznych, paraliżujących niejedną działalność w Galicyi. Pozatem, o ile sądzić można z wystawianych dziś świadectw—pomimo iż jest mieszczaninem ze Stanisławowa,—odznacza się wszystkiemi tradycyjnemi wadami szlachcica: często samowolny, butny, nadmiarę ambitny, drażliwy i uparty. Nie umiał dla dobra publicznego hamować tych popędów i podporządkować ich względom społecznym — to jego wina. Z drugiéj jednak strony ludzie wpływowi zarówno jak i podwładni b. marszałka powinni byli być wyrozumiali na słabości i wady prywatne człowieka, ożywionego dobremi chęciami i pracującego z pożytkiem. Zawsze stare dzieje!

„Wszechświat“ znowu podobno przebywał kryzys budżetowy, wyszedł z niego zwycięsko i nadal istniéć będzie. Wydawcy i redaktorowie zrobić powinni wszystko co do nich należy, aby się trudne przejścia nie powtórzyły, przedewszystkiém jednak zależy to od publiczności. Grono przyrodników z godną głębokiego uznania wytrwałością od lat kilku już robi wszelkie możliwe wysiłki, aby ogół nasz posiadał pismo, popularyzujące wiedzę, aby miał skąd dowiadywać się, co gdzie indziéj robią na polu nauk naturalnych. Zdaje się, że nikt chyba nie zechce przeczyć, iż tego rodzaju wydawnictwo jest potrzebne, że ze „Wszechświata“ czytelnicy mogą się wiele nauczyć. A tymczasem ogół ani myśli poprzeć usiłowań przyrodników. Ten jeden już wzgląd, że język naukowy musi gdzieś żyć, rozwijać się, kształcić, czyni istnienie „Wszechświata“ konieczném niemal. Celem marzeń wydawców „Wszechświata“ jest, aby się opłaciły, jedynie opłaciły koszta, a do tego nie potrzeba jakiejś nadzwyczajnéj liczby prenumeratów; mają ich dziś pięciuset czy sześciuset, jeszcze setka lub dwie przywróciła by równowagę w budżecie i téj setki latami staranności zdobyć niepodobna było. W początkach roku bieżącego „Wszechświat“ wydrukował odezwę do ogółu, opowiadając jak rzeczy stoją i wzywając do poparcia. Pisma, które potrafią artykuły wstępne poświęcać reklamie książeczek, gdy chodzi o osobiste zyski wydawców, uspokoiły sumienia swoje krótkiemi wzmiankami, potém zapanowało głuche milczenie i nikt nie mógł się dowiedziéć nawet o istnieniu pisma przyrodniczego polskiego. A jednak kilka artykulików i wzmianek w tych dziennikach i tygodnikach, które obficie czerpią wiadomości z kroniki „Wszechświata“, z łatwością zdobyło by potrzebną ilość prenumeratorów, co późniéj wdzięczni byli by za informacyą. Spotykamy co tydzień stałe pochwały dla każdego numeru „Tygodnika Ilustrowanego“ naprz., a pismo to, bardzo szanowne zresztą, ani poparcia nie potrzebuje, ani nie zadawalnia jakiejś palącéj potrzeby społecznéj: czyżby więc tegoż samego nie można było zrobić dla „Wszechświata.“ Postępowe tygodniki za hasło mają wiedzę, czemuż nigdy w ich szpaltach doszukać niepodobna wzmianki o jéj rozsadniku?

Smutne losy „Wszechświata“ są niewesołą przepowiednią dla nowo powstającego miesięcznika „Wisła.“ Zainteresowanie i ciekawość widocznie budzą u nas jedynie czysto literackie wydawnictwa, a „Wisła“ ma wyłącznie być poświęconą krajoznawstwu. Czytelnicy przypominają sobie zapewne, iż przed 10 miesiącami mowa była w prasie o potrzebie Towarzystwa Geograficznego, narady w téj sprawie doprowadziły właśnie do tego, że p. A. Gruszecki wystarał

się o koncesyą na pismo geograficzno-etnograficzne i takowe ofiarował ludziom, pragnącym na tém polu pracować. Że tego rodzaju wydawnictwo odpowiadałoby bardzo poważnéj potrzebie, to nieulega wątpliwości, ale czy zyska poparcie...? W każdym razie sprobować należy.

Co znaczy brak poparcia, dowiedział się ze smutnego doświadczenia także dr. Bujwid. Młody ten lekarz nauczył się w Paryżu od Pasteura sztuki szczepienia wścieklizny, i wiedzę swoją chciał zaraz zużytkować dla kraju; w tym celu, choć niezamożny, założył własnymi środkami w Warszawie pracownię i lecznicę. Chorych zjechało się dużo zarówno z Królestwa, jak i z zachodnich części Cesarstwa. Przez czas istnienia zakładu 64 osoby znalazły ratunek. Rada miejska dobroczynności publicznéj urządziła w szpitalu wolskim specyalny oddział dla chorych, pokąsanych przez wściekłe zwierzęta, i zawezwała dr-a Bujwida na kierownika, czego on nietylko że się podjął bezinteresownie, ale używał preparatów z osobistéj pracowni. Pacyenci dotychczasowi byli to przeważnie ludzie biedni, więc albo wcale nie robili nadziei doktorowi zapłacenia za leczenie, albo téż pozostali winni. Stąd téż, według zapewnienia „Wieku“—z którego wszystkie szczegóły w téj sprawie czerpiemy—w pierwszym miesiącu lecznica przyniosła właścicielowi za 20 chorych *ośmnaście* rubli. Szczupłe fundusze d-ra Bujwida wyczerpały się i z żalem będzie on musiał zamknąć swoją pracownię. Dotąd *nikt* nie przyszedł mu z pomocą. Sądzimy, że jeżeli ubogi lekarz mógł poświęcić swój czas i skromne mienie na ratowanie bliźnich, to powinien chyba znaleść się jaki kapitalista żyjący, lub umierający, któryby zechciał zapewnić byt pożytecznéj instytucyi. Wiele u nas spoczywa na barkach ludzi prywatnych, i wiele się téż robi środkami jednostek—to prawda; ale we wszystkich instytucyach dobra publicznego spotykamy zawsze prawie téż same nazwiska, a przecie ludzi bogatych jest więcéj: jeżeli się sami nie poczuwają do obowiązku, to może by można było zapukać do nich jakoś.

Jeszcze jeden kierunek pragnę wskazać ofiarności ogółu. Corocznie obracane są dosyć znaczne sumy na zapomogi dla uczniów gimnazyalnych, nie słychać zaś wcale, aby kiedy kto pomyślał o biednych wychowańcach szkół prywatnych, których jest coraz więcéj i którzy drożéj za naukę płacić muszą. Prowadzenie szkoły jest materyalnie przedsiębiorstwem nietylko wcale nie świetném, ale często bardzo uciążliwém, przełożeni więc ulg robić nie są w stanie i wymagać od nich tego niepodobna. Dawniéj oddanie dziecka „na pensyą“ było uważane za złe konieczne, dziś złém stanowczo być przestało i powinno téż stracić niewłaściwą reputacyą konieczności.

Społeczeństwo więc ma obowiązek goręcéj zaopiekować się prywatnemi instytucyami wychowania publicznego. Pośrednicy szczególniéj powinni zwracać uwagę ofiarodawców, aby przynajmniéj dzielili dawane sumy. Prócz wielu innych jest jeszcze i taki wzgląd, że w tym wypadku można być pewniejszym należytego użycia zapomogi.

Towarzystwo historyczne, założone w lipcu r. b. we Lwowie przez uczniów prof. Xawerego Liskego i pod jego dożywotniém przewodnictwem, odbyło pierwsze zebranie ustawodawcze, na którém było obecnych 50 członków. Zastępcą prezesa wybrany został Tadeusz Wojciechowski, profesor historyi Polski w tamtejszym uniwersytecie, autor znakomitego dzieła p. t. „Chrobacya", skarbnikiem — d-r Antoni Prohaska, adjunkt w krajowém archiwum akt ziemskich i grodzkich. Do wydziału weszli: d-r Oswald Balzer, profesor prawa polskiego, d-r Wojciech Kętrzyński, dyrektor zakładu Ossolińskich, d-r Fryderyk Papée, sekretarz biblioteki uniwersyteckiéj i profesor d-r Roman Pilat; do komitetu zaś redakcyjnego — docent uniwersytetu d-r Ludwik Finkel, d-r Kętrzyński i inni.

Już to wogóle z pocieszającym objawem w życiu naszém można najczęściéj spotkać się w Galicyi. Pomimo ciężkich warunków, dzielnica ta dźwiga się, w wielu kierunkach dojrzała i pracuje poważnie. Pomimo to jednak w Warszawie nieustannie panują zastarzałe uprzedzenia, a narzekania na Lwów i Kraków nabrały charakteru sterotypowości i wcale dziś już nie odpowiadają rzeczywistemu stanowi rzeczy. Publicysta np., który zapuszczenie chłopa w Galicyi porównał do dzikości Albańczyków, powtórzył tylko starą piosenkę za panią matką i nie słyszał widocznie nigdy o seminaryach nauczycielskich, o ilości szkół, o programatach.

W okręgu *brodnicko-grudziąskim* odbyły się wybory do parlamentu niemieckiego po śmierci posła-polaka, Ignacego Łyskowskiego. Tą razą niemiec zwyciężył 420 głosami na 19 tysięcy przeszło wyborców. Niemcy katolicy głosowali na kandydata protestanckiego; z tego powodu „Dziennik Poznański" powiada: „Nie pierwszy to raz już tak się stało. My jednak zawsze liczyliśmy na nich. Sądzimy, że obecne wybory wyleczyć nas powinny z téj naiwnéj wiary i że odtąd tylko na siebie samych liczyć będziemy." Postanowienie to łatwiéj powziąć, aniżeli wykonać. Koło polskie jest zbyt słabe, aby mogło nie dbać o pomoc w parlamencie, a to się odbija przy wyborach; może zresztą można nie liczyć, ale trzeba się chyba starać o sprzymierzeńców. Naturalnie to narazi nas na różne zawody i na nie trzeba się przygotować. Zdrady podobne trzeba brać w rachubę i nie wypuszczać z pamięci, ale zmieniać na ich podstawie polityki chyba nie należy. Lista majątków polskich, sprzedanych po ustano-

wieniu komisyi kolonizacyjnéj wzrasta wciąż. Korespondent „Kraju“ z Gniezna zaprzecza wieściom, aby tamtejsi obywatele dobrowolnie sprzedawali majątki; za małém wyłączeniem wszędzie był taki lub inny przymus. I tak jesteśmy zgnębieni, na co my się sami jeszcze gnębimy takiemi ciężkiemi oskarżeniami!

Z powodu poruszenia w zeszłym miesiącu przez „Ateneum“ kwestyi przyjmowania praktykantów do fabryk i milczenia w téj sprawie obu prowincyonalnych oddziałów Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, „Dziennik Łódzki“ wyjaśnił, iż oddział warszawski przesłał i do Łodzi i do Tomaszowa „wybornie umotywowane“ zapytanie, które było przedmiotem obrad, zostało gorąco, z zadowoleniem i uznaniem przyjęte. Postanowiono też zwrócić się do przemysłowców tamtejszych z prośbą o zakomunikowanie warunków, pod jakiemi gotowi są przyjmować krajowców na praktykę. Co się daléj stało—niewiadomo. „Dziennik“ nie wątpi, że sekretarz towarzystwa p. Bronikowski uchwałę wykonał, milczenie więc oddziału i nieodpowiadanie Warszawie pochodzi zapewne ztąd, że fabrykanci nie chcą nic wiedzieć o praktykantach krajowcach.

Ludwik Straszewicz.

NEKROLOGIA.

† **Aloizy Alth** urodził się w Czerniowcach d. 2 czerwca 1819 r., tu uczęszczał do szkół i na ówczesny wydział filozoficzny; studya prawne skończył we Lwowie, otrzymawszy w r. 1841 stopień doktora praw. Obrawszy zawód obrończy, praktykował w Czerniowcach aż do r. 1855, kiedy został mianowany adwokatem w Krakowie. Podczas pobytu w Czerniowcach, wybrany był r. 1848 posłem tego miasta na ówczesny sejm prowincyonalny we Lwowie; w roku 1849 powołano go do komitetu, któremu poruczono przedłożenie wniosków do organizacyi sądownictwa na Bukowinie oraz do komitetu, mającego wypracować projekt organizacyi obrony obywatelskiéj. Obok prac w zawodzie prawniczym oddawał się z wielkiém zamiłowaniem przyrodoznawstwu, a mianowicie mineralogii, geologii i paleontologii. Wyniki badań swoich ogłaszał z początku po niemiecku: *Geognostisch-paleontologische Beschreibung der nächsten Umgebung von Lemberg, mit 5 lithographischen Tafeln* (Wiedeń, Braumüller, folio, str. 114); *Ein Ausflug in die Marmaroscher Karpaten im Sommer 1855* (Wiedeń, str. 13); *Ueber die Gypsformation der Nordkarpathen-Länder* (1858, str. 16) i inne. W uznaniu wartości tych poszukiwań wiele towarzystw uczonych tak krajowych jak zagranicznych policzyło

Altha do grona swych członków, a w r. 1862 uniwersytet krakowski powołał go na katedrę profesora mineralogii z językiem wykładowym polskim, opróżnioną przez przeniesienie prof. Zepharowicha do Gracu; po trzech latach rząd zatwierdził go na profesora zwyczajnego. Obowiązki swoje pełnił nader gorliwie aż do końca roku akademickiego 1885/86. poczém z powodu nadwątlonego zdrowia podał się do urlopu. Prace w języku polskim, rozpoczęte od czasu wezwania do Towarzystwa naukowego krakowskiego w roku 1858, („Rzut oka na kształt powierzchni Galicyi i Bukowiny“ 1861) ogłaszał w ciągu swojéj profesury, jakkolwiek drukował je i po niemiecku. Z dzieł polskich wymienić należy „Zasady mineralogii“ (Kraków, 1869, str. 782 i atlas), z broszur: „Pogląd na geologię Galicyi zachodniéj“ 1872, „Rzecz o belemnitach krakowskich“ 1874, 1875, „O galicyjskich gatunkach skamieniałych otwornic rodzaju Gyroporella“ 1878, „Rzecz o ropie i wosku ziemnym w Galicyi“, „Pogląd na źródła solne i naftowe“ oraz kilka sprawozdań z badań geologicznych od r. 1877—79. Umarł 4 listopada r. b. w Krakowie.

† **Adam Honory Kirkor** urodzony r. 1881, pobierał nauki w gimnazyum mohilewskiém i w instytucie szlacheckim w Wilnie, gdzie zamieszkawszy stale, oddał się najprzód pracy literackiéj, ogłaszając pisma zbiorowe: „Radegast“ (1843), „Pamiętniki umysłowe“ (r. 1845/6 tomów 3); następnie zajął się badaniami archeologicznemi, rozkopywał kurhany, odkrył wiele horodyszcz, opisał je, a znalezione w nich zabytki złożył w muzeum wileńskiém. Wtedy ogłosił po rosyjsku: „Istoriczesko - statisticzeskija oczerki wilenskoj gubernii“ (Wilno, 1852/3, tomów 2), „Czerty iz istorii i żizni litowskawo naroda“ (Wilno, 1854); a po polsku: „Przechadzki po Wilnie i jego okolicach“ (Wilno, 1856, 2-e wyd. 1859). Następnie znowu się zwrócił do wydawnictw peryodycznych; pod jego kierunkiem wyszły: „Teka Wileńska“ (Wilno, 1857/8, numerów 6), „Pismo zbiorowe wileńskie“ (Wil. 1859); w r. 1858 wydał „Album Wileńskie“ ofiarowane cesarzowi Aleksandrowi II, gdzie umieścił obok utworów Odyńca, Chodźki i Malinowskiego swoję rozprawę o Wilnie po rosyjsku. Od r. 1860 do końca 1863 redagował „Kuryer Wileński“ i podniósł znacznie jego wartość literacką. Przeniósł się potém do Petersburga i tu wraz z Jumatowem wydawał „Nowoje Wremia“ od r. 1864 do 1868. W roku 1871 osiadł w Krakowie, ogłosił w r. 1872 trzy tomy pisma zbiorowego „Na dziś“, w r. 1873 „Zarysy współczesnéj literatury rosyjskiéj“, w roku 1874 „O literaturze pobratymczych narodów słowiańskich“; w r. 1878 „Słowianie nadbałtyccy, zarysy etnologiczno-mitologiczne.“ Obok tych prac, zostawszy członkiem Akademii krakowskiéj prowadził badania archeologiczne w Galicyi i ogłaszał rezultaty swych

poszukiwań: „Badania archeologiczne w okolicach Babic i Kwaczały“, „Badania archeologiczne w Kwaczale“, „O grobach kamiennych na Podolu galicyjskiém“, „Badania archeologiczne w r. 1878“, „Pokucie pod względem archeologicznym“, „Poszukiwania zabytków pierwotnych w bliższych okolicach Krakowa“, „O znaczeniu i ważności ‚zabytków pierwotnych oraz umiejętném ich poszukiwaniu“ i in. Zmarł w Krakowie 23 listopada r. b.

† **Semenenko Piotr** urodził się w r. 1803; brał udział w wypadkach r. 1831; na emigracyi należał z początku do stronnictwa najzagorzalszych demokratów, następnie pod częściowym wpływem Mickiewicza porzucił to stronnictwo i zwrócił się do życia religijno-ascetycznego; urządził w Paryżu klasztorek, w którym on i dawniejsi jego koledzy z wojska spólnie żyli, kształcąc się w seminaryach katolickich. Wyświęcony na kapłana w Rzymie r. 1841, odznaczył się następnie w Paryżu gorliwemi kazaniami i otworzył nowy zakon oo. zmartwychwstańców. Występował w szczególności przeciw Towiańskiemu i mistycyzmowi świeckiemu. Był jednym ze stałych współpracowników „Przeglądu Poznańskiego.“ Z licznych jego pism wymieniamy: „....Prawda o kościele bożym“ 1843, „O magnetyzmie“ 1850, „Towiański et sa doctrine jugés par l'enseignement de l'église“ 1850, „Obraz słowa polskiego i jego odmian“ 1852, „Ksiądz Jan Pociej i jego dzieło o Jezusie Chrystusie Odkupicielu“ 1853, „O magii a w szczególności o stolikach“ 1857, „Przeciw błędom Andrzeja Towiańskiego“ 1858, „Studio critico sull' Averroe di Ernesto Renan“ 1861, „O miłości ojczyzny“ 1864, „Quid papa et quid est episcopatus“ 1875, „Mowa pochwalna na cześć św. Cyryla i Metodego“ 1881.— Umarł 18-go listopada r. b. w Paryżu jako przełożony zakonu Zmartwychwstańców.



Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Listopada 1886 r.

---

1. Oddział Warszawski Towarzystwa popier. przem. i handlu, Sekcya II. **Sprawozdanie meteorologiczne** za miesiąc Sierpień 1886 r. 4-o, str. 15.
2. **Prace filologiczne,** wydane przez *J. Baudouina de Courtenay*, *J. Karłowicza*, *A. A. Kryńskiego* i *L. Malinowskiego.* (Z zapomogi Kasy pomocy naukowej imienia Mianowskiego). Warsz. 1886. Tom I, zeszyt II i III, str. 269—818.
3. Z dziwów przyrody. **Koniec świata.** Przegląd wypadków, jakie mogą sprowadzić zagładę ziemi, skreślił *Erazm Majewski.* Warsz. Nakł. Gebethnera i Wolffa, 1887, str. 208.
4. **Porównawcze badanie nad rytmem** i rytmami. Część II. Przez *D-ra Maksymilijana Kawczyńskiego* Kraków, 1886, 4-o, str. 90.
5. **Mojżesz Mendelssohn.** Życiorys skreślił *Salomon Spitzer* naucz. szkół lud., Kraków, 1886, 8-o, str. 42.
6. *D-r J. G. Pawlikowski.* **Wyższa szkoła** rolnicza w Dublanach. Fakta i uwagi. Kraków, 1886, 8-o, str. 121.
7. **Nowe powiastki historyczne** (z dawnych dziejów polskich) dla młodzieży i ludu naszego. Znajdek, jego przygody wojackie i inne. (Rzecz z XVII stulecia). Książeczka trzecia Napisał *Józef Grajnert.* Nakł. autora. Warsz. 1886, 8-o, str. 88.
8. **Oczerk istorji** reformacjonnawo dwiżenja i katoliczeskoj reakcii w Polszie. II. *N. Kariejewa.*
9. *Jan Turgeniew.* **Wybór powieści** (Rudin.—Gniazdo szlacheckie). Poprzedzony wstępem krytycznym Jerzego Brandesa. Przekład M. Nowińskiego. Warsz., nakł. S. Lewantala, 1886, 8-o, str. XX i 251.
10. **Łukasza Górnickiego dzieła wszystkie.** Pierwsze wydanie zbiorowe przygotował do druku *D-r Rafael Loewenfeld*, wydał, wstępem i słowniczkiem archaizmów opatrzył *Piotr Chmielowski.* Tom II: Przykłady z Seneki. Warszawa, nakł. S. Lewentala, 1886, 8-o, str. IX i 260.
11. Prawo polskie w 14 wieku. **Sądy, ich praktyka i stosunki społeczeństwa w Polsce** ku schyłkowi 14 wieku, ze źródeł współczesnych opracował *Romuald Hube* (wydawnictwo „Bibliot. umiejętn. prawnych“). Warsz.. 1886, 8-o, str. IV, +410 + 110+5+2.
12. Catalogus codicum manuscriptorum Bibliothecae Ossolinianae Leopoliensis. **Katalog rękopisów Biblioteki Zakładu nar. im. Ossolinskch** wydał *D-r. Wojciech Kętrzyński*, dyrektor tegoż Zakładu. Zeczyt IV. Lwów, 1886, 8-o, od str. 321 do 776.
13. *Clark Murray.* **Zasady Psychologii.** Podręcznik. Przełożyli z upoważnienia autora *Henryk Wernic* i *J. W. Dawid.* Warsz. nakł. księgar. T. Paprockiego i S-ki, 1887, 8-o, str. 450 i IV.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Ноября 1886 г.